

Aleksander Dumas

WŁADCA WILKÓW

Tytuł oryginału: *Le meneur de loups*

MOCQVET

Nie raz zadawałem sobie ostatnimi czasy pytanie, czemu do tej pory moja uwaga i pamięć tak rzadko zwracały się ku miasteczku, w którym się urodziłem, ku otaczającym je lasom i pobliskim wsiom. Czemu cały świat mojej młodości wówczas zniknął, jakby przysłonił go woal mgły, podczas gdy przyszłość, ku której zmierzałem, wydawała się promienna i kusząca, niczym czarodziejskie wyspy, które Kolumb i jego towarzysze wzięli za kosze kwiatów unoszące się na falach.

Daremne żale! Przez pierwsze dwadzieścia lat życia naszym przewodnikiem jest nadzieja, zaś podczas dwudziestu następnych — poczucie rzeczywistości.

Nadchodzi dzień, gdy znużony wędrowiec odkłada swój kostur, połuźnia pas, siada pod drzewem i patrzy na przebytą drogę; ponieważ horyzont przyszłości chmurzy się i zaciemnia, zaczyna spoglądać w głąbie przeszłości.

I właśnie wówczas zaczyna przemierzać w pamięci morze piasków, i ze zdumieniem dostrzega na przebytej już drodze cieniste oazy, obok których przeszedł nie tylko się nie zatrzymując, lecz wręcz ich nie zauważając.

Jak szybko wówczas wędrował! Z jakim pośpiechem zdążał tam, dokąd do-trzeć nie można... do szczęścia!

Dopiero teraz dostrzega, że był ślepcem i niewdzięcznikiem, i przyrzeka so-bie, że jeśli raz jeszcze na swej drodze spotka oazę zieleni, rozbije namiot by pozostać w tym miejscu do końca swoich dni.

Jednak ciało nie może odmłodnieć, tylko pamięć odbywa pielgrzymkę do pierwszych dni, do źródła życia, powraca tam jak łódź o białych żaglach płynąca w górę rzeki.

Ciało podąża dalej swoją drogą; lecz ciało pozbawione pamięci, jest jak noc bez gwiazd, jak lampka bez płomienia. Ciało i pamięć zdążają w przeciwnych kierunkach. Ciało wędruje od przygody do przygody ku nieznanym obszarom. Pamięć zaś unosi się nad pozostawionymi śladami, jak błędny ognik, pewna już,

że teraz nie zabłądzi.

Przy każdej oazie, przy każdym wspomnieniu szybkim lotem powraca do coraz bardziej zanurzonego ciała i snuje opowieść o przeszłości, która brzmi jak śpiew ptaków, jak brzęczenie pszczoł, jak szmer tryskającego źródła i opowiada mu co widziała.

A ta opowieść budzi echo. Wędrowiec słucha, jego spojrzenie ożywa, na ustach ukazuje się uśmiech, twarz się rozjaśnia.

Tak łaska Opatrzności sprawia, że skoro człowiek nie może wrócić do czasu młodości, młodość przychodzi do niego.

I wtedy właśnie znajduje radość w opowiadaniu wszystkim tego, co szeptą wspomnienia.

Czyżby życie toczyło się po kręgu, tak jak Ziemia? Czyżbyśmy będąc bliżej grobu, zbliżali się do kołyski?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie, lecz wiem, co mnie samemu się przydarzyło.

Na pierwszym przystanku na drodze życia, gdy po raz pierwszy spojrzałem wstecz, opowiedziałem historię Bernarda i jego wuja Berthelina, potem tę o Aniele Pitou, jego narzeczonej i o ciotce Angelice, następnie o niewinnym Conscience i jego narzeczonej Marietcie, a wreszcie tę o Katarzynie Blum i ojcu Vaxtrin.

Dziś chcę opowiedzieć o Thibaulcie-wilkołaku i o panu de Vez.

W jaki sposób poznałem wydarzenia, które chcę opisać? Zaraz opowiem.

Może znacie moje *Pamiętniki* i Mocqueta, przyjaciela mojego ojca?

Ale jeśli nawet czytaliście je dokładnie, przypominacie sobie tę postać jak przez mgłę.

Teraz chcę dokładniej opisać Mocqueta.

Odkąd sięgam pamięcią, to znaczy od czasu, gdy miałem trzy lata, mieszkaliśmy — mój ojciec, moja matka i ja — w małym zameczku Fosses, wzniesionym na obrzeżach departamentu Aisne i Oise, między Haramont i Longrpré. Ów zameczek z pewnością zawdzięcza swą nazwę otaczającym go głębokim rowom, które wypełniała woda.

Nie piszę tu o mojej siostrze; była na pensji w Paryżu i widywaliśmy ją przez jeden miesiąc w roku, to znaczy podczas wakacji.

Mieszkańcami domostwa — oprócz ojca, matki i mnie — byli:

po pierwsze — wielki pies, na którego wołano Truffe, cieszący się przywilejami i mile przyjmowany przez wszystkich i wszędzie, a na co dzień służący mi rzecz jasna do jazdy wierzchem;

po drugie — ogrodnik imieniem Pierre, który zaopatrywał mnie w żaby i zaskrońce, czyli te zwierzęta, które wówczas budziły moją żywą ciekawość;

po trzecie — Murzyn, lokaj mojego ojca, imieniem Hypolite, rodzaj czarnego Jocrisse'a, którego naiwność była wręcz przysłowiowa i którego mój ojciec trzymał po to, by stale uzupełniać zapas anegdotek, mogących sprostać dowcipom Bruneta;

po czwarte — stróż nazwiskiem Mocquet, wobec którego żywiłem wielki podziw, zważywszy że co wieczór opowiadał mi jakąś cudowną, niezwykłą historię o zjawach i wilkołakach, historię, którą przerywało gwałtownie przybycie generała, jak Mocquet nazywał mojego ojca;

po piąte — dziewczyna kuchenna, na którą wołano Maria. Ginie ona całkowicie we mgle niepamięci; tym imieniem wołano kogoś, kogo w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, jednak z całą pewnością nie było w tej postaci nic poetycznego.

Dziś wszakże mamy się zająć Mocquetem.

Spróbujmy więc go poznać z oblicza i charakteru.

Mocquet liczył sobie około czterdziestki, był mężczyzną o szerokich ramionach, niskim, krępy i żyłastym.

W jego ogorzalej na wietrze twarzy świeciły małe świdrujące oczka, miał szpakowate włosy i czarne faworyty sięgające kołnierzyka.

Ta postać wyłania się z głębi moich wspomnień w kapeluszu z trzema rogami, w zielonej kurtce, zapinanej na posrebrzane guziki w spodniach do kolan z lampasami, skórzanych getrach, z torbą myśliwską, strzelbą na ramieniu i nieodłączną lulką w zębach.

Zatrzymajmy się na moment przy owej fajeczce.

Otóż była ona nie tylko ozdobą, lecz wręcz nieodłączną częścią Mocqueta. Nikt nie przypominał sobie, by widział go kiedykolwiek bez fajki. Jeśli przypadkowo nie trzymał fajki w zębach, to z pewnością miał ją w ręce.

Owa fajka, nieodłączna towarzyszką Mocqueta, była nawet pośród najgęstszych mateczników, przedmiotem najmniej narażonym na unicestwienie. Zresztą strata fajki, do której tak się przywiązał, była czymś zupełnie niewyobrażalnym. Cybuch wyprzedzał Mocqueta najwyżej o cal.

Nie rozstawał się z fajką, która wyźłobiła rowek między czwartym siekaczem i pierwszym zębem trzonowym z lewej, w wyniku czego dwa siekacze starły się prawie całkowicie. Z tego powodu Mocquet nabrał jeszcze innego nawyku: mówił przez zaciśnięte zęby, co wypowiedanym przez niego kwestiom nadawało szczególny wyraz uporu.

Ów upór stawał się jeszcze bardziej widoczny, gdy wyjmował na chwilę fajkę z ust i nic nie przeszkadzało jego szczękom, by zwały się tak szczelnie, że na zewnątrz wydobywały się słowa w postaci prawie niezrozumiałych świstów.

Oto jak wyglądał Mocquet.

A teraz parę słów o jego charakterze.

* * *

Pewnego dnia Mocquet z samego ranka wszedł do pokoju mojego ojca, który jeszcze spoczywał w łóżku i stanął przed nim wyprostowany jak słup.

— Powiedz mi, Mocquet — zapytał ojciec — czemu zawdzięczam, że mogę cię widzieć o tak wczesnej porze?

W tym właśnie momencie Mocquet wzbogacił język francuski o czasownik, który dotychczas był nieznan, a który mógł być odmieniany zarówno w stronie biernej, jak i czynnej.

— Otóż, panie generale — odpowiedział najpoważniej w świecie Mocquet — byłem koszmarowany.

— Byłeś koszmarowany? Coś podobnego — odrzekł ojciec unosząc się na łokciu. — To chyba coś poważnego, mój chłopcze.

— Zgadzam się z panem, panie generale.

Tu Mocquet wyjął z ust fajeczkę, co czynił nader rzadko i przy wyjątkowych okazjach.

— Odkąd to jesteś koszmarowany, mój biedny Mocquecie? — spytał ojciec.

— Od ośmiu dni, generale.

— A przez kogo?

— Och, dobrze wiem — odpowiedział Mocquet, szczelniej niż zwykle ścisnąc zęby, ponieważ właśnie trzymał fajeczkę w ręce.

— Może wreszcie mi to powiesz...

— Przez mateczkę Durand, tę z Haramont, która jest doświadczoną czarownicą.

— Nigdy o tym nie słyszałem, przysięgam.

— Och! Lecz ja jestem pewien. Widziałem ją, jak odlatywała na miotle, udając się na sabat.

— Widziałeś jak odlatywała?

— Tak jak pana widzę, generale; poza tym ona trzyma w domu czarnego kozła, któremu oddaje cześć.

— Dlaczego jednak sprowadza na ciebie koszmary?

— Żeby się zemścić, że ją zaskoczyłem, gdy o północy na wrzosowiskach Gondreville tańczyła w diabelskim kręgu.

— Wnosisz poważne oskarżenie, mój przyjacielu. Zanim więc głośno powtórzysz to, co teraz mówisz po cichu, radzę ci zebrać nieco dowodów.

— Dowodów? Nic prostszego. Wszyscy w miasteczku dobrze wiedzą, że za młodu była kochanką szewca Thibaulta, wilkołaka.

— Do diabła, Mocquet! Musisz się mieć na baczności...

— Rzecz jasna, za wszystko mi zapłaci, stara krecica!

Wyrażenie „stara krecica” Mocquet przejął od ogrodnika Piotra, który nie miał większych wrogów niż krety i który określał tym mianem wszelkie znie-
nawidzone stworzenia.

* * *

„Musisz się mieć na baczności”. Tak właśnie rzekł ojciec. Co wcale nie znaczyło, że uwierzył, iż Mocqueta napastują złe duchy; jeśli nawet uwierzył w ich istnienie, nie zgodziłby się, że to właśnie mateczka Durand „koszmarowała” jego dzielnego sługę: nie, z całą pewnością nie. Niemniej jednak mój ojciec znając dobrze tutejszych wieśniaków, zdawał sobie sprawę, iż wiara w czary i rozmaite inne przesady jest mocno zakorzeniona wśród ludu. Słyszał opowieści o przerażających przypadkach zemsty osób zauroczonych, które sądziły, że złamią urok zabijając osobę, która go rzuciła. Mocquet przyszedł oskarżyć mateczkę Durand przed moim ojcem. Nadał swym oskarżeniom ton pogróżki, ściskając przy tym lufę swej strzelby w taki sposób, że mój ojciec poczuł, iż musi mu przyznać rację, aby sługa nie stracił do niego zaufania i poradził się swego pana, zanim cokolwiek zrobi.

Gdy ojciec uznał, że ów cel osiągnął zaryzykował i rzekł:

— Myślę, że dobrze byłoby, mój drogi Mocquecie, zanim ci ona zapłaci, jak

mówisz, upewnić się, czy nie można się jakoś wyleczyć.

— To niemożliwe, generale — odpowiedział Mocquet zdecydowanym tonem.

— Jak to niemożliwe?

— Po prostu niemożliwe, zresztą już wszystkiego wypróbowałem!

— To znaczy co robiłeś?

— Przede wszystkim wypilem puchar grzanego wina przed snem.

— A kto ci doradził ten środek? Pan Lécosse?

Pan Lécosse był uznanym medykiem w Villers-Cotterêts.

— Pan Lécosse? — wzruszył ramionami Mocquet. — Skądże znowu! Czy on wie cokolwiek o urokach? Nie, na Boga! To nie pan Lécosse.

— Któż więc?

— Pastuch z Longpré.

— Ależ po kwarcie grzanego wina musiałeś być pijany jak bela!

— Pastuch wypił połowę.

— Teraz rozumiem, dlaczego podał ci taką receptę. No i co, kwarta grzanego wina nie pomogła?

— Nie, generale. Tej nocy mateczka Durand przyszła znowu i skakała sobie po mojej piersi, jak gdyby nigdy nic.

— I co jeszcze robiłeś? Bo przecież nie ograniczyłeś się, jak sądzę, do wypicia pucharu czerwonego, grzanego wina.

— Zrobiłem to co robię zazwyczaj, gdy chcę schwytać dziwne zwierzę.

Mocquet używał sformułowań szczególnych, nigdy nie można go było skłonić, by powiedział „dzikie zwierzę”, i za każdym razem, gdy mój ojciec mówił: „dzikie zwierzę”, Mocquet powiadał: „tak, zwierzę fałszywe, chytre, dziwne”.

— No i co z tym twoim dziwnym zwierzęciem? — spytał ojciec pewnego razu.

— Mówię tak, wcale nie przez upór, generale.

— A więc dlaczego tak mówisz?

— Ponieważ, z całym szacunkiem, generale, pan się myli.

— A co to znaczy zwierzę dziwne, fałszywe?

— To znaczy, że jest to zwierzę, które pojawia się tylko nocą, wślizguje się do gołębników, żeby dusić ptactwo, tak jak łasica; w kurnikach dusi kury jak lis, w owczarni dławi owce jak wilk, to jest zwierzę, które zdradza, zwierzę fałszywe, podstępne, ot co.

Ten wywód był logiczny, trudno było go podważyć.

Tak więc ojciec nic na to nie odrzekł, a Mocquet triumfował nazywając teraz zwierzę dzikie, zwierzęciem dziwnym, nie rozumiejąc przy tym uporu mojego ojca, który nadal używał takich określeń jak zwierzyna płowa czy zwierzyna łowna.

Oto dlaczego na pytanie mojego ojca: „I co zrobiłeś jeszcze?” — Mocquet odpowiedział: „To co robię zazwyczaj, gdy chcę schwytać dziwne zwierzę”.

Przerwałem dialog, by wyjaśnić ów termin, wszakże między moim ojcem a Mocquetem było to zbędne, ich rozmowa trwała.

* * *

— Powiedz mi więc, co robisz, gdy masz zamiar schylać owo zwierzę? — spytał go ojciec.

— Przygotowuję pułatkę.

— Jakże, więc przygotowujesz pułapkę, by schytać mateczkę Durand? Zastawisz sidła?

Mocquet nie lubił, gdy ktoś wymawiał słowa inaczej niż on. Powtórzył więc:

— Przygotowuję pułatkę na mateczkę Durand, o to właśnie chodzi, generale.

— I gdzie ją ustawisz, tę twoją pułatkę, pod drzwiami?

Mój ojciec, jak widać, zaczął czynić pewne ustępstwa.

— Tak, pod moimi drzwiami — powiedział Mocquet — co prawda nie jest pewne, czy ta stara czarownica wejdzie drzwiami. Dostaje się do mego pokoju nie wiadomo którądy.

— Może przez kominek?

— W moim pokoju nie ma kominka, zresztą gdy ją czuję, to jej nie widzę.

— Ty ją widziałeś?

— Tak jak pana, generale.

— A co ona robi?

— Och, jeśli o to chodzi, to nic szczególnego, depce po mojej piersi: człap, człap, człap!

— No to gdzie w końcu ustawisz tę pułapkę?

— Pułatkę! — poprawił Mocquet. — Na moim brzuchu, ot co!

— I coż to będzie za pułatka?

— Och, świetna pułatka!

— To znaczy?

— Taka sama, jaką przygotowałem, aby schwytać siwego wilka, który porwał i dusił owce pana Destournelles.

— Nie taka znowu świetna, skoro wilk zjadł twoją przynętę, a sam nie wpadł w sidła.

— Nie wpadł w zasadzkę i pan dobrze wie dlaczego.

— Nie mam pojęcia!

— Ponieważ był to czarny wilk szewca Thibaulta.

— Chyba bredzisz. Mocquet. Przed chwilą mówiłeś, że siwy wilk dusił owce pana Destournelles, więc ten wilk nie mógł być czarnym wilkiem szewca Thibaulta.

— Teraz jest siwy generale, ale wówczas, trzydzieści lat temu, był czarny. Chcąc dowieść, że tak jest istotnie powiem, że trzydzieści lat temu ja sam miałem włosy czarne jak kruk, a teraz mam siwe jak pański Balwierz.

Balwierz był kotem, któremu we *Wspomnieniach* usiłowałem nadać względnie wysoką rangę, a nazywano go Balwierzem z powodu niezwykle obfitej sierści, jaką obdarzyła go natura.

— Tak — odrzekł ojciec — znam opowieść o szewcu Thibaulcie. Skoro

jednak, jak twierdzisz, czarny wilk był diabłem, nie powinien był się zmienić.

— W istocie, panie generale, trzeba jednak wiedzieć, że taki wilk potrzebuje stu lat, by jego sierść stała się całkiem biała, a gdy mija sto lat, setnego roku o północy znów staje się czarny jak węgiel.

— Poddaję się! Proszę cię jednak, byś nie opowiadał tej uroczej historyjki mojemu synowi, dopóki nie skończy piętnastu lat.

— Mogę wiedzieć czemu, generale?

— Ponieważ nie należy mu niepotrzebnie faszerować umysłu podobnymi bzdurami, dopóki nie stanie się na tyle duży, by kpić sobie z wszelkich wilków — białych, siwych czy czarnych.

— Rozumiem, generale. Nie będę mu więcej o tym opowiadał.

— Więc mów dalej.

— Na czym stanęliśmy?

— Mówiłeś o sidłach, pułapce, „zasapce”, którą umieściłeś na swoim brzuchu, i o której mówiłeś, że jest świetna.

— Na honor, generale, to naprawdę świetna zasapka, ważyła co najmniej cztery funty, co ja mówię — chyba z osiem funtów, z łańcuchem! Łańcuch omotałem sobie wokół nadgarstka.

— I co się wydarzyło w nocy?

— Och, tej nocy było naprawdę strasznie! Zazwyczaj mateczka Durand chodziła po mojej piersi w zwykłych łapciach, tym razem przysłała w sabotach.

— Tak się pojawiała...?

— Każdej nocy, którą zsyła nam dobry Bóg! Schudłem, wyschłem na szczapę. Sam pan widzi, generale. Nawet stałem się z tego powodu wstrzemięźliwy. O świcie wziąłem odwet.

— W jaki sposób?

— Po prostu wymierzyłem do niej z dubeltówki, ot co!

— Dość poważny krok. A kiedy nastąpi egzekucja?

— Tej nocy lub następnej.

— Do diaska, a ja chciałem, byś się udał do Villiers-Hellon.

— To w niczym nie przeszkadza. Czy to pilne?

— Bardzo.

— Do Villiers-Hellon przez las jest zaledwie cztery mile. Mógłbym powrócić dziś wieczór. Wszak to tylko osiem mil, generale. Podczas polowania nieraz przemierzaliśmy znacznie dłuższe trasy.

— Doskonale, zaraz dam ci list do pana Collarda i wyruszysz w drogę.

— Tak jest, generale, wyruszę natychmiast.

Mój ojciec wstał z łoża, po czym przy biurku napisał list do pana Collarda.

Drogi przyjacielu!

Wysłałam do ciebie mojego niezbyt rozgarniętego sługę, znasz go zresztą. On wyobraża sobie, że nocami pewna stara kobieta nawiedza go, by uczynić z niego wampira... Chce więc ją po prostu zabić. Wszakże, ponieważ nasze prawo mogłoby uznać taki sposób bycia za próbę dokonania zbrodni, wysłałam ci owego sługę pod pretekstem przekazania pilnej wiadomości. Ty ze swej strony użyj jakiego chcesz wybiegu, by poszedł do Vouty do Danrégo, który z kolei poleci mu niezwłocznie udać się do Dulauloya, a ten z kolei używając jakiegoś pretekstu lub się bez niego obywając, pośle go do diabła, jeśli tak mu się spodoba. Idzie o to, by tournée trwało najmniej dni piętnaście. W ciągu piętnastu dni przeniesiemy się do Antilly i w ten sposób opuszczając sąsiedztwo Haramont mój sługa nabierze przekonania, że wiedźma zgubiła jego ślad i stara Durand będzie mogła spać spokojnie, czego bym jej nie doradzał, gdyby Mocquet miał przebywać w pobliżu jej domostwa.

Posyłam ci przez niego tuzin bekasów i zająca, którego upolowaliśmy na mokradłach koło Vallue.

Ślę tysięczne czułości twej pięknej Herminie i tyleż pocałunków małej Karolinie.

Twój przyjaciel

Aleksander Dumas

W godzinę po napisaniu listu Mocquet ruszył przed siebie, by wreszcie pod koniec trzeciego tygodnia odnaleźć nas w Antilly.

— I cóż tam dobrego słyhać u mateczki Durand! — spytał mój ojciec widząc go zdrowym i dziarskim.

— Otóż, panie generale — odpowiedział Mocquet promieniejąc z radości — zostawiła mnie w spokoju! Widocznie stara krecica nie ma takiej mocy, by używać swych sposobów także w innym powiecie.

Od tamtych wydarzeń minęło dwanaście lat, ja skończyłem piętnaście. Ojciec mój nie żył już, niestety, od lat dziesięciu. Nie mieliśmy ogrodnika Piotra, lokaja Hipolita i stróża Mocqueta. Nie mieszkaliśmy ani w zamku Fossés, ani w wili w Antilly; w Villers-Cotterêts przy rynku, naprzeciw fontanny zajmowaliśmy mały domek, w którym moja matka prowadziła skład tytoniowy. Sprzedawała tam też od czasu do czasu niewielkie ilości prochu strzelniczego, ołowiu i naboju.

Jak pisałem we *Wspomnieniach*, od dziecka byłem zapalonym myśliwym. Oczywiście nie polowałem, w pełnym znaczeniu tego słowa, wyjąwszy te okazje, gdy kuzyn, pan Deviolaine, leśniczy w Villers-Cotterêts — po uzyskaniu zezwolenia matki, zabierał mnie ze sobą. Po prostu kłusowałem.

Aby uprawiać ów proceder używałem prześlicznej, misternie wykonanej strzelby, która swego czasu należała do księżniczki Borghese i której monogram był wygrawerowany na kolbie. Podarował mi ją ojciec, gdy bytem jeszcze dzieckiem. Podczas wyprzedaży, która nastąpiła po jego śmierci, tak bardzo

upominałem się o swą własność, że w końcu nie sprzedano jej wraz z całą resztą broni, psami i powozami.

Zima była porą moich wielkich radości. Ziemia pokryta jest śniegiem i ptaki w poszukiwaniu pożywienia przylatują tam, gdzie znajdują rozrzucone ziarno.

Paru starych przyjaciół ojca, którzy nadal posiadali piękne i rozległe ogrody, pozwalało mi urządzać polowania na ptactwo. Zmiałem śnieg, rozsiewałem garstkę pszenicznego ziarna i ukrywając się za jakimś pnem, uzbrojony w moją śrutówkę od czasu do czasu mogłem ubić sześć, osiem czy dziesięć ptaków za jednym strzałem.

Gdy śnieg utrzymywał się dłużej, można też było mieć nadzieję na spotkanie wilka. Wilk, który się odłączy od stada, należy do wszystkich. Jest wrogiem publicznym, rabusiem wyjętym spod prawa. Każdy może do niego strzelać. Tak więc nie trzeba nikogo pytać o zgodę, pominąwszy protesty matki, która zawsze obawiała się niebezpieczeństwa w dwójnasób; powtarzam więc, nikt nie musiał wyrażać zgody, bym mógł wziąć dubeltówkę i udać się na spotkanie z tym draieżnikiem.

Zima tego roku była sroga. Śnieg grubą warstwą przykrył ziemię, potem chwycił mróz i biała powłoka utrzymywała się przez dwa tygodnie.

Nie słyhać było jednak nic o wilku.

Pewnego dnia o zmierzchu, około czwartej po południu, zawitał do nas Mocquet.

Przyszedł, by uzupełnić zapas prochu, i odważając proch mrugnął do mnie porozumiewawczo. Gdy się pożegnał, wymknąłem się za nim.

— I cóż cię sprowadza? — spytałem. — Masz jakieś nowiny?

— Nie domyśla się pan, panie Aleksandrze?

— Nie.

— Nie sądzi pan, że skoro przyszedłem do pani generałowej kupować proch, zamiast nabyć go po prostu w Haramont, skoro przeszedłem milę lub, ściślej mówiąc, ponad milę, to znaczy, że chcę panu zaproponować interesującą wy-

prawę? Coś wyjątkowo ciekawego?

— Mój dobry, poczciwy Mocquecie! Cóż to takiego?

— Jest wilk, panie Aleksandrze.

— Doprawdy?

— Tej nocy porwał barana z owczarni pana Destournelles, śledziłem go aż do lasu Tillet.

— I co dalej?

— To, że tej nocy z pewnością znów go spotkam, znajdę go, a jutro rano wytropię. Będziemy mieli z nim sprawę.

— Och, cóż za radość!

— Tylko trzeba pewnego zezwolenia...

— Czyjzego zezwolenia?

— Pani generałowej.

— Wejdz do domu, Mocquet, zaraz spytamy.

Matka patrzyła na nas przez szybę. Ani przez chwilę nie wątpiła, że spiskujemy.

— Ach, Mocquet! — rzekła z westchnieniem, gdy weszliśmy do środka. — Widzę, że nic a nic się nie zmieniłeś!

— Nie wiem, o czym pani mówi — odparł Mocquet.

— Widzę, że znów mu zawracasz głowę, Aleksander o niczym nie myśli, tylko o tym przeklętym polowaniu.

Mocquet chrząknął coś niewyraźnie i powiedział:

— Pani generałowo, pan Aleksander jest jak rasowy pies: jego ojciec był myśliwym, on jest myśliwym i jego syn też będzie myśliwym. Nic się na to nie poradzi, trzeba się z tym pogodzić.

— A jeśli zdarzy się jakieś nieszczęście?

— Nieszczęście? Pod moją opieką? Nieszczęście pod opieką Mocqueta? Cóż znowu? Odpowiadam własnym życiem za pana Aleksandra. Nieszczęście miałyby się przydarzyć jemu, synowi mojego ukochanego generała? Nigdy!

Moja biedna matka wzdychając z rezygnacją skinęła głową.

Rzuciłem się jej na szyję.

— Mamo! — wykrzyknąłem. — Tak bardzo cię proszę!

— Pod warunkiem, że Mocquet sam opatrzy ci strzelbę.

— Może pani być najzupełniej spokojna! Sześćdziesiąt ziarenek prochu, ani jedno mniej, ani jedno więcej i porządna kula .

— I cały czas będziesz przy nim?

— Będę przy nim jak cień.

— I wyznaczysz mu miejsce tuż przy sobie?

— Cały czas będzie tuż przy mnie.

— Mocquet, powierzam go tylko tobie.

— Wróci do domu bez najmniejszego szwanku. Panie Aleksandrze, proszę zabrać czym prędzej swoje zabaweczki i ruszamy, pani generałowa dała zezwolenie.

— Jakże! Zabierasz go dziś wieczór? Tak od razu?

— Jutro będzie zbyt późno, na wilka trzeba się zasadzić o świcie.

— Jakże? Chcesz więc go poprowadzić na wilka i dlatego mnie prosiłeś o zgodę?

— Przecież chyba pani generałowa nie obawia się, że wilk go pożre.

— Mocquet, Mocquet!

— Przecież mówię, że odpowiadam za niego osobiście!

— I gdzież będzie spać, moje biedne dziecko?

— U mnie! Rozłożę na podłodze porządny materac, a na nim prześcieradło białe jak śnieg, który aniołowie rozsypali na polach i dwa grube pledy. Nawet nie kichnie!

— Bądź spokojna mamo! Idziemy, Mocquet! Jestem gotów.

— I nie ucałujesz mnie?

— Nawet dwa razy.

Uścisnąłem matkę z całych sił.

— Kiedy cię znów zobaczę?

— Proszę się nie niepokoić, powróci jutro wieczór.

— Jutro wieczór? Przecież mówiłeś, że polowanie odbędzie się o świcie.

— O świcie zasadzimy się na wilka, ale jak już będziemy w lesie, warto ustrzelić ze dwie kaczuszki na mokradłach Vallue.

— A jeśli się utopi?

— Do diaska — mruknął pod nosem Mocquet i dodał nieco głośniejsze: — Jeśli nie rozmawiałbym z wdową po moim drogim generale, ośmieliłbym się rzec...

— Coż byś więc rzekł, Mocquecie?

— Że wychowuje go pani na niedorajdę. Gdyby matka pana generała stała za nim cały czas i przytrzymała go za poły, tak jak to pani czyni, nigdy nie przebyłby morza i nie zdołałby dotrzeć do Francji.

— Cóż, muszę ci przyznać rację — westchnęła. — Idźcie, doprawdy jestem szalona...

I odwróciła głowę, by ukryć łzę.

Łza mojej matki, diament serca, cenniejsza niż perła Ofiru, zabłysła na jej policzku. Podszedłem do niej i wyszeptalem:

— Wystarczy jedno twoje słowo... Jeśli chcesz, zostanę.

— Och, nie! Idź, idź moje dziecko — rzekła. — Mocquet ma rację, trzeba byś się stał mężczyzną.

Ucałowałem ją po raz ostatni.

Po czym podążyłem za Mocquetem, który już wyruszył w drogę. Po stu krokach zawróciłem. Matka bowiem stała na środku drogi; wyszła z domu, by jak najdłużej odprowadzać mnie wzrokiem.

Teraz poczułem, że łza wymyka się spod mej powieki.

— Cóż znowu! — burknął Mocquet. — Teraz pan płacze, panie Aleksandrze.

— Skądże ta myśl! To z mrozu...

Nie mówiłem prawdy. Tę łzę, dobry Boże nie mróz wycisnął...

Do chatki Mocqueta dotarliśmy ciemną nocą.

Spożyliśmy omlet na słonince i nieco pieczeni z królika. Potem Mocquet przygotował mi posłanie. Dotrzymał słowa danego matce: materac był porządny, oba prześcieradła niepokalanej bieli, a koce grube i ciepłe.

— A teraz, paniczu, proszę jak najszybciej zasypiać — rzekł. — Bardzo możliwe, że jutro już o czwartej trzeba będzie wyruszyć w drogę.

— Jestem gotów wyruszyć, kiedy tylko dasz znak.

— Dobrze, dobrze, teraz wydaje ci się, że jesteś rannym ptaszkiem, a jutro o świcie trzeba będzie ci wylać dzbanek zimnej wody na głowę, byś otworzył oczy.

— Zgoda, jeśli zawołasz dwa razy, a ja się nie obudzę...

— Doskonale. Zobaczymy, jak będzie.

— Bardzo chce ci się spać?

— A jak pan myśli, co zazwyczaj robię o tej porze?

— Myślę, że mógłbyś mi opowiedzieć jedną z tych historyjek, które tak mnie bawiły, gdy byłem mały.

— A kto za mnie wstanie o drugiej nad ranem, jeśli teraz będę do północy opowiadał bajki? Ksiądz proboszcz?

— Masz rację, Mocquecie.

— Na szczęście.

Rozebrałem się i wsunąłem pod koce.

Mocquet legł na swoim posłaniu w odzieży.

Nie minęło pięć minut, a chrapał jak stara basetla.

Ponad dwie godziny przewracałem się z boku na bok, nie mogąc w żaden sposób zasnąć. Ileż bezsennych nocy spędziłem, nie będąc w stanie zmrużyć oka z powodu podniecenia, jakie opanowywało mnie w dzień poprzedzający łowy.

Na koniec o północy zmęczenie zwyciężyło.

O czwartej nad ranem zbudził mnie chłód. Zerwałem się na równe nogi.

Otworzyłem oczy.

Mocquet zrzucił ze mnie koce i stał oparty o strzelbę, z nieodłączną fajeczką w ustach.

Jego twarz oświetlał tłący się w fajeczce żar, który przy każdym pociągnięciu wydobywał z mroku jego rysy.

— I cóż dobrego, Mocquecie? — rzekłem.

— Wszystko wedle planu. Wytropiony.

— Wilk? I któż go wytropił?

— Ja, we własnej osobie.

— Brawo, wspaniale!

— Pewnie, ale nie zgadnie pan, gdzie się skrył. Ten wilk to prawdziwy szczwany rozbójnik.

— Gdzież się zaszył?

— Nigdy by pan nie zgadł. W zagajniku Trois-Chénes.

— Do diaska!

Zagajnik Trois-Chénes była to kępa drzew z gęstym podszyciem zajmująca powierzchnię dwóch mórg i znajdująca się pośrodku równiny Langny, jakieś sto kroków od lasu.

— A ludzie?

— Uprzedzeni — odpowiedział Mocquet. — Są rozstawieni na skraju lasu, wszyscy znakomici strzelcy, sami najlepsi: Moynat, Mildet, Vatin, Lafeuille. Od tej strony otoczmy zagajnik z panem Charpentier z Vallue, z panem Hochedez z Langny, panem Destournelles z Fossés. Oczywiście będziemy tam też my: pan i ja; spuścimy psy, gajowy podprowadził sforę. Wszystko ułoży się jak najlepiej.

— Mocquet, ustawisz mnie w dobrym miejscu...

— Przecież powiedziałem, że będzie pan blisko mnie; tylko trzeba już wstawać.

— Masz rację. Brr...

— Mając wzgląd na pański młody wiek, wrzucę kilka szczap do kominka.

— Nie śmiałybym cię o to prosić, ale skoro zamierzasz tak uczynić doceniam twą uprzejmość.

Mocquet przyniósł z drewnutni kilka polan, przełamał jedno naciskając stopą, wrzucił je do kominka, a potem jeszcze garść cieniutkich trzasek i przyłożył zapaloną zapalką.

W jednej chwili płomień rozjaśnił czeluść kominka.

Siadłem na stołku w sieni i zacząłem się ubierać.

Prawdę powiedziawszy tego dnia moja toaleta nie trwała długo.

Nawet Mocquet był tym zdumiony.

— Kropelka czegoś na wzmocnienie i ruszamy — stwierdził.

Napełnił dwie szklaneczki żółtawym płynem, którego nie musiałem próbować, by wiedzieć, co to jest.

— Przecież wiesz, że nigdy nie piję wódki.

— Mówi pan tak samo, jak pański ojciec. Ale co w takim razie będzie ze śniadaniem? Co pan będzie jadł?

— Nic, po prostu nic.

— Zna pan przecież przysłowie: „W pustym domu diabeł mieszka”. Niechże pan weźmie do ust cokolwiek, a ja tymczasem przygotuję broń. Muszę dotrzymać słowa pani generałowej.

— Już dobrze, zjem kromkę chleba i wypiję szklaneczkę pignolet.

Tak nazywa się tu cienkie wino pochodzące z okolic, gdzie winorośl niezbyt dobrze się udaje. Byłem przyzwyczajony do tego napoju, orzeźwiałem się nim czasem w domu. Przełknąłem więc szklaneczkę *pignolet*, podczas gdy Mocquet oporządzał broń.

— Cóż robisz? — spytałem.

— Na wszelki wypadek znaczę krzyżyk na pańskiej kuli — odrzekł. — Będzie pan stał blisko mnie i może się zdarzyć, że oddamy strzał w tej samej chwili. Aby móc rzecz ocenić sprawiedliwie — jeśli wilk padnie — dobrze wiedzieć, czyja kula go trafiła. Tak więc dobrze celujcie, paniczu.

— Będę się starał ze wszystkich sił.

— Oto pańska strzelba, opatrzona jak należy. Ruszajmy w drogę. Lufa do góry.

Stosując się do rozważnych rad wiernego Mocqueta, ruszyłem za nim na polowanie.

* * *

Spotkaliśmy się wszyscy na drodze wiodącej do Chavigny.

Byli tam już ludzie z nagonki i część myśliwych.

Nie minęło dziesięć minut, gdy nadeszli pozostali. Za dziesięć piąta byliśmy w komplecie.

Rozpoczęła się narada.

Postanowiono, że otoczmy zagajnik Trois-Chénes wielkim kołem, po czym zbliżając się z wolna, będziemy zacieśniać pętlę. Wszyscy powinni się poruszać jak najostrożniej, bo jak wiadomo, pan wilk może czmychnąć usłyszawszy podejrzany hałas.

Każdy miał obowiązek dobrze przyglądać się śladom na śniegu, by wiedzieć, czy wilk wciąż jeszcze jest w zagajniku, czy nie wymknął się przypadkiem. Gajowy nie spuszczał psów Mocqueta ze smyczy.

Wszyscy zajęli swoje miejsca.

Nie przypadek sprawił, że obaj znaleźliśmy się na północnej stronie królikarni, to znaczy równoległe do lasu. Zgodnie z tym, co obiecywał Mocquet, mieliśmy najlepsze miejsce.

Nie można jednak było przewidzieć, czy wilk będzie uciekał do lasu i czy w konsekwencji, spróbuje się wydostać z zagajnika z tej właśnie strony.

Zajęliśmy wyznaczone miejsca. Dzielili nas odległość pięćdziesięciu kroków. Każdy z nas oparł się plecami o pień dorodnego dębu.

Potem bez ruchu, wstrzymując oddech, czekaliśmy w napięciu.

Psy spuszczone ze smyczy po przeciwnej stronie do naszej.

Gajowy wbiegł razem ze sforą między drzewa i tłukąc laską po pniach krzyczał donośnie:

— HUUU, hUUU, hUUU! HOLA, hUZIA, hUZIA!

Lecz psy, o dziwo, z otwartymi pyskami, ze zjeżoną sierścią i wytrzeszczonymi oczami przywarły płasko do ziemi.

I wydawało się, że nie ma siły, która by sprawiła, aby ruszyły z miejsca.

— Hej, Mocquet — krzyknął gajowy. — Wydaje mi się, że z tego wilka musi być niezła sztuka, skoro nawet Rocador i Tombelle nie chcą się zabrać do dzieła.

Mocquet nie odezwał się słowem; dźwięk jego głosu wskazałby zwierzęciu miejsce, gdzie znajdowali się wrogowie.

Gajowy posuwał się uderzając laską po pniach. Psy postępowały do przodu bardzo ostrożnie, szły za nim krok za krokiem, nie szczekając, tylko cicho powarkując.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął nagle gajowy. — O mało nie nastąpiłem mu na ogon! Huzia na wilka! Huzia na wilka! Huzia! Idzie na ciebie, Mocquet! Prosto na ciebie!

Istotnie, jakiś kształt wystrzelił ku nam jak kula.

Zwierzę wyskoczyło z zagajnika, szybkie jak błyskawica, biegło kierując się dokładnie między mnie i Mocqueta.

Był to olbrzymi wilk, prawie biały ze starości.

Mocquet posłał mu dwie kule ze swej strzelby.

Dostrzegłem jego pociski padające rykoszetem w śnieg.

— Strzelaj! — krzyknął do mnie Mocquet. — No, strzelaj!

Podniosłem broń na ramię, celowałem przez moment i oddałem strzał. Wilk wykonał taki ruch, jakby chciał się ugryźć w łopatkę.

— Dostał! Dostał! — krzyknął Mocquet. — Trafiło go niewinne dziecko! Niewinność i cnota nagrodzone!

Tymczasem wilk biegł dalej, kierując się w stronę Moynata i Mildeta, dwóch

najlepszych strzelców z całej naszej gromady. Obaj oddali strzały — najpierw, gdy zwierzę biegło otwartym polem, a potem gdy było już blisko lasu. Wszyscy widzieli, jak pierwsze dwie kule zderzyły się i rozpryskując śnieg wryły w nim głębokie bruzdy. Te dwie pierwsze nawet wilka nie musnęły, ale z całą pewnością dwie następne musiały go dosięgnąć.

Było wręcz nie do pomyślenia, aby któryś z tych dwóch strzelców mógł chybić.

Widziałem kiedyś na własne oczy, jak Moynat strącił jednym strzałem siedemnaście bekasów!

W mojej obecności, kula Mildeta przecięła na pół wiewiórkę przeskakującą z drzewa na drzewo.

Obaj puścili się biegiem w las za wilkiem. Patrzyliśmy w napięciu na miejsce, gdzie zniknęli. Wkrótce zobaczyliśmy ich ponownie. Obaj mieli nosy spuszczone na kwintę.

— I cóż? — rzekł głośno Mocquet, zwracając się do strzelców.

— Nic szczególnego — odparł Mildet wzruszając ramionami. — Z pewnością jest już teraz w Taille-Fontaine.

— W Taille-Fontaine? — zdumiał się Mocquet. — Chybiliście?

— Nic w tym dziwnego. Ty przecież też chybiłeś?

Mocquet pokręcił głową z niedowierzaniem.

— No, no, musi być w tym jakaś diabelska sztuka — stwierdził. — To, że ja chybiłem, jest zadziwiające, ale wreszcie możliwe. Ale że Moynat chybił, oddając dwa strzały raz za razem, nigdy nie uwierzę.

— Niemniej jednak tak się stało.

— Ale przynajmniej panicz go trafił — oznajmił Mocquet.

— Ja? Jesteś pewien?

— Wstyd prawdziwy wstyd dla nas wszystkich, ale jeśli się nazywam Mocquet, panicz go trafił, ot co!

— Doskonale! Jeśli go jednak trafiłem, łatwo sprawdzić. Muszą być gdzieś

ślady krwi. Biegnijmy, Mocquet, szybko!

I ruszyłem, aby dać dobry przykład mojemu mistrzowi.

— Nie, na Boga! Nie wolno teraz biec — zgromił mnie Mocquet przez za-
ciśnięte zęby i tupnął nogą. — Przeciwnie, pójdziemy wolniusieńko, żebyśmy
wiedzieli, czego się trzymać.

— Dobrze, idźmy więc powoli, lecz już idźmy — rzekłem zniecierpliwiony.

Mocquet krok za krokiem zaczął posuwać się po śladach pozostawionych
przez wilka.

— Ach, na Boga! — odezwałem się po chwili. — Nie ma obawy, że stracimy
te ślady z oczu, trop jest dobrze widoczny.

— Tak, lecz nie tego szukam.

— A czegoż więc?

— Zaraz się okaże.

Myśliwi, którzy wraz z nami okrążali zagajnik, zbliżyli się teraz i zaczęli iść
za nami. Gajowy zaś opowiadał im, co się tu zdarzyło. Obaj z Mocquetem
uważnie oglądaliśmy ślady wilka, głęboko odbite w śniegu.

Dotarliśmy do miejsca, w którym zwierzęcia dosięgnął mój strzał.

— Popatrz, Mocquet, ja także chybiłem — rzekłem.

— Skąd wiesz?

— Do diaska, nie ma śladu krwi.

— Szukajmy więc śladu kuli na śniegu.

Poszedłem więc wzdłuż linii, jaką powinna była zakreślić moja kula, jeśli nie
dotknęła wilka.

Przeszedłem pół kilometra i nie znalazłem niczego.

Postanowiłem więc wrócić do Mocqueta, który właśnie skinął ręką, dając
znak ludziom z nagonki, by się do niego zbliżyli.

— I cóż? — spytał, gdy podszedłem bliżej. — Jest kula?

— Nie znalazłem.

— Miałem więcej szczęścia. Ja ją znalazłem.

— Jak to możliwe? Ty?

— Och, obejdz ślady i stań za mną.

Posłuchałem polecenia Mocqueta. Myśliwi, dotąd ukryci w zagajniku, zbliżali się ku nam, lecz Mocquet gestem wskazał im linię, której nie powinni przekraczać.

Gajowi też zbliżali się ku nam.

— I cóż? — spytał Mocquet.

— Chybiony — stwierdzili jednocześnie Mildet i Moynat.

— To, że na otwartym polu chybiliście, widziałem dobrze, ale pod lasem...?

— Też chybiony — odpowiedzieli wzdychając.

— Jesteście pewni?

— Znaleźliśmy obie kule, obie tkwiły w pniu jednego drzewa.

— To wprost nie do wiary! — rzekł Vatrin.

— Nie do wiary — pokręcił głową Mocquet. — Lecz pokażę wam coś jeszcze bardziej niezwykłego.

— Pokaż.

— Popatrzcie tu, na śnieg. Co widzicie?

— Wilczy ślad, do diaska!

— A tu, przy jego prawej łapie, tu, co widać?

— Małe wgłębienie.

— Nie rozumiecie, co to znaczy?

Gajowi spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

— Teraz rozumiecie? — powtórzył pytanie Mocquet.

— Niemożliwe!

— A jednak tak właśnie było, a oto pokażę wam dowód.

Mocquet wsunął palce w śnieg, poruszał nimi przez chwilę, po czym z okrzykiem triumfu wyjął spłaszczoną kulę.

— Niepodobna! — zawołałem. — Moja kula!

— Panicz ją poznaje?

— Oczywiście, pamiętam, że była znaczona.

— A jaki znak na niej zrobiłem?

— Krzyż.

— Patrzciej panowie — rzekł Mocquet.

— To wszystko wyjaśnia.

— Właśnie, nie trafiły go kule zwyczajne, lecz nie miał mocy nad kulą niewinnego dziecka, a jeszcze taką, która miała na sobie znak krzyża. Trafiła go w łopatkę. Widziałem, jak zrobił ruch, jakby chciał się ugryźć w to miejsce.

— Lecz jeśli dostał w łopatkę — spytałem zdumiony milczeniem gajowych — to czemu nie padł na miejscu?

— Bo nie była ani ze srebra, ani ze złota, moje dziecko. Tylko złote i srebrne kule mogą przebić skórę diabła lub zabić tych, którzy zawarli z nim pakt.

— Czyżbyś wierzył, że... — odezwał się gajowy dziwnie drżącym głosem.

— Tak, na Boga! Przysiagłbym, że mieliśmy do czynienia z wilkiem szewca Thibaulta.

Naganiacze i myśliwi spojrzeli po sobie.

Przeżegnali się kilkakrotnie.

Wszyscy wydawali się podzielać opinię Mocqueta, iż był to wilk szewca Thibaulta.

Ja jeden niczego nie rozumiałem.

— Cóż to za historia z wilkiem szewca Thibaulta — spytałem z naciskiem.

Mocquet wahał się przez chwilę. Wreszcie zdecydował się odpowiedzieć na moje pytanie.

— Ach, na honor! — wykrzyknął. — Generał zezwolił, bym opowiedział o tym paniczowi, gdy skończy piętnaście lat. Ile więc ma panicz lat?

— Mam już szesnaście — odparłem z dumą.

— A więc dobrze, powiem, drogi panie Aleksandrze. Otóż wilk szewca Thibaulta, to sam diabeł. Wczoraj wieczór prosił mnie panicz, bym opowiedział jakąś historyjkę, nieprawdąż?

— Tak, istotnie.

— Jeszcze dziś, przed południem, gdy wrócimy do domu, opowiem ją panu. Ręcę, że będzie niezwykła.

Naganiacze i myśliwi wymienili w milczeniu uściski dłoni, po czym każdy pociągnął w swoją stronę. My zaś wróciliśmy do chaty Mocqueta, gdzie wreszcie opowiedział mi tę niesamowitą historię.

Być może zastanowi was, dlaczego opowieść, którą znałem od tak dawna, dopiero teraz ujrzeć mogła światło dzienne. Odpowiem na to, iż skryła się w sekretnym zakamarku mojej pamięci, który przez długie lata pozostawał niedostępny i do którego dotarłem dopiero przed trzema dniami. Mógłbym powiedzieć, jak i czemu to się przydarzyło, lecz ta opowieść zaciemniłaby sedno sprawy, co dla Czytelników z pewnością nie byłoby ani przyjemne, ani ciekawe. Wolę więc rozpocząć rzecz w tym miejscu, gdzieśmy się zatrzymali.

Tak więc zaczynam snuć wątek, spisując opowieść Mocqueta. Lecz, na honor! Gdy się wysiadywało jajo przez lat trzydzieści osiem, nadeszła pora, by je wreszcie znieść...

WIELKI ŁOWCZY

Baron de Vez był zapalonym myśliwym.

Gdy się jest w tamtych stronach, warto — jadąc piękną doliną ciągnącą się od Berval do Longrpré — przyjrzeć się stojącej po lewej stronie starej wieży, która wydaje się wyższa i bardziej wyniosła niż w rzeczywistości, ponieważ stoi samotnie.

Stanowi obecnie własność mojego starego przyjaciela; przez lata wszyscy zdołali tak się przyzwyczaić do jej widoku, że dziś już nie budzi przerażenia i pierwszy lepszy wieśniak szuka w cieniu jej murów schronienia przed letnim upałem; czuje się w tym miejscu równie bezpiecznie, jak oknówki o wielkich, czarnych skrzydłach, wydające ostry skwir, i jaskółki szemrzące łagodnie, które

każdego roku przybywają, by zawiesić tu swe gniazda.

Lecz w czasach, o których piszę, to znaczy około roku 1780, siedziba baronów de Vez wyglądała zupełnie inaczej, a jej widok nie kojarzył się wcale z poczuciem bezpieczeństwa.

Jest to budowla wzniesiona w XII lub XIII wieku, surowa i ponura, odstraszająca, której, przynajmniej jeśli idzie o wygląd, wieki nie odjęły nic z dawnej wspaniałości. Prawda, że po murach nie przechadza się miarowym krokiem strażnik w hełmie, prawda też, że łucznik z dźwięcznym rogiem nie czuwa na wieży; prawda wreszcie, że dwaj uzbrojeni ludzie nie strzegą furty, gotowi na dany znak opuścić broń i podnieść most zwodzony. Lecz owe miejsce ustronne wokół budowli, wewnątrz której życie zamarło, budzi lęk szczególnie nocą przed majestatem rzeczy nieruchomych i niemych.

Kasztelan starej tej fortecy nie był złym człowiekiem i, jak powiadali ludzie, którzy go znali, robił więcej hałasu niż trzeba i budził więcej strachu, niż sprawiał zła; rzecz jasna wśród chrześcijan.

Bowiem dla zwierząt zamieszkujących lasy był zajadłym, bezlitosnym i śmiertelnym wrogiem.

Pozycja, obowiązek jaki piastował będąc wielkim łowczym diuka Orleanu pozwalały mu zaspakajać namiętność, jaką żywił do polowania.

W wielu sprawach — co wcale nie było łatwe, choć możliwe — można było nakazać baronowi Janowi rozsądek; lecz gdy ów szlachetny pan zapamiętał się podczas polowania, nie zawracał z drogi i zmierzał prosto do celu.

Poślubił, jak powiadano, naturalną córkę księcia, co mu dawało, wraz z tytułem wielkiego łowczego, władzę prawie absolutną nad obszarami należącymi do znakomitego teścia; władzę, której nikt nie ośmielił się podważyć, szczególnie od czasu, gdy diuk Orleanu ożenił się w 1773 roku z panią de Montesson i zaczął zaniedbywać swój zamek w Villers-Cotterêts, woląc teraz przebywać w przepięknie urządzonej pałacu w Bagnolet, gdzie gościł najlotniejsze umysły swej epoki i gdzie grywano komedie.

Każdego dnia, gdy słońce ogrzewało ziemię swymi promieniami, gdy zasnuwał ją deszcz, gdy zima okrywała pola białym puchem, gdy wiosna rozpościerała na łąkach zielony dywan, rozwierały się skrzydła potężnej bramy zamku i na czele orszaku ukazywał się baron Jan, za nim pierwszy dojeżdżacz, foryś Marcotte, potem sfora trzymana na smyczy przez psiarczyków i pilnowana przez mistrza Engoulevent, aspiranta na dojeżdżacza, który na podobieństwo niemieckiego kata krocącego w orszaku samotnie, co prawda za szlachetnie urodzonymi, lecz przed mieszczanami, postępował tuż za dojeżdżaczami i przed psiarczykami, jak gdyby był ostatnim z forysiów i pierwszym wśród psiarczyków.

Był to orszak okazały — konie angielskie, psy francuskie: dwanaście koni, czterdzieści psów.

Chcę tu zaznaczyć, że baron równie doskonale — w dwanaście koni i z czterdziestoma psami — wybierał się na wszelką zwierzynę.

Lecz odpowiednio do swej pozycji, polował przede wszystkim na wilki. W oczach prawdziwych myśliwych jego zapal był wiele wart, stawiał bowiem w hierarchii wilka nad odyńca, jelenia, daniela czy łanię. Wreszcie psiarczykowie puszczali ogary w gęste krzaki. Sam baron spuszczał psa ze smyczy i atakował pierwszego zająca, jaki się nawinął: ponieważ, jak już powiedzieliśmy, ten znakomity pan polował każdego dnia, i raczej by się obył bez jadła i napoju, niżli pozwolił swej sforze zostać w psiarni.

Jak powszechnie wiadomo, nawet najbardziej ręczne konie czy najlepiej ułożone psy nie są w stanie zapobiec temu i podczas łowów zdarzają się dobre i złe chwile.

Pewnego dnia Marcotte ze strapioną miną stawił się na spotkanie z baronem.

— I cóż, Marcotte — spytał pan de Vez marszcząc brwi. — Cóż takiego? Widzę po twojej minie, że dzisiejsze polowanie nie zapowiada się najlepiej.

Marcotte potrząsnął głową.

— Mów — rzekł baron czyniąc gest zniecierpliwienia.

— Stało się, łaskawy panie, że zawarłem znajomość z czarnym wilkiem.

— Ach! — odezwał się baron i w jego oczach pojawił się błysk.

W istocie już piąty czy szósty raz baron pytał o czarnego wilka, lecz zwierzę o niezwykłym kolorze sierści nigdy dotychczas nie znalazło się w zasięgu strzału.

— Tak — ciągnął Marcotte — ta przeklęta bestia tak kluczyła w ciemnościach nocy, tak krzyżowała tropy, że obszedłszy co najmniej pół lasu, znalazłem się z powrotem przy pierwszym śladzie, w tym samym miejscu, które oznaczyłem łamiąc gałązki.

— Mówisz, że nie ma sposobu, by osaczyć zwierzę?

— Tak, to niemożliwe.

— Do stu diabłów — krzyknął baron, który miał się za największego łowcę, jaki się zjawił na ziemi od czasów Nemroda. — Czuję się dziś trochę niezdrów, koniecznie muszę ruszyć na polowanie, by rozproszyć nieco zły nastrój. Pomyśl, Marcotte, na co zapołujemy, skoro nie możemy zdybać tego przeklętego czarnego wilka?

— Do diaska! — odrzekł Marcotte. — Nie wytropiłem niczego. Czy pan baron ma zamiar wypuścić sforę na pierwsze zwierzę, jakie napotkamy?

Baron Jan miał już odpowiedzieć Marcotte'owi, że taki ma właśnie zamiar, gdy ujrzał, że zbliża się Engoulevent z kapeluszem w ręce.

— Poczekaj chwilę — odrzekł — oto mistrz Engoulevent, który przybywa zapewne po to, by nam udzielić jakiejś rady.

— Nie mogę radzić tak znakomitemu łowcy, jakim jest pan baron — odparł Engoulevent kryjąc pod pozorem pokory fizjonomię kpiącą i chytrą. — Moim obowiązkiem jest wyznać, że widziałem w okolicy pięknego daniela.

— Przyjrzymy się więc twojemu danielowi — rzekł wielki łowczy. — A jeśli się okaże, że mówisz prawdę, znajdzie się dla ciebie nowiutki, złoty talar.

— Gdzież ten daniel? — spytał Marcotte. — Pamiętaj jednak, że twoja skóra będzie w niebezpieczeństwie, jeżeli psy nabiegają się bez pożytku.

— Daj mi tylko Matadora i Jupitera, a sam zobaczysz.

Matador i Jupiter były najlepszymi psami gończymi barona de Vez.

Engoulevent nie zrobił nawet stu kroków w leśną gęstwinę, gdy po drzeniu ogonów i urywanym szczekaniu poznał, że są na dobrym tropie.

Prawie w tej samej chwili daniel ze wspaniałym porożem ukazał się oczom myśliwym. Sfora spuszczone ze smyczy dołączyła do przewodników — weteranów. Marcotte wydał okrzyk, zatrąbił do ataku i polowanie się rozpoczęło, ku wielkiemu zadowoleniu barona, który nie przestając myśleć o czarnym wilku, zadowolił się tymczasem ściganiem dorodnego daniela.

Łowy trwały już dwie godziny, a daniel wciąż im umykał. Najpierw zawiódł orszak do lasu Haramont, tuż przy drodze do Pendu, potem zupełnie bez wysiłku, zbiegł ku drodze z Pendu do Oigny, Nie było to bowiem zwierzę z nizin, które da się ustrzelić zagonione przez złośliwe basety.

W okolicy Bourgfontaine zwierzę najwidoczniej zaczęło odczuwać zmęczenie, bo przestało przebiegać wielkie połacie i zaczęło kluczyć.

Daniel dopadł strumienia, łączącego stawy Baisemont i Bourg, przebiegł pół mili w górę, mając wodę do kolan, wyskoczył na lewo, i zaczął się oddalać susami tak żwawymi, na jakie pozwalała resztką sił.

Wszakże psy pana de Vez wcale nie znużyły się tą pogonią. Inteligentne i dobrej rasy, bo takimi były, bez żadnego nakazu podzieliły się zadaniami. Jedne pobiegły w górę strumienia, drugie znalazłszy się na lewym brzegu odkryły podstęp zwierzęcia; odszukały trop i gdy tylko pierwszy dał głos, zebrały się wokół niego i rzuciły w pogoń, równie zażarte i zapalone, jak gdyby daniel był o dwadzieścia kroków.

Baron Jan, dojeżdżacze i sfora pędząc, dzwoniąc, szczekając, trąbiąc dotarli do stawu Saint-Antoine, o sto kroków od Oigny.

Tam, na skraju Oigny nie opodal opłotków Oserais, stała chatka szewca Thibaulta.

Opiszę teraz, kim był szewc Thibault, prawdziwy bohater tej opowieści.

Muszę przyznać, że w mojej ukochanej krainie Villers-Cotterêts żyło znacznie więcej szewców niż baronów, książąt, hrabiów i diuków. W chwili, gdy teatrem

opisywanych wydarzeń postanowiłem uczynić otaczające lasy, byłem zmuszony zrobić bohaterami mej opowieści rzeczywistych mieszkańców tych okolic.

Zresztą nie my wybieramy temat, lecz on bierze nas w posiadanie niezależnie więc, czy jest to właściwe, czy nie, zostałem owładnięty przez ów wątek.

Spróbuję teraz skreślić wizerunek szewca Thibaulta, zwyczajnego szewca, za to tak dokładnie, jakby to uczynił malarz portretujący panującego księcia, który ma zamiar swą podobiznę przesłać narzeczonej.

Thibault miał dwadzieścia pięć, a może dwadzieścia siedem lat; był wysoki, postawny, jednakże jego serce i umysł często ogarniała melancholia. Ten smutek wyrastał z ziarnka żądy, którą czuł mimowolnie, na przekór sobie, a może z powodu różnych braków, jakie odczuwał patrząc na sąsiadów, dla których Fortuna była bardziej łaskawa.

Jego ojciec popełnił błąd, który w rezultacie okazał się poważny, a był jeszcze bardziej znaczący w tamtej epoce absolutyzmu, gdy nikt nie mógł wznieść się ponad swój stan. W naszych czasach; dzięki własnym zdolnościom można osiągnąć bardzo wiele.

Otóż ojciec Thibaulta zapewnił synowi wykształcenie przerastające jego pozycję. Chłopiec uczęszczał bowiem do szkoły księdza Fortiera w Villers-Cotterêts; nauczył się czytać, pisać, rachować, znał nawet trochę łacinę, co napawało go dumą i czyniło nieco wyniosłym.

Thibault wiele czasu poświęcał lekturom. Czytał przede wszystkim modne pod koniec wieku powieści. Był jednak nieudolnym alchemikiem, skoro nie potrafił odróżnić zła od dobra lub raczej potrafił rozpoznać zło, lecz przyswajał je w zbyt wielkich dawkach, pozwalając temu, co dobre opaść na dno naczynia.

Bez wątpienia w wieku lat dwudziestu Thibault marzył o czymś zupełnie innym niż zawód szewca. Przez pewien czas, na przykład, myślał o tym, by się poświęcić służbie wojskowej. Lecz jego towarzysze, którzy nosili znaki króla Francji, rozpoczęli służbę jako prości żołnierze i ukończyli ją bez grosza przy duszy, nie zaoszczędziwszy nic podczas pięciu lat niewoli. Żaden z nich nie do-

służył się nawet stopnia kaprala.

Thibault stwierdził więc, że lepiej wstąpić do marynarki. Lecz kariera w marynarce była równie niedostępna dla plebejuszy, jak awans w armii. Po piętnastu, a może nawet dwudziestu latach burz, niebezpieczeństw, walk mogli się dosłużyć zaledwie stopnia mata, a co najwyżej bosmana.

Zresztą strój złożony z krótkiej kurtki i spodni z żaglowego płótna nie zaspokajał ambicji Thibaulta: marzył mu się niebieski kolor królewski, czerwona kamizelka i złote epolety. Nie znano jednak przypadku, by syn szewca został kapitanem fregaty, porucznikiem czy choćby tylko miczmanem. Tak więc nasz bohater porzucił także myśl o wstąpieniu do marynarki.

Stwierdził, że lepiej będzie zostać notariuszem. Przez jakiś czas miał zamiar udać się do rejenta Niqueta z prośbą by go przyjął na terminatora. Wydawało się, że mógłby zdobyć pozycję posługując się zręcznie piórem i mając do dyspozycji parę szybkich, mocnych nóg.

Lecz by zostać pisarzem sądowym, mającym sto talarów rocznego dochodu, trzeba najpierw zdobyć trzydzieści tysięcy franków na zakup skromnej nawet kancelarii. Nie mógł zostać rejentem, nie będąc posiadaczem skrawka ziemi i jakiegoś odpowiedniego dochodu.

Pośród tych przeciwności losu zmarł ojciec Thibaulta. Zostawił niewiele gotówki, zaledwie tyle, by starczyło na pochówek. Pochowano go więc; a po opłaceniu wszystkich kosztów związanych z tą smutną ceremonią, synowi zostały trzy czy cztery pistole.

Thibault znał dobrze życie w tym ubogim stanie: taki był koniec szewca.

Sam nie miał jednak ochoty dzień w dzień obracać kopytem i szydłem. Wiedziony ostrożnością, zostawił na przechowanie u jednego z przyjaciół narzędzia ojca, sprzedał meble do ostatniej sztuki, i zgromadziwszy w ten sposób sumę wynoszącą pięćset liwrów postanowił udać się w drogę, prosto przed siebie.

Spędził trzy lata wędrując po Francji. Nie zdobył jednak majątku; nauczył się jednak rzeczy, o których nie miał przedtem pojęcia, zdobył też sporo nowych

umiejętności.

Zorientował się, że o ile należy dotrzymywać umów handlowych, całkiem pozbawione sensu jest dotrzymywanie przysiąg miłosnych składanych kobiecie.

Tyle osiągnął, jeśli idzie o moralność i rozwój charakteru. Poza tym nauczył się znakomicie tańczyć gige, posługiwać pałką używając obu jej końców z niezwykłą zręcznością, bronić się w pojedynkę przeciwko czterem napastnikom, oraz rzucać oszczepem jak najzręczniejszy oszczepnik.

To wszystko wzmogło tylko przyrodzoną dumę Thibaulta, który widząc się bardziej urodziwym, silniejszym, zręczniejszym niż niejeden młody szlachcic, pytał Opatrzności: „Czemu nie urodziłem się szlachcicem, dlaczego żaden z tych zadufanych panków nie urodził się biedakiem?”.

Wszakże Opatrzność była głucha na te apostrofy; Thibault tańcząc, używając w bójkach pałki i rzucając oszczepem męczył swe ciało, przy czym nie odżywiał się właściwie. Koniec końców postanowił pozostać przy dawnym zajęciu, mimo iż zapewniało bardzo skromną pozycję. Skoro wyżywiła ojca, zapewni utrzymanie synowi.

Poszedł więc po swoje narzędzia tam gdzie je zostawił, a następnie zwrócił się do rządcy Ludwika Filipa Orleańskiego, by mu zezwolił postawić chatkę pod lasem, gdzie mógłby żyć spokojnie wykonując swój zawód; na co rządca przyzwolił chętnie, wiedział bowiem z doświadczenia, że książę Orleański ma serce bardzo litościwe i dając dwieście czterdzieści tysięcy franków rocznie na ubogich i nieszczęśliwych, nie pożałowałby skrawka ziemi młodemu zuchowi, który ma chęć zająć się swym rzemiosłem.

Thibault uzyskawszy pozwolenie na budowę chatki w lesie, wybrał sobie miejsce, które mu się najbardziej podobało, na skraju Orsieres, ćwierć mili od Oigny, a trzy czwarte mili od Villers-Cotterêts. Zbudował więc swój warsztat, częściowo z desek od pana Parisis, który miał skład w pobliżu, a częściowo z drzew, jakie mu rządca zezwolił wyciąć w lesie.

Następnie, gdy chatka była już jako tako sklecona, urządził izbę, w której

mógłby sypiać i pracować zimą, a daszek i miejsce pod daszkiem, gdzie miał zamiar robić saboty latem.

Jego pierwszym posłaniem była wiązka chwastów przykrytych liśćmi.

Gdy zrobił sto par chodaków, sprzedał je ojcu Bedeau, który handlował wszelkim towarem w Villers-Cotterêts i część z pierwszych zarobionych pieniędzy dał mu jako zadatek na kupno materaca, który handlarz pozwolił spłacać przez trzy miesiące.

Zdobycie odpowiednich desek nie stanowiło teraz wielkiej trudności.

Thibault nie mógłby przecież robić chodaków i sabotów nie będąc po trosze stolarzem.

Zbił sobie tapczan, przeciągnął popręgi, poprzeplatał wikliną, położył na tym materac i już mógł leć na łożu.

Po jednej sztuce nabywał prześcieradła i koce. Następnie zbudował kuchnię, zakupił gliniane garnki do gotowania strawy i fajansowe talerze.

Po roku ruchomości Thibaulta powiększyły się o dzieżę do wyrabiania chleba, piękną szafę z drewna orzechowego, która podobnie jak łoże, była dziełem jego własnych rąk.

Praca szła mu dosyć sporo, Thibault nie miał sobie równego, czy chodziło o wystruganie pary sabotów, czy łyżek, solniczek i miseczek z resztek drewna.

Thibault mieszkał w swej chatce już od trzech lat, tyle bowiem czasu upłynęło od jego powrotu z włóczęgi po Francji.

Nikt nie mógł mu zarzucić niczego prócz wady, o której już mówiłem: a była nią chciwość i pragnienie posiadania dóbr ziemskich większe niż to bywa u bliźnich, dbających przede wszystkim o zbawienie duszy.

Lecz było to uczucie niezbyt jeszcze znaczące, czyli takie, jakie spowiednik uznałby za zamiar popełnienia grzechu, a nie dokonane przestępstwo.

WIELKI PAN I SZEWC

Jak już wspomniałem, daniel krył się na obrzeżach Oigny, zawracając i kłuczając wokół chatki Thibaulta.

Pogoda była piękna, późne lato dopiero skłaniało się lekko ku jesieni, więc Thibault wygładzał sabot, siedząc na zewnątrz, pod daszkiem.

Nagle zaledwie o trzydzieści kroków ujrzał daniela. Zwierzę drżało ze zmęczenia i patrzyło na Thibaulta oczyma pełnymi przerażenia.

Od dłuższego już czasu Thibault nasłuchiwał odgłosów polowania, myśliwi krążyli wokół Oigny, to zbliżając się, to oddalając, to znów kierując się w stronę miasteczka.

Widok daniela nie był więc dla niego zaskoczeniem.

Ręka, w której trzymał dłuto, zawisała w powietrzu. Zaczął przyglądać się zwierzęciu uważnie.

— Na Świętego Sabota! — powiedział. Święty Sabot, chcę tu wyjaśnić, jest patronem szewców. — Na Świętego Sabota — powtórzył — oto łakomy kąsek! Przypomina mi się pieczone koźle, które jadłem w Wiedniu, podczas świetnej uczyty! Szczęśliwy, kto może mieć co dzień na stole taką potrawę. Ja miałem taką okazję zaledwie raz w życiu, cztery lata temu i teraz, na samą myśl ślinka idzie mi do ust. Och panowie, wielcy panowie, podczas każdego posiłku spożywacie świeże mięso i pijecie stare wina, moją zaś strawą są ziemniaki i woda; w niedzielę mogę sobie pozwolić najwyżej na kąsek zjełczalej słoniny, liść zwiędłej, skwaśniałej kapusty i szklaneczkę sikacza, po którym mój żołądek wywraca koziółki.

Rzecz jasna, po kilku słowach tego monologu daniel zniknął w zaroślach.

Thibault przemawiał jeszcze dość długo, a nim doszedł do końca perory, usłyszał jakiś głos napominający go szorstko:

— Odpowiadaj! Odezwij się nicponiu!

Był to, otoczony skaczącą sforą, baron Jan, który chciał się upewnić, że idzie dobrym tropem.

— Ej, ty nicponiu — powtórzył łowczy. — Widziałeś zwierzę?

Bez wątpienia sposób, w jaki baron postawił pytanie, niezbyt przypadł do gustu filozofującemu szewcowi, bowiem mimo iż doskonale wiedział, o co panu chodzi, spytał:

— Jakie zwierzę?

— Pytam o daniela, którego ścigamy, psi synu. Musiał przebiec koło ciebie o jakieś pięćdziesiąt kroków. Skoro tu siedzisz gapiąc się nie wiadomo na co, musiałeś go widzieć. Po porożu widać było, że to dziesięciolatek. W którą stronę umknął? Mów, bałwanie, bo ci wypruję wnętrzności!...

— Niech cię mór zdusi, wilczy pomiole — mruknął pod nosem szewc. Po czym powiedział na głos, z miną naiwnego głupka: — A tak, rzeczywiście, widziałem go.

— Samiec o wspaniałych rogach, dziesięciolatek?

— Tak, samiec, o wspaniałych rogach, widziałem go tak, jak pana widzę. Ale nie mogę panu powiedzieć, jakie miał rogi, bo patrzyłem tylko na jego nogi. W każdym razie — dorzucił głupkowato — ile by ich miał, rogi nie przeszkadzały mu uciekać.

W innym przypadku baron Jan roześmiałyby się słysząc odpowiedź naiwnego prostaczka, lecz podstęp zwierzęcia spowodował, że opanowała go istna furia, zwana gorączką świętego Huberta.

— Ty nicponiu, przestań błaznować! Może tobie jest wesoło, ale mnie wcale nie do żartów.

— Mam taki humor, jak się podoba wielmożnemu panu.

— Odpowiadaj.

— Przecież pan mnie o nic nie pytał.

— Daniel wyglądał na zmęczonego?

— Nie za bardzo.

— Z której strony przybiegł?

— On nie przybiegł, on tu stał.

— Przecież musiał skądś przybiec!

— Pewnie tak być musiało, ale ja tego nie widziałem.

— W którą więc stronę umknął?

— Przecież mówię, że nie widziałem, jak umykał.

Baron de Vez przeszył Thibaulta groźnym spojrzeniem.

— Jak dawno widziałeś tego daniela, wesółku? — spytał.

— Niezbyt dawno, panie.

— Ile czasu mniej więcej minęło?

Wyraz twarzy szewca dowodził, że ze wszystkich sił stara się to sobie przypomnieć.

— To było, jak sądzę, przedwczoraj — odpowiedział po długim namyśle.

Jednakże mówiąc te słowa Thibault nie zdołał ukryć uśmiešku.

Nie uszło to uwadze barona, który dał ostrogę swemu wierzchowcowi i zbliżył się gwałtownie do Thibaulta, unosząc przy tym szpicrutę.

Thibault był bardzo zwinny. Jednym susem znalazł się pod niskim daszkiem osłaniającym jego warsztat, gdzie baron, siedząc na koniu, nie mógł przecież wjechać.

Tak więc Thibault był chwilowo bezpieczny.

— Drwisz sobie ze mnie, łgarzu! — krzyknął łowczy. — Oto Marcassino, mój najlepszy pies, dał głos o dwadzieścia kroków stąd, a jeśli daniel znajdował się obok Marcassino, to znaczy, że musiał przeskoczyć zarośla, więc niemożliwe, byś go nie zauważył.

— Wybacz, łaskawy panie, ale jak powiada proboszcz, tylko papież jest nieomylny, zaś pan Marcassino może się omylić.

— Marcassino nigdy się nie myli. Słyszysz, bałwanie! Zresztą jest dowód! Widzę na ziemi ślad kopytka.

— Jednakże, panie, ośmielam się zaprzeczyć... Przysięgam... — rzekł Thibault, który spostrzegł z niepokojem, że czarne brwi pana de Vez marszczą się gniewnie.

— Zamilknij durniu i zbliż się! — ryknął baron.

Thibault wahał się przez moment, lecz oblicze myśliwego było groźne. Zrozumiał, że jego nieposłuszeństwo może wywołać jeszcze większą wściekłość, i domyślając się, że łowczy chce mu wydać jakieś polecenia, zdecydował się opuścić swoje schronienie.

Mylił się jednak, bowiem ledwo wyszedł spod daszku, koń barona stanął dęba ukłuty ostrogą i w tym samym momencie Thibault otrzymał bolesny cios szpicrutą.

Szewc, oszołomiony uderzeniem stracił równowagę i byłby upadł twarzą na ziemię, gdyby baron, wysunąwszy stopę ze strzemienia nie wymierzył mu kopniaka w pierś, co nie tylko postawiło Thibaulta na nogi, lecz przechyliło biedaka w drugą stronę i w rezultacie szewc padł na wznak przy progu swej chatki.

— A masz! — krzyczał baron waląc szpicrutą. — A masz! To za drwiny, a to za łgarstwa!

Po czym, nie niepokojąc już dalej Thibaulta, który leżał na ziemi jak kłoda, usłyszawszy ujadanie sfory i wyraźny głos Marcassina, baron zatrąbił na psy i oddalił się galopem.

Thibault podniósł się obolały, długo macał głowę i nogi, chcąc się upewnić, czy ma całe kości.

— Proszę, proszę — powiedział, gdy już zbadał kolejno wszystkie członki. — Stwierdzam z zadowoleniem, że nic nie jest złamane, ani na górze, ani na dole. Tak pan traktuje ludzi, panie baronie, bo pan wziął za żonę księżęcą córkę z nieprawego łoża! Doskonale. Mimo że jest pan wielkim łowczym i wielkim myśliwym, nie pan będzie jadł mięsa tego daniela, mimo że pan go ściga, lecz właśnie łajdak, nicpoń, łotr i głupiec Thibault zrobi z niego pieczyste. Przysięgam, że go schrupię! — krzyczał Thibault utwierdzając się coraz bardziej w tym zuchwiałym postanowieniu; ponadto nie mógłby się uważać za prawdziwego mężczyznę, gdyby złożywszy podobną przysięgę, nie potrafił jej dotrzymać.

Po chwili, wyciągnąwszy nóż z za pasa i wzięwszy w garść oszczep, jął nasłuchiwać szczekania psów. Zorientował się, że sfora ścigająca zwierzyne zatacza

wielki łuk, więc co sił w nogach ruszył po cięciwie.

Thibault miał dwie możliwości: zacząć się na drodze, którą biegło zwierzę i zabić je oszczepem lub w chwili, kiedy osaczają go psy, zaskoczyć i dobić.

Pragnienie pomsty na baronie towarzyszyło myśli o cennej zdobyczy. Thibault, biegnąc przed siebie, wyobrażał sobie, co będzie robić przez cały prawie miesiąc. Już widział łopatki, comber, udziec starannie zamarynowane, upieczone na rożnie, pocięte na plastry, odgrzane na patelni.

Zresztą oba te uczucia: pragnienie odwetu i łakomstwo, tworzyły w jego mózgu mieszaninę, cały czas pędząc przed siebie śmiał się ukradkiem widząc jednocześnie godne pożałowania miny barona i jego ludzi wracających do zamku de Vez przez rzadkie zarośla, a także swoją własną fizjonomię, gdy zamknąwszy dobrze drzwi, w towarzystwie garnca wina, zasiada do stołu sam na sam z udźcem, z którego po nakłuciu widelcem wycieka smakowita, pachnąca, żółta strużka...

Daniel, o ile Thibault mógł się domyślać, pognał w stronę mostu na rzece Ourcq, pomiędzy Noroy i Toesne.

W czasach, gdy opisywane wydarzenia miały miejsce, istniał most łączący jeden brzeg z drugim, zbudowany z tarcicy i kilku desek.

Rzeka była wezbrana, a prąd potężny, Thibault pomyślał więc, że daniel nie zaryzykuje przechodzenia w bród.

Ukrywszy się za skałą, tuż przy wejściu na most, czekał.

Niebawem w odległości dziesięciu kroków, zobaczył nagle piękną głowę zwierzęcia, które zwracając uszy pod wiatr usiłowało pochwycić w powiewach hałas, jaki czynili jego wrogowie.

Thibault, poruszony jego nagłym pojawieniem, wychylił się zza skały, ścisnął oszczep w dłoni i rzucił nim w daniela.

Daniel jednym susem znalazł się na środku mostu, po czym skoczył na przeciwny brzeg rzeki i błyskawicznie zniknął z oczu Thibaulta.

Oszczep przeleciał o stopę przed zwierzęciem i utkwiał w murawie o piętnaście

kroków od Thibaulta.

Nigdy dotychczas nasz bohater nie popełnił podobnej niezręczności. On, który przemierzył całą Francję i który był tak pewien celności swej ręki.

Wściekły na siebie wyrwał oszczep z ziemi i skoczywszy prawie tak zręcznie jak daniel, przebył most.

Thibault znał tę okolicę równie dobrze jak ścigane zwierzę. Pognał przed siebie, zagłębił się w gęste zarośla za bukiem rosnącym w polowie zbocza, nie opodal od przecinającej je wąskiej ścieżki.

Tym razem daniel był tak blisko, że Thibault zastanawiał się czy nie należałoby go ugodzić oszczepem.

Ów moment wahania trwał zaledwie jeden błysk, lecz zwierzę było szybsze. Thibault rzucił oszczepem, gdy znajdowało się o dwadzieścia kroków, lecz i teraz, tak jak za pierwszym razem, daniel szczęśliwie uniknął ciosu.

Słychać było szczekanie psów, które zbliżały się całą gromadą. Thibault czuł, że jeśli upłynie jeszcze kilka minut, jego zamiar stanie się niemożliwy do wykonania.

Trzeba jednak oddać honor przynajmniej jego wytrwałości, przecież mimo, że mnożyły się trudności, nie poniechał zabicia daniela.

— Muszę go dostać — wykrzyknął Thibault. — Muszę! Jeśli istnieje jakaś sprawiedliwość dla ubogich, to mam swoją rację. Na Boga! Jestem gotów udowodnić temu nędznemu baronowi, że jestem człowiekiem tak jak on.

Thibault porwał z ziemi oszczep i rzucił się w pogoń.

Trzeba jednak stwierdzić, że dobry Pan Bóg, którego wzywał, albo go nie dosłyszał, albo chciał mu uczynić na przekór, bowiem trzecia próba zabicia daniela, podobnie jak dwie pierwsze, spełzła na niczym.

— Do stu piorunów! — krzyczał Thibault. — Widać Pan Bóg jest najwyraźniej głuchy. Doskonale! Skoro tak, to diabeł zapewne otworzy uszy i mnie wreszcie usłyszy! Bóg czy diabeł, wszystko jedno, chcę dostać tego przeklętego daniela i zrobię to!

Nim Thibault skończył wygłaszać to podwójne bluźnierstwo, daniel zrobił zwrot, po raz czwarty przebiegł mu przed nosem i zniknął w zaroślach.

Trwało to zaledwie chwilę, pojawienie się zwierzęcia było tak nieoczekiwane, że Thibault nie miał nawet czasu, by wznieść oszczep.

Zresztą szczekanie psów słyhać było tuż tuż i Thibault pomyślał, że kontynuowanie pościgu byłoby wielką nieostrożnością.

Rozejrzał się wokół, dostrzegł dęb o potężnych konarach, rzucił oszczep w krzaki, błyskawicznie wspiął się po pniu i ukrył w listowiu.

Przypuszczał, i miał rację, że skoro daniel ciągle umyka, myśliwi będą musieli się posuwać po śladach kluczącego zwierzęcia.

Nie minęło pięć minut, a już Thibault skryty wśród gałęzi ujrzał nadbiegającą sforę i barona, który mimo swych pięćdziesięciu pięciu lat był na czele orszaku myśliwych, tak jak to było w czasach, gdy miał lat dwadzieścia.

Tak czy owak pana de Vez ogarnęła furia, której nie sposób opisać.

Stracić cztery godziny na pogoń za tak nędzną zwierzyną i wciąż jeszcze ją ścigać!

Nigdy dotąd baronowi nie przydarzyła się podobna rzecz.

Łajał ludzi, smagał psy szpicrutą, orał ostrogami brzuch swego wierzchowca, tak że krew zabarwiła na czerwono błoto na sztylpach jeźdźca.

Gdy orszak myśliwych zbliżył się do mostu, furia barona na moment opadła. Ludzie wokół niego tak się skupili, że gdy przebyli na drugą stronę rzeki mogli się ukryć pod płaszczem łowczego.

Baron był teraz w dobrym humorze, nie wystarczyło mu podśpiewywanie pod nosem, ujął róg myśliwski i zadał weń z całych sił, co czynił tylko przy nader rzadkich okazjach.

Niestety, radość pana nie miała potrwać zbyt długo. W chwili gdy psy, dzwoniąc gromadnie, dawały koncert, który coraz bardziej cieszył uszy barona, i gdy dotarły do drzewa, na którym ukrył się Thibault, stanęły jak wryte i sfora ucichła nagle jak zaczarowana.

Marcotte na rozkaz pana zszedł z konia, by zobaczyć, co się dzieje. Psiarczycowicie ruszyli, by towarzyszyć poszukiwaniom Marcotte'a.

Nie dostrzeżono niczego.

Lecz Engoulevant, któremu bardzo zależało, by złowić i odtrąbić tropione zwierzę, oderwał się od gromady i poszedł szukać na własną rękę.

Wszyscy więc szukali, krzycząc i strofując psy, gdy nagle ponad cały ten harmider wybił się głos grzmiący jak burza, a był to głos pana de Vez.

— Do kroćset diabłów! — ryknął. — Marcotte, czy psy wpadły do jamy?

— Nie, wielmożny panie, są tutaj. Ale straciły trop!

— Jak to, straciły trop? — krzyknął baron.

— Nic na to nie poradzę. Nie rozumiem, jak się to mogło stać, lecz tak właśnie jest.

— Straciły trop? — powtórzył baron. — Straciły trop tu. pośrodku lasu, w miejscu gdzie nie ma ani strumienia, który zwierzę mogło przeskoczyć, ani skał, na które mogło się wspiąć? Jesteś głupi, Marcotte!

— Ja, głupi? Panie baronie!

— Tak, ty! Jesteś głupi, tak jak te psy, niesforne niedołęgi.

Marcotte zazwyczaj znośił z godną podziwu cierpliwością wymysły, którymi baron hojnie obsypywał wszystkich podczas łowów, lecz epitet „niedołęgi”, zastosowany wobec psów, nadwyrężył jego zwykłą pobłażliwość, więc prostując się rzekł:

— Panie baronie, jak to niedołęgi? — wyrzucił z siebie gwałtownie. — Moje psy, niedołęgi? Moje psy, które dopadły starego wilka po tym szalonym pościgu, kiedy pański koń padł? Moje psy, niedołęgi?

— Tak, powtarzam — niedołęgi. Tylko niedołęgi mogą stracić trop daniela podczas polowania. Podczas pościgu trwającego zaledwie parę godzin...

— Panie — odparł Marcotte tonem pełnym godności i urazy. — Może pan rzec, że to mój błąd, że jestem głupcem, bydlęciem, durniem, bałwanem i nicponiem. Może mnie pan zwymyślać, zmieszać z błotem, mnie, moją żonę, moje

dzieci, wszystko zniosę. Ale na wszystkie przysługi jakie panu oddałem, niech pan nie podważa mojej pozycji, pierwszego psiarczyka, niech pan nie złorzeczy własnej sforze.

— Lecz jak wyjaśnisz ich milczenie? Powiedz, jak to wytłumaczysz? Niczego innego od ciebie nie żądam prócz wyjaśnienia tej kwestii. Mów, słucham.

— Nie mogę tego zrozumieć, tak samo jak pan, baronie. Ten przeklęty daniel albo został porwany i uniesiony pod niebo w chmury, albo zniknął we wnętrzu ziemi.

— A to paradne! — powiedział baron Jan. — Nasz daniel zagrzebał się w norze jak królik, albo wzniósł się w górę, jak spłoszony cietrzew.

— Wielmożny panie, to tylko słowa, którymi próbowałem wyrazić myśl. Ale prawdę mówiąc muszą w tym być jakieś czary. I równie pewne, jak to, że teraz jest dzień, jest to, iż moje psy zamilkły, położyły się na ziemi wszystkie jednocześnie i bez wahania! Proszę zapytać ludzi, którzy byli wraz ze mną. Widzi pan. wszak leżą wszystkie na brzuchach, jakby odpoczywały. Czy to naturalne?

— Zdziel je batem! Więc zdziel je batem czym prędzej! — ryknął baron. — Wychłószcz je, aż spłyną krwią! To najlepszy sposób, by przegnać złego ducha.

Baron Jan zbliżył się, by wzmóc kilkoma razami bata egzorcyzmy, jakie nad nieszczęsnymi zwierzętami odprawiał Marcotte, gdy Engoulevent, trzymając kapelusz w ręce nieśmiało wstrzymał konia barona.

— Wielmożny panie — odezwał się — Wydaje mi się, że odkryłem na drzewie kukułkę, która mogłaby nam wyjaśnić, co tu się wydarzyło.

— Co za bzdury opowiadasz o jakiejś kukułce, małpi synu? — ryknął baron. — Poczekaj, poczekaj, wesołku, zaraz się przekonasz, ile kosztują takie drwiny z własnego pana.

I baron uniósł szpicrutę.

Lecz Engoulevent ze stoickim spokojem, wskazując dłonią między gałęzie drzewa, ciągnął:

— Może mnie pan zdzielić szpicrutą, jeśli taka jest pańska wola, ale potem

proszę spojrzeć na drzewo, gdzie wasza wysokość ujrzy owego ptaszka. Myślę jednak, że raczej wart jestem pistola niż chłosty.

I pocziwiec ponownie wskazał na dąb, gdzie Thibault się schronił aż na samym wierzchołku, oczekując przybycia myśliwych.

Baron osłonił dłonią oczy, spojrział między konary i dostrzegł owego ptaszka.

— Oto rzecz szczególna! — rzekł. — W lesie Villers-Cotterêts daniela chowają się w norach jak lisy, a ludzie siadają na drzewach jak kruki. No cóż — ciągnął ów zacny pan — zaraz się przekonamy, co to wszystko znaczy. — i zwiijając dłoń w trąbkę zawołał donośnie: — Ej, przyjacielu! Czy parę minut rozmowy ze mną nie sprawi ci aby przykrości?

Thibault milczał jak zaklęty.

— Łaskawy panie — rzekł Engoulevant. — Jeśli pan sobie życzy... — I zrobił ruch wskazujący, że gotów jest wspiąć się na drzewo.

— Nie trzeba — odparł baron, a mówiąc te słowa wykonał gest zakazu. — Ej, przyjacielu! — powtórzył, wciąż jeszcze nie poznając w siedzącym na drzewie człowieku Thibaulta. — Nie masz ochoty odpowiadać? Powiedz „tak” lub „nie”.

Po czym zrobił dłuższą pauzę.

— Ach, cóż, odnoszę wrażenie, że odpowiedź brzmi „nie”. Udajesz głuchego. Poczekaj chwilkę, spróbuję mówić głośniej.

Wyciągnął rękę do Marcotte'a, który odgadując myśl pana podał mu dubeltówkę.

Thibault, pragnąc zmylić myśliwych, nie chciał łamać suchych gałęzi, przywarł tak mocno do pnia, że mógł nie dostrzec gestu barona, a osądziwszy, że to tylko pogróżka nie przywiązał do niego należytej wagi.

Wielki łowczy chwilę czekał na odpowiedź, lecz widać myśląc, że jej nie uzyska, nacisnął spust. Padł strzał i natychmiast rozległ się trzask.

Złamał się konar, na którym siedział Thibault.

Baron, wyborny strzelec, trafił dokładnie w miejsce między pniem drzewa, a stopą szewca.

Pozbawiony oparcia Thibault zaczął spadać z wysokości.

Na szczęście dąb był rozłożysty i gęste konary osłabiły gwałtowność upadku. Thibault legł na murawie nie doznawszy innych szkód prócz przestrawienia i obrażeń tej części ciała, która jako pierwsza zetknęła się z ziemią.

— Na rogi Belzebuba! — wykrzyknął baron z satysfakcją, której przyczyną był tak celny strzał. — Toż to ten sam kpiarz, którego spotkałem rano! Ależ z niego wesolek! Czy konwersacja z moją szpicrutą wydała ci się zbyt krótka i postanowiłeś ją kontynuować w miejscu, w którym przerwaliśmy?

— Jeśli o tym mowa, przysięgam, że nie mam najmniejszej ochoty, łaskawy panie — odrzekł Thibault najzupełniej szczerze.

— Tak będzie na pewno lepiej dla twojej skóry, chłopcze. A teraz opowiedz mi, co robiłeś tam wysoko, na czubku drzewa?

— Jak pan dobrze widzi, — odparł Thibault wskazując na odłamki rozrzucone tu i ówdzie u stóp dębu — chciałem ściąć nieco suchego drwa na opał.

— Świetnie, doskonale. A teraz szybko i bez ociągania opowiesz, co się stało z naszym daniелеm.

— Do diaska, skoro przez cały czas tkwił uczepiony najwyższych gałęzi, powinien był widzieć zwierzę — odrzekł Marcotte.

— Przysięgam panie, — odparł Thibault — że nie wiem, o co chodzi.

— Ach! — wykrzyknął Marcotte uradowany, że zły humor pana nie na nim się teraz skrupi. — On twierdzi, że nie widział daniela i w ogóle nie wie, o co chodzi. Proszę spojrzeć tu, łaskawy panie: oto na złamanej gałęzi kilka włosów z sierści daniela. Tu jest miejsce, gdzie zatrzymały się psy; ponieważ na ziemi są zapisane wszystkie ślady, z pewnością ani o dziesięć, ani o dwadzieścia, ani nawet w promieniu stu kroków od drzewa nie znajdziemy śladów zwierzęcia.

— Słyszysz, co mówi Marcotte? — spytał groźnie baron. — Siedziałeś wysoko na drzewie, daniel znajdował się pod tobą, na ziemi. Do diaska! Przebiegając z pewnością zrobił nieco więcej hałasu niż mysz. Musiałeś go zauważyć.

— Pewnie go zabił — stwierdził Marcotte. — Potem ukrył gdzieś w krzakach.

To jasne jak słońce.

— Ach, łaskawy panie! — wykrzyknął Thibault. — Któż lepiej od pańskiego psiarczyka wie, jaki błąd został popełniony. Panie, przysięgam, że nie zabiłem daniela. Klnę się na zbawienie mojej duszy! Jeśli go zraniłem, niech przepadnę na wieki! Wszakże, gdybym go zabił, nie mogłem tego uczynić nie raniąc zwierzęcia. Szukajcie, zacny panie psiarczyku i niech wam dopomoże Bóg! Nie znajdziecie tu nawet kropli krwi daniela. Ja miałbym zabić to nieszczęsne zwierzę!? Czym? Gdzież moja broń? Bogu dzięki, nie posiadam innej; niż ten oto nóż szewski. Zobaczcie, panie!

Na nieszczęście, nim Thibault skończył mówić, mistrz Engoulevent, od pewnego czasu krążący wokół, wynurzył się z zarośli, trzymając w rękach oszczep, który szewc cisnął w krzaki, nim się wdrapał na wierzchołek dębu.

Engoulevent pokazał broń baronowi.

Trzeba przyznać, że mistrz Engoulevent nie był zbyt przyjazny Thibaultowi.

ANGELETTE

Pan de Vez wziął oszczep z rąk Engouleventa. Przyglądał mu się długo i w milczeniu.

Potem wskazał na drzewcu mały sabot, który Thibault tam wyrył by móc rozpoznać swą własność.

Wszak broń ta służyła mu przez lata wędrówek po drogach Francji.

— Oto widzę, panie wesółku — rzekł wielki łowczy — przedmiot, który diablo źle świadczy przeciwko tobie! Ten oszczep mocno pachnie polowaniem. Hm! — baron chrząknął znacząco. — Oto co stwierdzam, łaskawco: kłusowałeś. A to poważne przestępstwo. Krzywoprzysięgałeś — a to wielki grzech. By więc uratować od potępienia twą duszę, na której zbawieniu tak ci zależy, odpokutujesz za wszystko — i zwracając się do pierwszego psiarczyka dodał: — Marcotte, najpierw weźmiesz dwie smycze i przywiążesz tego żartownisia do pnia,

zdejawszy mu przedtem kurtkę i koszulę. Następnie wymierzysz trzydzieści sześć razów rzemieniem: tuzin za krzywoprzysięstwo, a dwa tuziny za kłusowanie. Nie, pomyliłem się! Na odwrót: dwa tuziny za krzywoprzysięstwo, a jeden za kłusownictwo. We wszystkim należy oddawać pierwszeństwo Bogu.

Ten rozkaz był dobrą okazją dla sługi, który ucieszył się, iż znalazł ofiarę, by pomścić upokorzenia, jakich doznał tego dnia.

Mimo protestów Thibaulta, który klął się na wszystkich świętych patronów, jacy tylko są zapisani w kalendarzu, że nawet nie zadrasnął, ani daniela, ani łani, ani koziołka, ani kozy — zdarto z niego kurtkę i przywiązano do pnia.

Zaczęła się egzekucja.

Psiarczyk wykonując rozkaz swego pana z wielką gorliwością, zdzielił rzemieniem tak mocno, że Thibault, który choć przysięgał sobie, że nie wyda najmniejszego jęku, zacisnął zęby, zagryzł wargi, by dotrzymać słowa, przy trzecim uderzeniu krzyknął z bólu.

Baron Jan był, jak już widzieliśmy, najbardziej porywczym człowiekiem w promieniu dziesięciu mil, nie miał jednak twardego serca: skargi ofiary, które stawały się coraz głośniejsze, drażniły jego uszy.

Ponieważ jednak kłusownicy rozzuchwalili się ostatnio w posiadłości jego książęcej mości, uznał, że należy winnego rzetelnie ukarać. Postanowił jednak oddalić się, by nie oglądać całego spektaklu. Ujął już wodze, chcąc zawrócić.

W chwili gdy wykonywał ten manewr, z zagajnika wyszła młoda dziewczyna i rzuciła się na kolana tuż przy końskich kopytach, podnosząc na barona swe piękne, wielkie, wilgotne od łez oczy.

— Wielki panie, w imię Boga miłosiernego! Łaski dla tego człowieka!

Baron spojrzał na nią.

Była doprawdy urodziwa; miała około szesnastu lat, talię gibką i smukłą, cerę białoróżową, wielkie błękitne oczy o łagodnym wejrzeniu i jasne włosy tak bujne, że brzydki czepek z cieniutkiego materiału, który miała na głowie, nie był w stanie ich okiełznać, więc na wszystkie strony wymykały się spod niego niesforne

loki.

Mimo iż suknia z prostej materii była więcej niż skromna, baron Jan dostrzegł nadzwyczajny wdzięk dziewczyny. Ponieważ wcale nie był wrogiem ślicznotek, odpowiedział uśmiechem na wymowne spojrzenie uroczej wieśniaczki.

Przyglądał się jej jednak bez słowa, podczas gdy razy spadały na grzbiet skazańca. Dziewczyna powtórzyła prośbę czyniąc przy tym gest, bardzo wymowny.

— Łaski, w imię niebios, łaskawy panie! Powiedzcie swoim ludziom, by pozwolili odejść temu człowiekowi. Jego krzyki rozdzierają mi serce!

— Do stu fur beczek! — odparł baron. — Coś bardzo cię obchodzi los tego żartownisia. Czyżby był twym bratem?

— Nie, panie.

— Może kuzynem?

— Nie, panie.

— Może więc kochankiem?

— Kochankiem? Pan chyba żartuje.

— Czemu? Wyznam ślicznotko, że w takim przypadku zazdrościłbym mu wyboru.

Dziewczyna spuściła oczy.

— Nie znam go, panie. Widzę tego człowieka po raz pierwszy.

— Zapewne po raz pierwszy w tym stanie — odważył się powiedzieć Engoulevent, który widać uznał, że może sobie pozwolić na tę grubą złośliwość.

— Cicho tam! — uciął zdecydowanie baron. I zwróciwszy się z uśmiechem do dziewczęcia rzekł: — Doprawdy, jeżeli nie jest twoim kochankiem ani krewnym, proponuję byś dała mi za niego okup.

— Jaki?

— Łaska dla tego złodziejaszka za buziaka.

— Och, z całego serca — wykrzyknęła dziewczyna. — Okupić pocałunkiem życie człowieka! Jestem pewna, że nawet ksiądz proboszcz nie uzna tego za

grzech!

I nie czekając, aż baron pochylił się ku niej po tę słodką niespodziankę, zrzuciła jeden sabot, oparła drobną stópkę na bucie łowczego, chwyciła się grzywy i wspięła się na wysokość twarzy groźnego myśliwego. Po czym nadstawiła pod jego wargi policzki krągłe, świeże, pokryte aksamitnym puszkciem jak sierpniowa brzoskwinia.

Baron Jan prosił o jeden całus, wziął jednak dwa, po czym zgodnie z danym przyrzeczeniem, dał znak Marcotte'owi, by wstrzymał egzekucję.

Marcotte liczył skrupulatnie razy: rzemień wznosił się w powietrze po raz dwunasty, gdy sługa otrzymał rozkaz.

Osądził, że nie powinien przerywać chłosty w tym momencie: być może sam od siebie chciał dodać dwa porządne szturchańce; by więc dopełnić dobrej miarki, smagnął po raz trzynasty, jeszcze okrutniej niż poprzednio.

Zaraz potem zaprzestano chłosty.

Baron tymczasem gawędził z dziewczyną.

— Jak cię zwa, ślicznotko?

— Georginia, panie, od imienia mojej matki. Ale ludzie na wsi wołają na mnie zwyczajnie, Angelette (co znaczy jagniątko).

— Do diabła, to bardzo niebezpieczne, moje dziecko — rzekł pan de Vez.

— Czemu, panie? — spytała dziewczyna.

— W ten sposób kuszą wilka, moja śliczna. Skąd pochodzisz?

— Z Préciamont, panie.

— I sama chodzisz do lasu? Moje dziecko, to zuchwałe ze strony takiego jagniątko.

— Muszę tak czynić, panie. Moja babka i ja mamy trzy kozy, które są naszymi jedynymi karmicielkami.

— Przychodzisz tu zbierać strawę dla kóz?

— Tak, panie.

— I nie boisz się tak sama, młoda i śliczna?

— Bywa czasami, panie, że nie mogę powstrzymać drżenia.

— A czemu drżysz?

— Ach, panie, zapewne na skutek opowieści o wilkołakach, jakich słuchałam przez tyle zimowych wieczorów, zapewne one są powodem, że gdy błędę między drzewami i słyszę, jak w podmuchach zachodniego wiatru trzeszczą gałęzie, przejmuję mnie dreszcz i czuję, że włosy jeżą mi się na głowie. Ale gdy dobiegnie mnie głos pańskiego rogu i szczekania psów, od razu czuję się bezpieczna.

Ta odpowiedź niezwykle spodobała się baronowi, który odpowiedział, z zadowoleniem głaszcząc brodę:

— Tak, tak, prawdą jest, że prowadzimy wojnę z wilkami, ale na miłość Boską, moja śliczna, znam lepszy sposób, by w przyszłości oszczędzić ci niepokojów.

— Jaki, panie?

— Przyjdź kiedyś do zamku de Vez. Nigdy żaden wilk czy to zwykły leśny, czy wilkołak nie przekroczył fosy ani bramy w inny sposób, jak tylko przywiązany do leszczynowej tyczki.

Angelette potrząsnęła głową.

— Nie chcesz? A to czemu?

— Uważam, że to gorsze od wilka.

Ta odpowiedź wywołała wybuch śmiechu barona i cały orszak myśliwych widząc, iż pan się śmieje, zaczął mu wtórować.

W istocie widok Angelette przywrócił panu de Vez dobry humor i być może pozostałby tu jeszcze gawędząc z nią wesoło, gdyby nie Marcotte, który zatrafił na odwrót chybionych łowów, biorąc przy tym psy na smycz. Z całym należnym szacunkiem przypomniał też panu, że czeka ich jeszcze długa droga do zamku. Baron pogroził dziewczynie żartobliwie palcem i oddalił się na czele orszaku.

Angelette została sam na sam z Thibaultem.

Opisałem, jak wiele Angelette uczyniła dla Thibaulta i jak była urodziwa.

Tymczasem, gdy Thibault został sam na sam z dziewczynką, jego pierwszą

myślą, nie była wdzięczność do zbawczym. Ogarnęło go uczucie wściekłości i chęć zemsty.

Jak widać, od samego ranka Thibault podążał rażno drogą wiodącą prosto do zła.

— Niech cię diabli porwą, przeklęty! — wykrzyknął potrząsając pięścią za znikającą kawalkadę. — Niech cię wszyscy diabli! Oddam ci z nawiązką wszystko, co musiałem dzisiaj wycierpieć!

— Ach, nie wolno tak mówić — rzekła Angelette, zbliżając się do Thibaulta. — Baron Jan jest dobrym panem, ludzkim dla biedaków i zawsze bardzo dwornym wobec niewiast.

— Doskonale! Zobaczysz, jaką mu okażę wdzięczność za razy, którymi mnie obsypał.

— Musisz jednak przyznać szczerze — odparła ze śmiechem dziewczyna — że te razy nie były kradzione.

— Ach, ach! — wykrzyknął Thibault. — Coś mi się wydaje, że pocałunek barona całkiem ci zawrócił w głowie, Angelette.

— Nigdy bym nie pomyślała, że właśnie pan będzie mi wymawiał ten pocałunek. Ale jeszcze raz powiem to samo: baron Jan był w swoim prawie.

— Każąc mnie wychłostać?

— A czemu polujecie w książęcych lasach?

— Czyż zwierzyna nie należy do wszystkich, zarówno do wieśniaków, jak i do wielkich panów?

— Nie. Zwierzyna żyje w ich lasach, żywi się ich ziołami, a wy nie macie prawa rzucać oszczepem w daniela jego wysokości księcia Orleanu.

— A kto ci powiedział, że rzucałem oszczepem w jego daniela? — rzekł Thibault zbliżając się do Angelette z groźną miną.

— Kto mi powiedział? Wzrok, który panie Thibault, nigdy mnie jeszcze nie zmylił. Tak, widziałam, jak rzucaliście oszczepem, ukryci za bukiem.

Pewność, z jaką dziewczyna przeciwstawiła prawdę jego kłamstwu, spowo-

dowała, że Thibault wybuchnął niepohamowanym gniewem.

— Doskonale! — rzekł. — A więc taka surowa kara powinna spotkać biedaka, gdy raz jeden zapragnie zwierzyny, jakiej zbywa wielkiemu panu. Jesteś więc Angelette, tego samego zdania co sędziowie, którzy powiadają, że winno się wieszać człowieka za jednego królika? Proszę, proszę... A może myślisz, że dobry Bóg stworzył daniela wyłącznie dla pana barona!

— Dobry Bóg, panie Thibault, mówi, że nie należy pożądać własności bliźniego swego. Przestrzegajcie boskich przykazań, a nigdy nie zbłądźcie!

— Ach! Widać mnie znasz, Angelette, skoro wymawiasz moje imię!

— Przypominam sobie, że widziałam was na jarmarku w Boursonnes; uznano was wtedy za najlepszego tancerza, utworzono koło i tańczono wokół was.

Komplement rozbroił Thibaulta.

— Tak, tak — przyznał — teraz ja też sobie przypominam, że cię widziałem. Podczas tego jarmarku w Boursonne nawet tańczyliśmy razem; tylko byłaś wtedy niższa niż dziś! Oto dlaczego dopiero teraz cię poznaję. Tak, miałaś różową suknię i biały gorsecik. Chciałem cię pocałować, ale ty nie pozwalałaś, mówiąc, że w tańcu całować wolno tylko tę osobę, która się na to zgadza.

— Macie świetną pamięć, panie Thibault!

— Muszę rzec, Angelette, że przez ten rok, bo to przecież już rok minął, zdołałaś nie tylko wyrosnąć, ale i wypięknąć! Umiesz robić dwie rzeczy na raz!

Młoda dziewczyna zarumieniła się i spuściła oczy.

Rumieniec i zmieszanie dodały jej wdzięku.

Thibault zaczął się jej przyglądać uważniej niż dotychczas.

— Masz kochanka, Angelette'? — zapytał piękną dziewczynę głosem zdradzającym pewne wzruszenie.

— Nie, panie Thibault — odparła. — Nie mam. Zresztą nie mogę ani nie chcę tego.

— A to dlaczego? Uważasz, że trafisz na jakiegoś niecnotę i tego się boisz?

— Nie. Ale nie chcę i nie potrzebuję kochanka.

— A czego potrzebujesz?

— Męża.

Thibault uczynił gest, którego Angelette nie dostrzegła lub też udała, że nie widzi.

— Tak — powtórzyła — męża. Moja babka jest już stara i niedołężna, a kochanek przeszkadzałby w opiekowaniu się staruszką. Za to mąż, jeśli poznam dzielnego, porządnego chłopca, który zechce mnie poślubić, pomoże mi, będzie dzielił ze mną obowiązek, który Bóg mi powierzył bym mogła uczynić pogodnymi jej ostatnie dni.

— Ale — odparł Thibault — czy mąż pozwoli ci poświęcać tyle czasu i uczuć starej kobiecie? Czy nie będzie zazdrosny o czułość, jaką obdarzasz staruszkę?

— Och, — odparła Angelette uśmiechając się wdzięcznie — nie ma takiego niebezpieczeństwa. Wszystko urządzę tak, by znaleźć dla niego dość czasu i by nie musiał się na nic uskarżać. Im będzie łagodniejszy i cierpliwszy wobec tej dobrej kobiety, tym bardziej będę mu oddana. Będę pracować usilnie, by w naszym małym domku niczego nie zabrakło. Może wyglądam na wiotką i kruchą. Nie wyobraża pan sobie jednak, jaka jestem silna. Obawia się pan, że nie dałabym sobie rady? W pracy jestem mocna i dzielna... Gdy tylko serce powie jedno słowo, można pracować dzień i noc bez znużenia. Będę bardzo kochała tego, który pokocha moją babkę. Powiem panu: ona, mój mąż i ja będziemy w trójkę bardzo szczęśliwi.

— Powiedziałbym raczej, że przede wszystkim w trójkę będziecie klepać biedę.

— Jak to? Czyżby miłość i przyjaźń bogaczy warte były choć o grosz więcej niż uczucia biedaków? Jestem taka szczęśliwa, gdy babcia obsypuje mnie pieścizotami, gdy bierze mnie w swoje ramiona, gdy jej pomarszczony policzek przytula się do mojego, gdy czuję, że z jej oczu płyną łzy rozczenia, ja też zaczynam płakać, i te łzy, panie Thibault, płyną tak łatwo... Ogarnia mnie wówczas uczucie takiej słodyczy, jakiej nigdy żadna mężatka czy panna by nie doznała,

nawet gdyby była królową czy księżniczką. A właśnie my obie jesteśmy najuboższe w całej okolicy.

Thibault słuchał jej w milczeniu, poruszony tym obrazem, który z pewnością wydał mu się szczególny, zważywszy na jego wybujałe ambicje. Trzeba bowiem przyznać, że pośród tych snów górnych nachodziły go czasem chwile słabości i zniechęcenia.

On, który często spędzał długie godziny na przyglądaniu się, jak piękne i szlachetne damy, przebywające na dworze księcia Orleanu, wchodziły i schodziły po zewnętrznych schodach; on, który całe noce wpatrywał się w gotyckie okna donżonu de Vez rozbłyskujące światłami podczas uroczystych festynów, pytał teraz sam siebie, czy jakaś szlachetna i bogata dama warta by była strzechy, pod którą mieszka ta piękna dziewczyna, zwana Angelette.

Co prawda ta urodziwa wieśniaczka była obdarzona takim urokiem, iż okoliczni książęta i baronowie z pewnością szczerze by mu jej zazdrościli.

— Powiedz mi, Angelette — rzekł Thibault. — Czy gdyby człowiek taki jak ja poprosił cię o rękę, przyjęłabyś jego oświadczenia?

Wspomniałem już, że Thibault był przystojnym chłopcem: miał piękne oczy, bujne czarne włosy, a wędrówki po Francji sprawiły, że różnił się obejściem od prostaków. Zresztą wszyscy przywiązujemy się szybko do ludzi, którym oddaliśmy przysługę, a Angelette, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, uratowała życie Thibaultowi, bowiem Marcotte chłostał go w taki sposób, że nim wymierzono by ów trzydziesty szósty raz rzemieniem, ofiara oddałaby życie.

— Gdyby był dobry dla mojej babki! — odparła.

Thibault ujął dłoń dziewczyny.

— Droga Angelette — rzekł — Chcę więc pomówić z nią o tym jak najszybciej.

— Jak pan sobie życzy, panie Thibault.

— I przysięgniesz Angelette, że będziesz mnie kochać, jeśli cię poślubię?

— Czyż można kochać innego mężczyznę prócz męża? — zdziwiła się

dziewczyna.

— Nieważne. Chciałbym, żebyś mi złożyła skromną obietnicę, żebyś powiedziała na przykład tak: „Panie Thibault, przysięgam, że zawsze będę kochać tylko pana”.

— A po co? Przyrzeczenie uczciwej dziewczyny powinno wystarczyć porządному chłopcu.

— A kiedy ślub? — spytał Thibault usiłując objąć ją ramieniem.

Angelette usunęła się zrećźnie.

— Proszę złożyć wizytę mojej babce — powiedziała. — Ona o wszystkim zdecyduje. Dziś wieczór musi się pan zadowolić tym, że pozwolę sobie pomóc. Może pan wziąć na ramię moją wiązkę chrustu? Jest późno, a do Préciamont trzeba iść całą milę.

Thibault pomógł jej: zarzucił wiązkę na ramię, odprowadził ją do opłotków Billemont, to znaczy do miejsca, z którego widać było dzwonnice osiedla.

Żegnając się tak długo nalegał, aż piękna Angelette pozwoliła mu na jeden pocałunek, traktując to jako zaliczkę na poczet ich przyszłego szczęścia małżeńskiego.

Bardziej poruszona pocałunkiem Thibaulta niż podwójnym barona, Angelette przyspieszyła kroku mimo ciężaru, który spoczywał na jej ramieniu, a który wydawał się zbyt duży dla drobnej i kruchej istoty.

Thibault stał jeszcze przez chwilę patrząc za Angelette oddalającą się ścieżką, wiodącą przez wrzosowiska.

Smukłymi ramionami podtrzymywała ładunek. Gdy tak szła, jej postać wydawała się jeszcze bardziej gibka i smukła

Szczupła sylwetka dziewczyny rysowała się wdzięcznie na tle błękitnego nieba.

Wreszcie dotarła do pierwszych zabudowań miasteczka i w jednej chwili znikła z oczu Thibaulta w zagłębieniu terenu.

Westchnął, a westchnienie, które wyrwało się z jego piersi nie było wcale

wywołane zadowoleniem, spowodowanym myślą, że to urocze stworzenie mogłoby należeć do niego.

Nie; pragnął Angelette, ponieważ była młoda i urodziwa, a także dlatego, że zgodnie ze swoją nieszczęsną naturą zawsze pożywał wszystkiego, co należało lub mogłoby należeć do kogoś innego.

Poddał się temu pragnieniu pod wrażeniem naiwności, jaką dziewczyna okazała w rozmowie.

Obraz Angelette pozostał więc w myślach Thibaulta, lecz nie w jego sercu.

Był on bowiem niezdolny do prawdziwej miłości; sam ubogi nie umiał pokochać biednej dziewczyny, która wniosłaby w posagu jedynie uczucie.

Wręcz przeciwnie: w miarę jak oddalał się od Angelette, swego dobrego ducha, czuł, że odradza się owe pożywanie, które ogarniało jego duszę tak często.

Gdy wrócił do swej chatki, wokół była już ciemna noc.

CZARNY WILK

W domu Thibault najpierw pomyślał o posiłku, był bowiem bardzo wyczerpany.

Dzień obfitował w wydarzenia niezwykle, a wśród przygód spotkały go i takie, które pobudziły jego apetyt szczególnie.

Jednakże jego kolacja nie była tak obfita i smaczna jak ta, na jaką liczył polując na daniela.

Jak już zresztą powiedziałem, nie złowił zwierzęcia i dziki głód, jaki go przygnał do domu, pozwolił docenić wyborny smak kęsa czarnego chleba.

Ledwie Thibault rozpoczął skromny posiłek, jego koza — czy wspomniałem, iż Thibault miał kozę? — zaczęła meczeć rozpaczliwie.

Pomyślał więc, że to z głodu i wyciągnąwszy spod daszku wiązkę suchych ziół, miał zamiar nakarmić zwierzę. Gdy tylko otworzył drzwiczki obórki, koza skoczyła tak gwałtownie, że o mało nie przewróciła Thibaulta. Następnie, nie

zwracając najmniejszej uwagi na pożywienie, jakie jej niósł, wbiegła do izby.

Thibault rzucił wiązkę na ziemię i powrócił do swej izdebki, chcąc odpro-
wadzić kozę na jej właściwe miejsce. Była to rzecz niemożliwa. Użył przemocy,
lecz zwierzę opierało mu się z całą stanowczością, do jakiej tylko koza jest
zdolna, zapierając się i wierzgając kopytkami. Wreszcie złapał ją za rogi.

Na koniec, pokonana w nierównej walce, powróciła do obórki.

Lecz mimo obfitego posiłku, jaki Thibault jej zostawił, nie przestawała
przeraźliwie meczeć.

Zniecierpliwiony i zaciekawiony wstał od stołu po raz wtóry i uchylił
drzwiczki obórki ostrożnie, by nie mogła się wymknąć. Następnie zaczął macać
po kątach i zakamarkach, szukając przyczyny popłochu, w jaki wpadło zwierzę.
W pewnym momencie jego palce natknęły się na ciepłą, gęstą sierść jakiegoś
nieznanego zwierzęcia.

Thibault nie był tchórzem. Niemniej jednak cofnął się nie chcąc działać po-
chopnie.

Wrócił do izby i z latarnią powrócił do obórki.

Trzeba przyznać, iż latarnia omal nie wypadła mu z ręki, gdy w zwierzęciu,
które wystraszyło jego kozę, rozpoznał daniela! Tego samego, którego najpierw
ścigał, potem chybił, którego chciał złowić z pomocą diabła, skoro pomoc boska
była niemożliwa; tego samego, z którego powodu psy zachowały się tak dziwnie;
wreszcie tego, z którego przyczyny dostała się Thibaultowi niezła porcja batów.

Thibault podchodził wolniutko, upewniwszy się jednak uprzednio, że po-
rządnie zamknął za sobą drzwi.

Nieszczęsne zwierzę było tak wyczerpane, że nawet nie drgnęło i nie pró-
bowało ucieczki. Spoglądało na Thibaulta czarnymi, aksamitnymi oczami, które
strach czynił jeszcze bardziej wyrazistymi.

— Widać zostawiłem otwarte drzwi — mruknął szewc pod nosem, — i daniel
nie wiedząc, jak się wymknąć, tutaj znalazł kryjówkę.

Wszakże Thibault pamiętał doskonale, że gdy otwierał obórkę za pierwszym

razem, drewniany skobel był tak dobrze wciśnięty, że musiał posłużyć się kamieniem, by go wybić z otworu.

Zresztą koza, która jak wiemy, wcale nie była zachwycona obecnością nieznanego przybysza, z pewnością wymknęłaby się przez szparę, gdyby drzwi były otwarte.

Przyglądając się już z bliska danielowi Thibault zwrócił uwagę, że daniel jest przywiązany do drabek powrozem.

Mimo, iż jak już wspominaliśmy, szewc był człowiekiem raczej odważnym, wielkie krople zimnego potu wystąpiły na jego czole, a dziwny dreszcz przeszył ciało. Thibault zaczął szczekać zębami.

Wysunął się z obórki, zamknął drzwiczki i ruszył szukać kozy, która skorzystała z chwili, gdy szewc szukał latarni i uciekła. Leżała teraz przy kominku, zdecydowana tym razem w sposób oczywisty nie opuszczać miejsca, które widać tego wieczora bardziej jej odpowiadało niż zwykle leże.

Thibault, przypomniał sobie bezbożne życzenie, z którym zwrócił się do Szatana; uznając, że co prawda życzenie spełniło się w cudowny sposób, jednak trudno było mu uwierzyć w diabelską interwencję.

Tymczasem, panujące wokół ciemności wzmogły instynktowny lęk, próbował się modlić; lecz gdy chciał wnieść dłoń do czoła, by nakreślić znak krzyża, jego ramię stało się odporne, nie chciało się zgiąć; mimo iż dotychczas codziennie odmawiał modlitwę, teraz nie mógł sobie przypomnieć słów „zdrowaśki”.

Podczas gdy czynił te bezowocne wysiłki, w jego myślach panował przeraźliwy zamęt.

Złe myśli krążyły uparcie; miał wrażenie, że ktoś szepce mu je wprost do ucha, przypominały falę przyływu lub trzask bezlistnych konarów, którymi potrząsa zimowy wiatr.

— Przecież nieważne, — szeptał z pobladłym czołem, patrząc znieruchomiałym wzrokiem w ciemność — czy daniela przywiódł Bóg czy diabeł, zawsze to niezła gratka. Byłbym głupcem, gdybym nie nadstawił miski, gdy manna sama

spada z nieba. Jeśli nawet zwierzę przybyło z piekła, nic mnie nie zmusza, bym jadł jego mięso. Zresztą i tak zjeść wszystkiego sam nie dam rady, ale gdy kogoś zaproszę, gość zdradzi mnie. Mogę jednak żywego daniela zaprowadzić do Remy, gdzie przeorysza kupi go ode mnie za dobre pieniądze, by sprawić przyjemność swym mniszkom. Poza tym samo powietrze w tym świętym miejscu oczyści zwierzę, a garść talarów, które dostanę w zapłacie, z pewnością nie zgubi mojej duszy.

Ile dni trzeba napocić się w pracy i obracać kopytem od świtu do nocy by zarobić ćwierć tego, co mogę otrzymać zaprowadziwszy zwierzę do nowego żłobu. Lepszy więc diabeł, jeśli się człowiekiem opiekuje, niż anioł, który go opuszcza. Jeżeli Jego Wysokość Szatan chciałby mnie zaprowadzić zbyt daleko, zawsze będzie czas, by wyrwać się z jego szponów. Na Boga! Nie jestem dzieckiem. Ani takim jagniątkiem, jak Georginia. Zmierzam prosto do celu i dotrę tam, gdzie zechcę.

Nieszczęsny Thibault sądził, że potrafi osiągnąć cel. Zapomniał, że pięć minut wcześniej nie mógł wzniesć ręki do czoła.

Sam sobie przedstawił tyle mocnych i tak przekonywających argumentów, że w końcu postanowił zatrzymać daniela, niezależnie od tego skąd pochodził, a nawet zdecydował, że otrzymane pieniądze przeznaczy na kupno sukni ślubnej dla narzeczonej.

I w tym momencie nieoczekiwanie przypomniała mu się Angelette.

Widział ją w powłóczystej, białej sukni z wiankiem białych lilii na czole i w długim welonie. Wydawało mu się, że jeśli będzie miał w swoim domu takiego anioła stróża, nawet najbardziej przebiegły diabeł nie ośmieli się przekroczyć progu.

— Dobrze! — rzekł. — Jest jeszcze jeden sposób; jeśli Szatan zbyt będzie mnie niepokoił, pobiegnę do babki Angelette i poproszę o rękę dziewczyny. Poślubię ją, a jeśli nie będę mógł przypomnieć sobie modlitwy czy uczynić znaku krzyża, śliczna młoda żona, która nie zadaje się z diabłem, wszystko mi przy-

pomni.

I zawarłszy w ten sposób pewien rodzaj kompromisu, po to by daniel nie stracił swej wartości, a zarazem był godny nabożnych mniszek, którym zamierzał go sprzedać, Thibault bardziej już pewny siebie, nałożył na drabki siana i zbadał, czy warstwa ściółki jest wystarczająco gruba i miękka, by zwierzę mogło wygodnie odpocząć.

Noc minęła bez żadnych nowych wydarzeń, a Thibault nie miał nawet złych snów.

Następnego dnia baron znów udał się na polowanie. Jednakże tym razem to nie płochliwy daniel był zwierzyną, którą tropiły psy; ścigano wilka, z którym Marcotte zawarł znajomość poprzedniego dnia i który pokazał się o świcie. Sztuka co się zowie.

Musiał być już wiekowy, co stwierdzono, gdy psy ruszyły zwierza z legowiska. Wszyscy zdumieli się widząc, że jego sierść jest czarna.

Zresztą obojętne, czarny czy szary był zuchwały i niezwykajnie przebiegły, widać było, że z pewnością wiele trudu sprawi baronowi i jego towarzyszom zdybanie tego zwierza.

Zaatakowany w pobliżu Vertefeuille, w głębi Dargent, przebiegi ukosem pola Meutard, pozostawił Fleury i Dampleux po swej lewej stronie, przekroczył drogę w Ferté-Milon i zagłębił się w gęstwinę Ivors.

Tam skręcił i wrócił po własnych śladach, tak dokładnie trzymając się przebytej drogi, że baron cały czas pędząc galopem odnalazł ślady, które kopyta jego wierzchowca pozostawiły rankiem.

Wróciwszy w okolice Bourg-Fontaine, wilk zaczął się miotać, kluczył tam i z powrotem, po czym zaprowadził myśliwych tam, gdzie miały miejsce przykre wypadki wczorajszego dnia czyli dokładnie rzecz biorąc w pobliże chatki Thibaulta.

Nasz bohater powziąwszy postanowienie, o którym pisałem, miał zamiar wieczorem udać się do Préciamont i złożyć wizytę Angelette. Wczesnym rankiem

wziął się do pracy, która wedle jego własnych słów przynosiła mu tak mały zysk i nie zaprowadził daniela do mniszek w Saint-Rémy.

Thibault był przezorny i dobrze wszystko przemyślał. Nie mógł przecież wędrować swobodnie przez lasy Villers-Cotterêts za dnia z daniелеm na powrozie.

Co by powiedział pierwszemu spotkanemu gajowemu?

Thibault postanowił wyruszyć ze swej chatki o zmroku, pójść najpierw w prawo, potem przesieką w stronę Sablonnière, natrafić na drogę do Pendu przecinającą pola Saint-Rémy o dwieście kroków od klasztoru.

Gdy po raz pierwszy tego dnia usłyszał odgłos rogów myśliwskich i ujadanie sfory, pospiesznie ułożył przed drzwiami obórki stos suchych gałęzi, by je zakryć przed oczyma ludzi z nagonki i ich pana, jeśli przypadkiem, tak jak wczoraj, orszak zatrzymałby się przed chatką.

Po czym wziął się do pracy z zapalem, jakiego nigdy przedtem u siebie nie spostrzegł; nawet nie podnosił oczu znad pary sabotów, które właśnie wygładzał.

Nagle usłyszał drapanie do drzwi.

Już wstawał z miejsca, by je otworzyć, gdy drzwi się uchyliły i ku ogromnemu zdumieniu Thibaulta do izby wkroczył na dwóch tylnych łapach, olbrzymi czarny wilk. Kiedy znalazł się na środku izby, usiadł jak prawdziwy wilk i wlepił w szewca ślepią.

Thibault złapał leżącą pod drzwiami siekierę i aby wypłoszyć dziwnego gościa zaczął wymachiwać groźnie tym narzędziem.

Fizjonomia wilka przybrała wyraz szyderstwa. Zaczął się śmiać.

Thibault po raz pierwszy słyszał śmiejącego się wilka. Wiedział, że wilki szczekają jak psy. Nigdy jednak nie słyszał, żeby wilki śmiały się jak ludzie. I to w jaki sposób! Człowiek, który śmiałby się jak ten wilk, nastraszyłby porządnie Thibaulta.

Opuścił więc wzniesione ramię.

— Klnę się na pana o widlastej stopie! — rzekł wilk głosem pełnym i

dźwięcznym. — Oto zuch, któremu na jego własne życzenie wysłałem najdrodniejszego daniela, jaki biegał w lasach jego książęcej mości, i który, aby się odwdzińczyć, chciał mi rozplatać czaszkę siekierą. Wdzięczność ludzka nie może się równać z wilczą.

Pod Thibaultem ugięły się kolana, gdy usłyszał głos podobny do własnego, wydobywający się z gardzieli zwierzęcia. Siekiera wypadła mu z rąk.

— Ale — ciągnął wilk — bądźmy rozsądni i porozmawiajmy jak przyjaciele. Wczoraj tak bardzo pragnąłeś daniela, że sam ci go przyprowadziłem do obórki. A żeby nie uciekł przywiązałem powrozem do drabek. Wydaje mi się, że chyba zasługuję na coś lepszego niż cios siekierą.

— Przecież nie wiem, kim jesteś — odparł niepewnie Thibault.

— Ach, nie poznałeś mnie. A więc to powód...

— Czyż mogłem rozpoznać przyjaciela pod tą brzydką skórą?

— Brzydką? — rzekł wilk przesuwając czerwonym jak krew jęzorem po czarnej sierści. — Do diaska! Trudno się z tobą dogadać. Nie chodzi zresztą o moją skórę. Czy jesteś gotów odwdzińczyć się za przysługę, którą ci oddałem?

— Z pewnością, — odparł szewc nieco zmieszany — ale muszę znać żądania. O co chodzi? Czego ode mnie chcesz?

— Przede wszystkim podaj mi wody. Te przekłete psy goniły mnie tak, że prawie straciłem dech.

— W tej chwili.

I Thibault zaczął pospiesznie szukać czarki, by napęlić ją świeżą i czystą wodą ze źródła, które tryskało dziesięć kroków od chatki.

Chciał gorliwością wykazać, jak bardzo jest rad, że wykręci się tak małym kosztem.

Postawił czarę przed wilkiem, czyniąc przy tym głęboki ukłon.

Wilk wychleptał zawartość czarki i ułożył się na podłodze, wyciągając przed siebie łapy na kształt Sfinksa.

— A teraz posłuchaj — rzekł.

— Chcesz ode mnie jeszcze czegoś? — spytał Thibault z drżeniem w głosie.

— Do kroćset! Jest pewna rzecz bardzo nagląca — odparł czarny wilk. — Słyszysz ujadanie psów?

— Na honor, słyszę! Jeśli będą się zbliżać w takim tempie, za pięć minut znajdą się w progu.

— Pojmujesz więc, że chodzi o to, by mnie od nich uwolnić.

— Uwolnić? Jak? — wykrzyknął Thibault, który sobie przypomniał, ile go kosztowało wczorajsze spotkanie z orszakiem myśliwskim barona.

— Do pioruna! Poszukaj jakiegoś sposobu. Wymyśl coś!

— Psy barona są doprawdy łowne i zajadłe... A ty mnie prosisz, ni mniej ni więcej, bym ci uratował życie. Obaj wiemy, że jeżeli cię dopadną, a dopadną z całą pewnością, rozszarpią cię w jednej chwili na kawałki. A więc, jeśli oszczędzę ci tej wątpliwej przyjemności — spytał Thibault czując dobrze, co się święci — jaka będzie moja nagroda?

— Jak to twoja nagroda? A daniel? — odparł wilk.

— A czarka wody'? — odparł Thibault. — Jesteśmy kwita. Teraz, jeśli sobie życzysz, możemy robić nowe interesy, zawierać układy. Nie mam nic przeciw temu.

— Niech i tak będzie! Czego sobie więc życzysz? Mów szybko!

— Są ludzie, którzy na moim miejscu — rzekł Thibault — wykorzystaliby sytuację i nadużyli twojej mocy żądając, by ich uczynić bogatymi, potężnymi, szlachetnymi. Nie chcę ich naśladować. Wczoraj chciałem daniela, i ty mi go dałeś, lecz jutro będę chciał czegoś innego. Od pewnego czasu opanowało mnie jakieś szaleństwo, ciągle czegoś pragnę, a ty nie możesz tracić czasu na wysłuchiwanie moich życzeń. Zrób więc rzecz taką: obdarz mnie, jesteś bowiem diabłem we własnej osobie lub kimś w tym rodzaju, obdarz mnie więc umiejętnością urzeczywistniania wszystkiego, czego zapragnę.

Wilk skrzywił się kpiąco.

— Tylko tyle? — rzekł. — Koniec nie pasuje do początku, coś się tu nie

zgadza.

— Och! — podjął Thibault — Bądź spokojny, moje życzenia są uczciwe i umiarkowane, odpowiednie dla stanu wieśniaczego, do którego należę. Mały skrawek ziemi, parę nędznych szczap na podpałkę, oto wszystko! Czegóż więcej może chcieć człowiek mojego pokroju?

— Z prawdziwą przyjemnością uczyniłbym to, o co prosisz — rzekł wilk. — Lecz jest to dla mnie po prostu niemożliwe.

— Cóż, musisz więc porzucić myśl o tym, że umkniesz rozwścieczonej sforcze.

— Robisz się wymagający. Sądzisz, że potrzebuję twojej pomocy?

— Nie sądzę, lecz jestem pewien.

— Doskonale! Więc patrz teraz uważnie.

— Na co? — zapytał Thibault.

— Na miejsce, w którym właśnie siedzę — rzekł wilk.

I oto tam, gdzie przed chwilą znajdował się wilk, nie było niczego. Wilk zniknął, nie wiadomo jak i kiedy. Nie pozostawiając najmniejszego śladu. W suficie nie było szpary by wetknąć szpilkę; w podłodze nie było szczeliny, przez którą mogłaby się przesączyć kropla wody.

— No i co, nadal myślisz, że nie mogę sobie poradzić bez ciebie? — spytał wilk.

— Gdzież więc jesteś, do diabła?

— Ach, jeśli wzywasz mnie moim prawdziwym imieniem — odparł wilk śmiejąc się drwiąco — muszę ci odpowiedzieć. Wciąż jestem na tym samym miejscu.

— Ale ja cię nie widzę!

— Po prostu dlatego, że jestem niewidzialny.

— Lecz psy, naganiacze i baron przyjdą tu ciebie szukać?

— Bez wątpienia; tylko, rzecz jasna, wcale mnie tu nie znajdą.

— Jeśli więc ciebie nie znajdą, wezmą się za mnie i znów dobiorą mi się do

skóry.

— Tak jak wczoraj. Tylko, że wczoraj byłeś skazany za kłusowanie na daniela na trzydzieści sześć razów rzemieniem. Dziś za ukrycie wilka będziesz skazany na siedemdziesiąt dwa. A brak tu Angelette, by cię wyciągnęła z opresji dając baronowi buziaka.

— Uff! Cóż więc mam zrobić'?

— Uwolnij czym prędzej daniela; psy zmylą trop i one otrzymają chłostę, a nie ty.

— Jednak jakże tak wytrawne psy gończe mogą pomylić zapach daniela z wonią wilka.

— To już moja sprawa — odparł wilk. — Lecz nie trać czasu, bo inaczej psy wpadną tu, nim dojdiesz do obórki. A to będzie nieprzyjemne dla ciebie, nie dla mnie.

Thibault nie dał sobie powtarzać dwa razy. Ruszył pędem do obórki. Szybko odwiązał daniela, który jak za naciśnięciem sprężyny wyskoczył na zewnątrz, okrążył chatkę, przecinając wilczy trop i zniknął w zaroślach.

Zgraja była już o sto kroków od chatki. Thibault nasłuchiwał ujadania z niepokojem. Cała sfora po raz wtóry wpadła z impetem na drzwi. Następnie dwa psy gończe zamilkły nagle i oddalając się w stronę Baisemont, pociągnęły za sobą towarzyszy. Pobiegly tropem daniela.

Thibault odetchnął pełną piersią.

Widząc, że sfora już się oddala, wszedł do izdebki. W tym momencie rozległ się donośny głos rogu barona, galopującego w ślad za psami.

Czarny wilk leżał spokojnie na swoim miejscu.

PAKT

Thibault zatrzymał się w progu, całkiem osłupiały z powodu powtórnego pojawienia się wilka.

— Mówiliśmy właśnie o tym, — podjął wilk, jak gdyby nic szczególnego nie zaszło — że nie mogę sprawić, by spełniały się wszystkie twoje życzenia.

— A więc niczego nie mogę od ciebie oczekiwać?

— Niezupełnie... mogę za to sprawić, że wszelkie zło, jakie chcesz sprowadzić na bliźnich, natychmiast się urzeczywistni.

— Dobrze! Ale jaki z tego pożytek?

— Głupcze! Pewien moralista rzekł: „W nieszczęściu bliźniego zawsze można doszukać się czegoś, co sprawi nam przyjemność”.

— Czy tak powiedział wilk? Nie wiedziałem, że wśród wilków żyją moralisci.

— Nie, to był człowiek!

— A więc z pewnością zawisł na szubienicy!

— Skądże: uczyniono go gubernatorem Poitou. Prawdę mówiąc w tej prowincji jest sporo wilków. Tak więc skoro w nieszczęściu naszego najlepszego przyjaciela jest zawsze coś, co nam sprawi przyjemność, pomyśl, jak wielką radość może sprawić nieszczęście największego wroga!

— Jest w tym ziarnko prawdy — stwierdził Thibault.

— Nie mówiąc o tym, że zawsze znajdzie się sposób, by na nieszczęściu bliźniego skorzystać, niezależnie od tego czy był to nasz przyjaciel, czy wróg...

— Na honor, masz rację, panie wilku — odparł Thibault po chwili namysłu.

— A w zamian za co obdarzysz mnie takim przywilejem? Bo zawsze coś za coś, prawda?

— Oczywiście. Za każdym razem, gdy będziesz chciał wyrazić życzenie i gdy będzie ono korzystne wyłącznie dla ciebie, wezmę na własność część twojej osoby.

— Ach, nie! — wykrzyknął Thibault cofając się z przerażeniem.

— Bądź spokojny, nie zamierzam cię pozbawiać ani funta twojego ciała, jak to pewien znajomy Żyd uczynił swemu dłużnikowi.

— Czego więc żądasz?

— Jeden włos za pierwsze życzenie, dwa za drugie, cztery za trzecie, i tak

dalej... Za każdym razem podwójnie.

Thibault wybuchnął śmiechem.

— Jeżeli tylko o to chodzi, panie wilku — rzekł. — Zgadzam się! A przy pierwszej okazji wyrażę życzenie, bym nigdy nie musiał nosić peruki. Podajmy sobie ręce!

I po tych słowach Thibault wyciągnął dłoń.

Czarny wilk znieruchomiał z uniesioną łapą.

— Cóż takiego? — rzucił Thibault.

— Pomyślałem, — rzekł wilk — że mam ostre pazury i niechcący mogę cię skaleczyć. Ale widzę sposób, by zawrzeć ugodę bez takich uprzejmości, lecz zgodnie z obyczajem: ty masz srebrną obrączkę, a ja złotą. Zamieńmy się. Rozumiesz chyba, że ta zamiana jest dla ciebie korzystna. — W istocie poprzez sierść przeświecała złota obrączka.

— Zgadzam się — rzekł Thibault.

Zamienili się obrączkami.

— Oto jesteśmy zaślubieni — stwierdził wilk.

— Och — rzucił Thibault — powiedzmy raczej „zaręczeni”, jeśli tak ci na tym zależy.

— To się okaże, mistrzu Thibault... A teraz wracaj do swoich zajęć, a ja wrócę do moich.

— Żegnaj.

— Do zobaczenia, mistrzu Thibault.

Ledwo wilk wyrzekł te słowa, kładąc na nie pewien szczególny nacisk, zniknął jak szczypta prochu, wrzucona w ogień, i podobnie jak szczypta prochu pozostawił po sobie zapach siarki.

Thibault przez dobrą chwilę stał osłupiały. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by ktoś z kim rozmawiał, w ten sposób kończył spotkanie. Rozglądał się na wszystkie strony, nigdzie nie było śladu wilka. To przypominało scenę w teatrze.

Szewc przez chwilę mniemał, że stał się igraszką własnej wyobraźni.

Ale gdy spuściwszy oczy, ujrzał na serdecznym palcu prawej ręki diabelską obrączkę, zrozumiał, że to rzeczywistość.

Thibault ściągnął ją z palca i rozpoczął dokładne oględziny.

Zobaczył, że na wewnętrznej stronie obrączki wygrawerowany jest monogram składający się z dwóch liter „T” i „S”.

— Ach, ach — wyszeptał i poczuł, że oblewa się zimnym potem. — Thibault i Szatan, czyli nazwiska stron zawierających układ. Na honor! Zresztą wszystko jedno! Jeśli już człowiek oddaje się diabłu, powinien uczynić to ze szczerego serca.

I Thibault w dziwnym upojeniu zanucił piosenkę. Jego głos brzmiał niesamowicie i tak obco, że jego samego obleciał strach. Zamilkł więc i, by zmienić nastrój powrócił do zajęć.

Ale przy trzecim czy czwartym uderzeniu dłuta usłyszał dobiegające z oddali, z okolicy Baisemont, ujadanie sfory i dźwięk rogu barona.

Odłożył narzędzia, by słuchać psów i rogu.

— Pędź, mój piękny panie — rzekł. — Pędź za swym wilkiem! Ale chcę ci rzec, że nie jego łapę przybijesz do zamkowej bramy. Ty pasibrzuchu, dobra to zdobycz, łakoma gratka! Skoro już prawie stałem się czarownikiem, czego nie mogłeś przewidzieć, przezacny szafarzu sprawiedliwości, mogę bez trudu rzucić przekleństwo na twoją głowę i zemścić się rzetelnie.

Tu Thibault wstrzymał się na chwilę.

— Zaraz, zaraz! — rzekł — A gdybym istotnie zemścił się na baronie i na Marcotcie? Ba, spełnienie tej zachcianki będzie mnie kosztowało zaledwie jeden włos. A na to mogę sobie pozwolić — przeciągnął dłonią po czuprynie, bujnej jak lwia grzywa. — Świetnie! — rzekł pewnym już tonem. — Mam duży zapas, mogę więc zaryzykować jeden włos. Zresztą w ten sposób się upewnię, czy przypadkiem mój kum diabeł nie zadrwił sobie ze mnie. A więc, wyrażam następujące życzenie: pragnę, by baronowi de Vez zdarzył się jakiś niemiły przypadek, a jeśli idzie o tego nicponia Marcotte'a, który tak okrutnie mnie wczoraj

wychłostał, myślę, że sprawiedliwie będzie, jeśli doczeka jeszcze większych przykrości niż jego pan.

Wypowiadając to podwójne życzenie Thibault był bardzo poruszony. Widział co prawda, jak wielką moc miał czarny wilk. Podejrzewał jednak, iż tamten wykorzystał jego łatwowierność. Gdy intencja została, już wypowiedziana, zupełnie nie mógł zająć się pracą. Zadrasną się w palec dłutem, które ujął za ostrze; zepsuł też parę sabotów za dwanaście sous.

Thibault ubolewał właśnie nad tą nieodwracalną szkodą potrząsając krwawiącą dłonią, gdy dał się słyszeć dziwny hałas dochodzący z doliny.

Wybiegł więc z chatki i spojrzął na drogę wiodącą z Chrétinelle, z daleka ujrzał posuwający się wolno orszak złożony z samych mężczyzn: byli to nagierniacze, dojeżdżacze i psiarczykowie pana de Vez.

Droga była widoczna na trzy czwarte mili.

Tak więc Thibault musiał czekać dość długo, by zobaczyć, czemu wszyscy kroczyli tak uroczyście, z wolna, na podobieństwo konduktu pogrzebowego.

Gdy orszak przybliżył się, tak że dzieliło go od Thibaulta nie więcej niż pięćset kroków, ujrzał, że ludzie niosą dwoje noszy.

Na noszach spoczywały dwa nieruchome ciała.

Barona de Vez i Marcotte'a.

Zimny pot pokrył czoło szewca.

— Och — rzekł w zdumieniu — cóż się stało?

Oto co się wydarzyło:

Gdy myśliwi zawrócili w stronę Marolle, daniel przecinając wrzosowisko musiał przebiec o dziesięć kroków od barona, który pomyślał najpierw, że wypłoszyły go psy i cofnął się.

Lecz zza jego pleców, zaledwie o sto kroków wyskoczyła cała sfora, czterdzieści psów biegających, wyjących, szczekających, grzmiących jak dzwon katedralny; jedne miały głosy przypominające tam-tamy, inne darły się falsetem jak piszczałki lub jak nie nastrojone klarnety. Wszystkie ujadały na całe gardło, z

takim zapalem i radością, jak gdyby po raz pierwszy zwierzyły zwierzę.

Baron wpadł wówczas w furję, wobec której ataki wściekłości burleskowego poliszynela są scenami zupełnie pozbawionymi wyrazu.

Nie krzyczał, lecz ryczał i wył. Nie przeklinał, lecz bluźnił. Ciął na prawo i lewo szpicrutą, tratował psy końskimi kopytami, szamotał się w siodle jak diabeł w chrzcielnicy. Grad złorzeczeń spadał na głowę pierwszego psiarczyka, którego nazywał głupcem i tępakiem.

Tym razem nieszczęsny Marcotte nie był w stanie podać jakiegokolwiek wytłumaczenia, okryty wstydem z powodu popełnienia tak kardynalnego błędu. Czuł, że ogarnia go niepokój na widok wielkiego gniewu barona.

Postanowił więc uczynić wszystko co w jego mocy, by naprawić uchybienie i uśmierzyć wściekłość pana.

Puścił konia w galop, gnał przez las i zarośla krzycząc z całych sił:

— Cofać się! Zawracajcie psy!

Rozdzierał na wszystkie strony razy bata w dodatku tak gorliwie, że już po chwili każde z tych biednych zwierząt spływało krwią.

Mógł sobie jednak do woli krzyzczeć, chłostać i robić wszystko, co chciał, psy coraz bardziej zaciekle gnały przed siebie!

Wyglądało to, jakby rozpoznały wczorajszego daniela i teraz ich miłość własna dotknięta do żywego, domagała się odwetu.

Marcotte odważył się więc uczynić krok desperacki: postanowił przejść rzekę Ourq, nad której brzegiem się znajdował, i to w chwili gdy myśliwi będą ją przekraczali lub gdy będą się zbliżać do przeprawy. Spotykając na brzegu psy, które przebiegały na drugą stronę, miał nadzieję poskromić sforę. Skierował konia ku rzece i jednym skokiem znalazł się pośrodku nurtu.

Obaj, jeździec i koń, skoczyli do wody dość szczęśliwie. Niestety, jak już powiedziałem, ostatnio padały ulewne deszcze i rzeka wezbrała; koń nie był w stanie sprostać sile prądu: obrócił się kilka razy wokół własnej osi i i zanurzył pod wodę.

Marcotte zaś widząc, że już stracił konia zdecydował się raczej go porzucić niż ryzykować i próbować osiągnąć drugi brzeg. Lecz jego stopy tkwiły tak mocno w strzemionach, że nie był w stanie ich wydobyć, więc pograżył się trzy sekundy po wierzchowcu.

W tym czasie baron przybył nad rzekę, jego wściekłość przeobraziła się w rozpacz, gdy zdał sobie sprawę z krytycznego położenia psiarczyka.

Pan de Vez obdarzał życzliwością tych, którzy towarzyszyli mu w przyjemnościach, tyczyło się to zarówno ludzi, jak i zwierząt.

Krzyczał więc teraz z całych sił:

— Do stu diabłów! Ratujcie Marcotte'a! Dwadzieścia pięć ludwików! Pięćdziesiąt! Sto ludwików dla tego, kto go uratuje!

Ludzie i konie skakali do wody szybko jak wystraszone żaby. Sam baron podjechał blisko brzegu lecz, co prawda z trudem, wstrzymano zacnego pana i przeszkodzono mu w wykonaniu tego bohaterskiego projektu; zaś świadectwo uczuć okazane przez wielkiego łowczego przyniosło fatalny skutek i w rezultacie spowodowało zgubę nieszczęsnego psiarczyka. Zapomniano bowiem o nim na chwilę. I ta chwila wystarczyła, by poniósł śmierć.

Marcotte wynurzył się w miejscu, gdzie rzeka Ourq zataczała luk i rozpaczliwie bijąc w wodę ramionami zdołał wynurzyć głowę i krzyknąć po raz ostatni:

— Zawracać psy! Odwrót!

Lecz woda zalała mu usta, zakrztusił się ostatnią sylabą, i nie upłynął kwadrans, a znaleziono jego ciało na łasze piasku, gdzie zniósł je prąd. Marcotte nie żył.

Ten wypadek miał żalosne następstwa dla barona. Ów szlachetny pan był wielkim przyjacielem dobrego wina, i z tego powodu źle znosił uderzenia krwi do głowy.

Wstrząs, jakiego doznał na widok trupa swego sługi, okazał się tak gwałtowny, że krew napłynęła z taką gwałtownością do jego mózgu, iż trafił go atak apopleksji.

Thibault był przerażony skrupulatnością, z jaką czarny wilk spełniał swoje zobowiązania. Na myśl o punktualności z jaką mistrz Isengrin będąc w prawie wymagał zapłaty przeszedł go dreszcz. Następnie ogarnięty niepokojem zadał sobie pytanie, czy wilk zawsze będzie się zadowalał tylko kilkoma włosami, czuł niepokój tym większy, że ani w chwili wymawiania życzenia, ani potem — to znaczy w momencie spełniania, nie odczuł na skórze pod czupryną niczego, najmniejszego nawet łaskotania.

Widok zwłok nieszczęsnego Marcotte'a wywarł na nim mocne wrażenie. Szczerze mówiąc, nie żywił wobec niego zbyt przyjaznych uczuć, lecz nie sądził, że śmierć psiarczyka aż tak nim wstrząśnie. Awersja wobec zmarłego nie była aż taka, by mu życzył śmierci: wilk najwyraźniej spełnił więcej, niż Thibault oczekiwał.

Prawdę mówiąc szewc niejasno wyraził swoje życzenie, pozostawiając wilkowi wolną ręką w działaniu. Przysiękł sobie, że w przyszłości będzie wyraźniej precyzował swe pragnienia, a nade wszystko starannie przemyśli każde życzenie, jakie będzie wypowiadał.

Jeśli idzie o barona, to nie był on jednak martwy; co nie znaczy, że stan jego zdrowia był dobry. Rażony życzeniem Thibaulta jak piorunem, stracił zmysły.

Położono go na tej samej wiązce wrzосу, którą szewc przygotował, by zamaskować drzwi obórki. Słudzy barona w przerażeniu przewrócili domek Thibaulta do góry nogami w poszukiwaniu środka, który przywróciłby przytomność ich zacnemu panu.

Szukano octu, by natrzeć mu skronie; klucza, by mu podłożyć pod plecy; deseczki, którą należało uderzać po rękach; a także siarki, by mu zapalić pod nosem.

Pośród tego zamętu wybił się głos Engouleventa, który wołał donośnie:

— Na litość boską? To, czego nam naprawdę trzeba, to koza! Ach, gdybyśmy mieli kozę!

— Kozę? — zawołał Thibault, który naprawdę wolałby widzieć barona

wracającego do przytomności.

W jego mniemaniu zmniejszyłoby to o połowę ciężar jego winy, a przy okazji uchroniło chatkę przed splądrowaniem.

— Koza? Mam kozę.

— Doprawdy? Masz kozę? — wykrzyknął Engoulevant. — A więc nasz drogi pan jest uratowany!

I w uniesieniu rzucił Thibaultowi:

— Przyrowadź to zwierzę, przyjacielu! Przyrowadź je co rychlej!

Szewc skierował się do obórki i po chwili wyszedł ciągnąc za sobą meczącą kozę.

— Trzymajcie ją mocno za rogi — rzekł wierny sługa barona — i unieście przednią nogę.

I mówiąc te słowa Engoulevant wyciągnął z pochwy krótki nóż, jaki nosił za pasem, i pociągnął starannie ostrzem po kamieniu, na którym zwykle Thibault ostrzył swoje narzędzia.

— Co chcecie zrobić? — spytał szewc, bowiem na widok tych przygotowań ogarnął go niepokój.

— Jakże? — odparł Engoulevant. — Czyż nie wiecie, że w sercu kozy znajduje się mała kostka w kształcie krzyża, która sproszkowana stanowi najlepszy lek na uderzenia krwi?

— Chcecie zabić moją kozę! — wykrzyknął Thibault uwalniając jednocześnie rogi i nogę biednego zwierzęcia. — Nie chcę, byś ją zabijał!

— Bardzo nieładnie tak mówić! — uciał Engoulevant. — Jak możesz równać życie naszego pana z istnieniem marnego bydłęcia? Prawdę mówiąc, wstyd mi za ciebie.

— Możesz sobie mówić, co chcesz. Ta koza to cały mój majątek. Daje mi mleko, a to dla mnie wiele znaczy.

— Ach, Thibault, z pewnością sam nie wiesz, co mówisz. Na szczęście pan baron tego nie słyszy, z pewnością, serce by go zabolalo, gdyby widział, że o jego

cenne zdrowie targuje się jakiś nicpoń.

— Zresztą — rzekł jeden z psiarczyków śmiejąc się drwiąco — jeśli pan majster Thibault uważa, że jego koza ma taką cenę, iż tylko sam baron może ją uiścić, nikt mu nie zabrania przybyć do zamku de Vez, by się upomnieć o zapłatę. Otrzyma ją na pewno, i to wraz z częścią, o którą wczoraj została umniejszona.

Słyszając to Thibault pohamował się, nie chciał wzywać na pomoc diabła. Otrzymał od Szatana doskonałą lekcję, nie żywił najmniejszych wątpliwości, że każde życzenie spełni się natychmiast. Miał teraz tylko jedno zajęcie: ze wszystkich sił starał się powstrzymać złe myśli i nie życzyć niczego złego pod adresem obecnych. Jeden nieboszczyk, drugi na wpół żywy — to była całkiem wystarczająca nauczka.

Stwierdził, że lepiej będzie, mimo iż na twarzach otaczających go mężczyzn malował się wyraz groźby lub po prostu kpina — odwrócić oczy od tych fizjonomii; obawiał się, że gniew go może zaślepić. Stał więc ze wzrokiem wbitym w ziemię, gdy tymczasem zarzynano kozę. Usłyszał przeraźliwy jęk bólu, jaki w agonii wydało nieszczęsne zwierzę.

Ledwie koza wydała ostatnie tchnienie, wyjęto z niej drgające jeszcze serce, a z niego ową maleńką kostkę, o której wspomniał Engoulevent.

Po czym zmielono ją na proszek, rozprowadzono w occie winnym dodając trzynaście kropli z zawartości woreczka żółciowego. Za pomocą krzyżyka ze szkaplerza rozmieszano to wszystko w szklance wody, następnie rozwarto ostrzem sztyletu zaciśnięte szczęki barona i wlano mu ostrożnie miksturę do gardła.

Efekt był natychmiastowy i doprawdy niezwykły.

Baron kichnął potężnie, po czym się wyprostował żwawo i głosem jeszcze nieswoim, łamiącym się, głuchym, lecz całkowicie zrozumiale zażądał:

— Pić!

Engoulevent podał mu natychmiast wodę w drewnianej, rzeźbionej czarce, będącej pamiątką rodzinną Thibaulta, z której posiadania był bardzo dumny.

Lecz baron, za ledwie umoczył wargi, spostrzegł, czym był ów obrzydliwy płyn, który ośmielono się mu podać; skrzywił się znacząco mówiąc „fuj”, i z całym rozmachem rzucił naczyniem na ziemię, rozbijając ją.

Następnie donośnym głosem, który wyraźnie oznajmiał jego całkowity powrót do zdrowia, ryknął:

— Wina!

Jeden z dojeżdżaczy wskoczył na siodło i pognął galopem do Oigny, by poprosić o kilka butelek burgunda pana tamtego zamku.

W dziesięć minut był z powrotem. Odkorkowano dwie butelki, które baron z powodu braku szklaneczki wypróżnił jednym haustem, przytykając usta do szyjki.

Po czym przymrużywszy oczy, mruknął:

— Macon, 1754.

I zasnął głęboko.

DIABELSKI WŁOS

Służba, uspokojena już co do stanu zdrowia swojego pana ruszyła na poszukiwanie psów, które tymczasem kontynuowały pościg.

Znaleziono je śpiące na ziemi czerwonej od krwi.

Było jasne, że dopadły, zagryzły i zjadły daniela; gdyby co do tego były jakieś wątpliwości, rozproszyłby je widok rogów, których nie mogły skruszyć zębami i które z tego tylko powodu nie znikły.

Tak czy owak, tego dnia psy były jedynymi istotami, które odniosły triumf łowiecki. Zamknięto je w obórcie Thibaulta i — ponieważ baron ciągle jeszcze spał — myśliwi pomyśleli o posiłku.

Ogolocono chatkę ze szczętem z zapasów chleba, upieczono kozę na rożnie i uprzejmie zaproszono szewca, by uczestniczył w posiłku, którego koszta w pewnej części poniósł.

Thibault odmówił, pod możliwym do przyjęcia pretekstem, że oto nie doszedł jeszcze do siebie po wzruszeniach, jakich doznał na widok zwłok Marcotte'a i wypadku barona.

Gdy pozbierał odłamki drewnianej czarki, upewnił się, że nie można ich w żaden sposób poskładać. Zaczął się więc zastanawiać nad sposobem wyjścia z sytuacji; bardziej niż kiedykolwiek pragnął zmienić swoje dotychczasowe nędzne życie, bowiem ostatnie dwa dni wydały mu się nie do zniesienia.

Nieoczekiwanie ukazała mu się postać Angelette. Jak dziecko, które we śnie widzi anioła, tak on widział dziewczynę ubraną na białą, unoszącą się na białych skrzydłach w błękit nieba. Promieniała szczęściem, skinęła, by za nią podążyć mówiąc te słowa:

— Ci, którzy pójdą za mną, będą szczęśliwi.

Lecz tej uroczej zjawie Thibault odpowiedział wzruszeniem ramion, co miało oznaczać:

— Tak, Angelette, dobrze cię poznaję, wiem, że to ty. Ale iść za tobą? To było dobre wczoraj. Dziś ja rozkazuję jak król, jestem panem życia i śmierci, a nie człowiekiem, który czyniłby jakieś zupełnie niedorzeczne ustępstwa na rzecz miłości, która się narodziła onegdaj i zaledwie zdołała wyszeptać pierwsze wyznanie. Stać się twoim mężem, Angelette, to zamiast wyzwolić się z jakże trudnych do zniesienia warunków życia, będzie sposobem, by podwoić lub potroić ciężar, pod którym wreszcie ugniemy się oboje. Nie! Angelette, nie! Byłabyś z pewnością uroczą kochanką, ale moją żoną może stać się tylko ta kobieta, która wniesie w posagu talary; jako równowartość w złocie tego, co ja wniosę jako moc.

Pamięć podszeptowała mu, że powziął wobec Angelette zobowiązanie. Lecz uspakajał się, że robi to dla dobra słodkiego stworzenia.

— Jestem człowiekiem uczciwym — mruczał pod nosem — i powinienem poświęcić osobistą satysfakcję dla dobra i szczęścia tego dziecka. Zresztą, ona jest jeszcze młoda, wystarczająco urodziwa i rozważna, by spotkał ją los lepszy,

niż gdyby poślubiła prostego szewca.

Snując te rozważania Thibault uznał w końcu, że najśluszniej będzie puścić z wiatrem śmieszne przyrzeczenia czynione wczoraj i zapomnieć o zaręczynach, których świadkami były zresztą tylko drżące bukowe liście i różowawe kwiaty wrzosów.

Ponadto w młynie Coyolles mieszkała piękna młynarka, której osoba znakomicie odpowiadała obecnym zamierzeniom Thibaulta.

Była to młoda wdowa, mająca dwadzieścia sześć czy dwadzieścia osiem lat: świeża, hoża i pulchniutka, o inteligentnym spojrzeniu. Poza tym uchodziła za najbogatszą partię w okolicy; jej młyn ani przez chwilę nie próżnował, więc pod każdym względem stanowiła łakomy kąsek, dla naszego bohatera.

Dawniej Thibault nigdy nie ośmieliłby się sięgać tak wysoko i myśleć o bogatej i pięknej wdowie Polet.

Tak bowiem nazywała się młynarka i to właśnie jest powodem, dla którego po raz pierwszy na kartach tej powieści pojawia się jej imię.

W istocie też po raz pierwszy kobieta, którą zwano tym imieniem, ukazała się w myślach szewca. Sam był zdziwiony, iż wcześniej jakoś nie pamiętał o młynarce. Powtarzał sobie, że dawniej też o niej myślał, ale bez żadnej nadziei, podczas gdy dziś, korzystając z protekcji wilka i dysponując mocą, którą od niego otrzymał i której już miał okazję użyć, łatwo odsunie wszystkich konkurentów i szybko dotrze do celu.

Złe języki co prawda powiadały, że młynarka z Coyolles jest odrobinę złośliwa, a może nawet kłótniwa. Ale szewc doszedł do wniosku, że mając na zawołanie diabła za sojusznika nie powinien się martwić złośliwymi duszkami, biednymi diabełkami drugiej kategorii, które mogły się gnieździć w ciele wdowy Polet. Tak więc, gdy tylko wstał rano, był zdecydowany udać się do Coyolles; bowiem wszystkie te wizje, rzecz jasna, miały miejsce w nocy.

Baron zbudził się o świcie w chatce szewca. Czuł się całkiem zdrow, pozbył się wczorajszej niedyspozycji; zbudził swoich ludzi razami różgi i wysławszy

ciało Marcotte'a do zamku Vez, zdecydował, że nie wróci do swej siedziby nie odniósłszy sukcesu. Zapoluje teraz na dzika zupełnie, jakby poprzedniego dnia nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło.

Tak więc, około szóstej rano opuścił Thibaulta, upewniwszy go o swej wdzięczności za gościnę, jaką on, jego ludzie i psy znaleźli w ubogiej chatce; na dowód czego przyrzekł zapomnieć drobne urazy, które mógł żywić do szewca. Łatwo przewidzieć, że Thibault bez żalu patrzył na oddalający się orszak.

Gdy zatem pan, psy i ludzie odjechali, przez kilka chwil w zadumie przyglądał się splądrowanej izbie, opróżnionym sąsiokom, połamanym sprzętom, pustej obórce i polepie zasłanej różnymi resztkami.

Pomyślał, że są to zwykle ślady pobytu wielkiego pana, zaś przyszłość przedstawiała się zbyt jasno, by miał się długo zatrzymywać nad tym widokiem.

Thibault postanowił jeszcze tego samego dnia, spróbować szczęścia u pani Polet. Wyciągnął swą najlepszą odzież i wystroił się paradnie, spożył ostatni kawałek chleba wraz z kęsem koziej pieczeni, popił szklanką wody ze źródła i ruszył w drogę do Coyolles.

Najkrótsza droga do Coyolles wiodła skrajem Oigny i Pisseleu. Dlaczego jednak Thibault znający wszystkie lasy Villers-Cotterêts tak jak krawiec kieszenie w ubraniu, które własnoręcznie uszył, poszedł drogą do Chrétinelle, która była o dobre pół mili dłuższa?

Aleja do Chrétinelle zbliżała go do miejsca, gdzie po raz pierwszy zobaczył Angelette, tak więc kierując się rozsądkiem szedł do młyna w Coyolles, podczas gdy serce ciągnęło go w stronę Préciamont.

W rezultacie niedaleko Ferté-Milon ujrzał przy drodze Angelette, zbierającą trawę dla kóz. Mógł przejść tak, by go nie dostrzegła, rwała bowiem trawę odwrócona do niego plecami. Jednakże jakiś demon go podkusił pomaszerował wprost ku niej.

Dziewczyna schylona ścinała trawę sierpem; słysząc, że ktoś nadchodzi, uniosła głowę i poznała Thibaulta. Zarumieniła się, a jednocześnie na jej twarzy

ukazał się radosny uśmiech.

— Ach — rzekła — myślałam o tobie i modliłam się całą noc.

W istocie Thibault przypomniał sobie, że tej nocy widział w snach Angelette w białej sukience idącą ku niemu ze złożonymi rękami i unoszącą się ku niebu na anielskich skrzydłach.

— A czemu o mnie śniłaś i czemu się za mnie modliłaś, drogie dziecko? — spytał Thibault tonem tak swobodnym, jakby był młodym szlachcicem należącym do świty księcia.

Angelette spojrzała na niego wielkimi, błękitnymi oczyma.

— Śniłam o panu, bo pana kocham — odrzekła. — A modliłam się, ponieważ widziałam wypadek, który przydarzył się baronowi i jego psiarczykowi, i całe zamieszanie, jakie to spowodowało. Ach, gdybym posłuchała serca, pobiegłabym natychmiast, by panu pomóc.

— Trzeba było przyjść, Angelette. Powiem ci, że znalazłabyś tam wesołą kompanię!

— Och, nie tego bym szukała, panie Thibault, pomyślałam, że mogłabym być pomocna przy przyjmowaniu gości. Och, cóż za piękną obrączkę macie na palcu, panie Thibault?

I przy tych słowach młoda dziewczyna wskazała na obrączkę, którą Thibault otrzymał od wilka.

Thibault poczuł, że krew zastygła mu w żyłach.

— Ta obrączka... — wyrzekł.

— Tak, ta obrączka.

Angelette widząc, że Thibault waha się z odpowiedzią, odwróciła głowę i westchnęła.

— Bez wątplenia to jest podarunek od jakiejś pięknej damy — wyszeptała.

— Otóż, — odparł Thibault z pewnością doświadczonego kłamcy — mylisz się, Angelette. To obrączka na nasze zaręczyny, którą kupiłem, by ją włożyć na twój palec w dniu naszego ślubu.

Angelette ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Czemu nie chcecie mi powiedzieć prawdy, panie Thibault? — spytała.

— Przecież właśnie mówię, Angelette.

— Nie.

I potrząsnęła głową z jeszcze większym smutkiem.

— A czemu sądzisz, że kłamię?

— Ta obrączka jest tak duża, że zmieściłyby się tam dwa moje palce.

W istocie palec Thibaulta był jak dwa smukłe paluszki dziewczęcia razem wzięte.

— Jeśli jest zbyt duża, Angelette — rzekł — to ją zwężymy.

— Żegnaj, Thibault.

— Jak to żegnaj?

— Tak.

— Odchodzisz?

— Tak, odchodzę.

— Dlaczego, Angelette?

— Nie lubię kłamców.

Thibault chciał coś powiedzieć, by uspokoić dziewczynę, lecz nie znajdował odpowiednich słów.

— Słuchajcie — rzekła Angelette ze łzami w oczach, bowiem trudno było jej odejść. — Jeżeli ta obrączka jest naprawdę dla mnie przeznaczona...

— Przysięgam ci, Angelette.

— Dobrze więc wezmę ją na przechowanie aż do dnia naszego ślubu, wtedy wam ją zwrócę, żebyście ją dali poświęcić.

— Niczego bardziej nie pragnę — odparł Thibault. — Ale w dniu naszego ślubu chcę ją zobaczyć na twojej ślicznej rączce. Słusznie zauważyłaś, jest dla ciebie za duża. Idę dziś do Villers-Cotterêts, zaraz zmierzymy twój paluszek i każę złotnikowi, panu Dugue, by ją zwęził.

Na wargach Angelette pojawił się uśmiech, a łzy lśniące w jej oczach wy-

schły.

Wyciągnęła do Thibaulta drobną rączkę.

Szewc ujął ją w swoją dłoń, obrócił ją raz i drugi, po czym złożył na niej pocałunek.

— Och! — spłoszyła się Angelette. — Nie całujcie mojej ręki w ten sposób, panie Thibault, nie jest dość piękna.

— Więc daj mi coś innego.

Angelette podała mu czoło, po czym rzekła z dziecięcą radością:

— Przymierzmy więc obrączkę.

Thibault ściągnął pierścień z palca i śmiejąc się chciał go wsunąć na kciuk Angelette.

Lecz ku jego wielkiemu zdziwieniu obrączka okazała się za ciasna i nie mogła wejść na palec dziewczyny.

— Coś podobnego! — rzekł Thibault. — Nigdy bym się tego nie spodziewał. Angelette zaczęła się śmiać.

— W istocie, to zabawne! — rzekła.

Thibault próbował teraz włożyć obrączkę na wskazujący palec dziewczyny. Pierścień nie dawał się wsunąć, tak samo jak na kciuk. Thibault próbował więc na palec serdeczny.

Można by rzec, że obrączka kurczyła się coraz bardziej, zupełnie tak, jakby bała się zbrukać dziewczęcą dłoń. Thibault usiłował wsunąć obrączkę na czwarty palec. To był przecież palec, na którym on sam nosił obrączkę. Okazało się to równie niemożliwe, jak w poprzednich przypadkach.

W miarę trwania tej sceny, Thibault czuł, że dłoń Angelette drży w jego rękach; pot zaczął ściekać z jego czoła, zupełnie jakby wykonywał wyjątkowo męczącą pracę.

Wiedział dobrze, że była w tym ukryta moc nieczysta. Na koniec spróbował wsunąć obrączkę na mały palec Angelette. Jej mały paluszek, kruchy, smukły i prawie przezroczysty, wokół którego obrączka winna się obracać tak swobodnie,

jak bransoletka wokół palca Thibaulta, ten mały paluszek mimo wysiłków Angelette nie mógł się wsunąć do obrączki.

— Ach! Panie Thibault — wykrzyknęła dziewczeczka. — Na Boga, kto mógłby przypuścić, że zdarzy się coś podobnego?

— Pierścieniu szatana, wróć do szatana — wykrzyknął Thibault.

I cisnął pierścieniem o skałę w nadziei, że roztrzaska go na kawałki.

Z pierścienia posypały się iskry, jak gdyby ktoś krzesał ogień uderzając stalą o granit; obrączka zaślniła i sama wróciła na palec Thibaulta.

Angelette widząc te przedziwne ewolucje, patrzyła z przerażeniem na Thibaulta.

— Cóż się stało? — spytał Thibault próbując pokryć wszystko zuchwałością.

Angelette nie odpowiedziała. Spoglądała tylko na Thibaulta oczami, w których malowało się coraz większe przerażenie. Thibault nie mógł się domyśleć, na co patrzyła. Ale ona wolno uniosła dłoń aż do głowy Thibaulta i wskazując na nią palcem rzekła:

— Och! Panie Thibault, co to jest?

— Gdzie?

— Tu! Tu! — wyszeptała Angelette blednąc.

— To znaczy gdzie? — wykrzyknął szewc tupiąc nogami ze złości. — Mów, co widzisz.

Zamiast odpowiedzieć Angelette zakryła rękami oczy, wydała krzyk przerażenia i rzuciła się do ucieczki. Thibault, zupełnie oszołomiony tym, co się zdarzyło, nawet nie próbował biec za nią.

Stal w miejscu nieruchomy, niemy, całkiem zbity z tropu.

Cóż tak przerażającego ujrzała Angelette? I na co wskazała palcem? Czy było to piętno, które Bóg wycisnął na czole przestępcy? Czemuż by nie? Czyż Thibault nie zabił człowieka?

On sam przede wszystkim powinien wiedzieć, co tak bardzo przeraziło Angelette.

Postanowił, że najlepiej będzie pójść do Bourg-Fontaine i przejrzeć się w lustrze, u cyrulika. Było to jednak dość daleko. Lecz zaledwie o sto kroków znajdowało się przejrzyste jak kryształ źródło, które zasilalo stawy Baisemont i Bourg. Thibault mógł się w nim przejrzeć jak w najlepszym zwierciadle w Saint-Gobelin.

Uklęknał więc nad zdrojem i spojrzał w wodę.

Miał wciąż takie same jak dotychczas oczy, taki sam nos, takie same usta, a na jego czole nie widać było najmniejszej nawet plamki. Odetchnął więc głęboko. Jednakże musiało coś być. Musiało być coś, co przeraziło Angelette. Thibault pochylił się raz jeszcze nad lustrem wody.

I wtedy zauważył we włosach coś błyszczącego, coś co lśniło między jego czarnymi puklami, spadającymi na czoło.

Pochylił się jeszcze bardziej.

Zauważył ognistoczerwony włos. Była to jednak czerwień szczególna, nie przypominała barwą świeżej marchewki, nie miała takiego odcienia jak bycza krew czy pąsowy mak. Była to krwista czerwień o barwie najżywszego płomienia.

Nie zastanawiając się już jakim cudem jeden jedyny włos o tak niezwykłym kolorze pojawił się w jego czuprynie, Thibault postanowił go wyrwać.

Pochylił się nad wodą, oddzielił pasmo włosów, pośrodku którego błyszczał ów straszliwy czerwony włos, ścisnął go delikatnie między palcem wskazującym a kciukiem i szarpnął gwałtownie.

Lecz włos pozostał na miejscu.

Thibault pomyślał, że ścisnął nie dość mocno i spróbował innego sposobu. Owinał włos naokoło palca i znów szarpnął gwałtownie. Włos przeciął naskórek, lecz pozostał na swoim miejscu.

Thibault nawinał krnąbrny włos wokół dwóch palców i pociągnął. Włos podniósł skórę na owłosionej czaszce, lecz nie dał się usunąć, mimo iż szewc wyteżył się zupełnie tak, jakby zamierzał wyrwać potężny dąb zwieszający nad

zdrojem pokryte liśćmi konary.

Thibault zamierzał przecież ruszyć w drogę do Coyolles; powtarzał sobie, że nie może dopuścić do tego, by podejrzany kolor jednego włosa zburzył jego małżeńskie plany.

Tymczasem jednak nieszczęsny włos jakby kpił sobie z jego wysiłków; straszyl, migał mu przed oczami tysiącem błysków, zupełnie jak płomień powstający z zarzewia.

Wreszcie, tupnął zniecierpliwiony.

— Do stu tysięcy diabłów! — wykrzyknął. — Wszak jestem niedaleko od własnego domu, zaraz sobie poradzę z tym przeklętym włosem.

Wrócił wąską ścieżką do chatki, wszedł do środka i spoglądając w kawałek lusterka odnalazł włos i próbował odciąć go nożyczkami przy samej skórze.

Opierając rękę na warsztacie ścisnął mocno nożyczki, lecz włos pozostał nietknięty. Powtórzył ów zabieg; tym razem uzbroił się w młotek i wzniosłszy wysoko rękę uderzył z całą mocą w nożyczki. Bez skutku.

Zauważył tylko na ostrzu wążutką jak włos szczerbę. Thibault westchnął; zrozumiał, że włos — zapłata za spełnienie życzenia, jakie wyraził, należał do czarnego wilka i zaprzestał dalszych wysiłków.

MŁYNARCZYK

Thibault widząc, że w żaden sposób nie da się uciąć ani wyrwać przeklętego włosa, postanowił ukryć go starannie pod gęstymi puklami.

Nie wszyscy ludzie są obdarzeni wzrokiem tak bystrym jak Angelette.

Zresztą Thibault miał, jak już wspomniałem, wspaniałą bujną, czarną czuprynę, więc robiąc przedziałek z boku i nadając elegancki kształt fryzurze myślał, że w ten sposób ukryje fatalny włos.

Poczuł przypływ zazdrości na myśl o młodych szlachcicach, których widział na dworze pani de Montesson i którzy nosili pudrowane peruczki mogące zna-

komicie ukryć każdy kolor włosów.

Niestety, nie mógł nosić pudrowanej peruczki; nie zezwalało mu na to prawo o zbytku.

Tak więc ukrywszy kunsztownie czerwony włos pod innymi za pomocą zręcznie użytego grzebienia, Thibault postanowił jednak pójść do młyna i teraz ruszył prosto do celu.

W rezultacie dotarł do drogi z Ferté-Milon i odnalazł ścieżkę wiodącą na skos przez pola, która prowadziła prosto do Pisseleu.

Dotarłszy do Pisseleu zszedł w dolinę ciągnącą się do Coyolles. Po pięciu zaledwie minutach ujrzał przed sobą wysokiego chłopca, prowadzącego dwa osły objuczone workami z pszenicą. Rozpoznał w nim własnego kuzyna imieniem Landry. Był on młynarczykiem u pięknej wdowy.

Ponieważ Thibault nie znał wdowy Polet osobiście, pomyślał, iż Landry będzie go mógł jej przedstawić. Był więc zadowolony z tego spotkania.

Thibault przyspieszył i dogonił Landry'ego. Ten słysząc odgłos kroków za swoimi plecami, odwrócił się i rozpoznał Thibaulta.

Nasz bohater, który znał Landry'ego jako dobrego, zawsze wesołego kompana, był zdumiony widząc go zatroskanym.

Usłyszawszy za sobą czyjś głos, młynarczyk stanął. Osły dreptały dalej znaną drogą.

— Niemożliwe — zawołał szewc. — To kuzyn Landry? Jakim cudem? Opuszczam swój warsztat, aby uścisnąć rękę krewniakowi i zarazem przyjacielowi, którego nie widziałem od ponad sześciu tygodni, a jaką on minę robi na mój widok?

— Ach, mój drogi Thibault — westchnął żałośnie Landry. — Cóż chcesz! Mam taką minę, jaką mam, mów sobie co chcesz, ale w głębi duszy jestem bardzo wesoły.

— W głębi duszy być może, choć wcale tego nie widać.

— Jakże, co ty mówisz, o co ci chodzi?

— Stwierdziłeś, że jesteś wesół takim tonem, jakby cię ktoś obdzierał ze skóry. Niegdyś, mój drogi Landry, podskakiwałeś z radości jak skrzydła wiatraka, podśpiewywałeś wesoło; dziś jesteś ponury jak krzyż cmentarny. Ach, rozumiem! Widać woda przestała obracać już młyńskie koła?

— Och, gdybyż to tak było! Wody nie brak, przeciwnie, jest więcej niż kiedykolwiek i śluza nie próżnuje. Lecz moje serce przygniata głąz, moje serce jest złamane.

— Jesteś więc tak nieszczęśliwy w młynie pani Polet?

— Ach, na Boga, bodajbym wpadł między młyńskie kamienie nim po raz pierwszy przekroczyłem te progi!

— Coś podobnego! Nie do wiary! Przerażasz mnie, Landry... Opowiedz, co cię nęka, mój chłopcze.

Landry westchnął żałośnie.

— Jesteśmy bliską rodziną — ciągnął Thibault — i, niech to wszyscy diabli, ponieważ nie stać mnie na to, by ci dać trochę grosza, skoro jesteś w kłopotcie, to jeśli twe serce trapią jakieś troski, mogę ci przynajmniej udzielić kilku dobrych rad.

— Dzięki ci, kuzynie. Ale mnie nie pomogą ani dobre rady, ani pieniądze.

— Jednakże powiedz, co ci jest. Doznasz ulgi, gdy się podzielisz zmartwieciem.

— Nie. Mów sobie, co chcesz, nie pisnę ani słowa.

Thibault zaczął się śmiać.

— Śmiejesz się? — spytał Landry zdumiony i urażony jednocześnie. — Bawi cię mój smutek?

— Nie śmieję się wcale z twojego nieszczęścia. Śmieję się z tego, że myślisz, iż ukryjesz przede mną przyczynę smutku, podczas gdy patrząc na ciebie łatwo ją odgadnąć.

— Odgadnij więc.

— Doskonale. Otóż jesteś zakochany, to jasne.

— Ja, zakochany? — wykrzyknął Landry. — Któż ci nakłamał?

— To nie jest kłamstwo, to prawda.

Landry westchnął jeszcze żałośniej niż poprzednio widać było, że ogarnia go rozpacz.

— A więc dobrze — rzekł. — To prawda. Jestem zakochany.

— Ach, doskonale! Wyrzuciłeś z siebie wreszcie wielkie wyznanie — Thibault poczuł w sercu żądło zazdrości, zobaczył bowiem w kuzynie rywala. — A w kimże jesteś zakochany?

— W kim jestem zakochany?

— O to cię właśnie pytam.

— Jeśli o to chodzi, kuzynie Thibault, prędzej pozwolę wyrwać sobie serce z piersi, nim to powiem.

— Już mi powiedziałaś.

— Jakim sposobem? Ja ci to powiedziałem? — wykrzyknął Landry patrząc na szewca ze zdumieniem.

— Bez wątpienia.

— Jaki masz więc dowód?

— Czyż nie powiedziałaś, że wolałbyś wpaść między młyńskie kamienie nim nastał dzień, w którym przyszedłeś prosić wdowę Po-let, by cię przyjęła do pracy? Jesteś tam nieszczęśliwy, jesteś zakochany, a więc jesteś zakochany w młynarce i ta właśnie miłość jest przyczyną twego cierpienia.

— Zamilknij, Thibault! Gdyby ona usłyszała...

— Jakże mogłaby nas usłyszeć? Przecież jej tu nie ma. Musiałaby być niewidzialna lub przemienić się w motylka czy kwiatek.

— Nieważne, milcz.

— Czyżby była taka sroga? Nie ma nad tobą litości, biedny chłopcze? — spytał Thibault.

Prawdę mówiąc te słowa niby współczucia w istocie nasycone były sporą dozą satysfakcji i kpiny.

— Myślę, że jest bardzo sroga — rzekł Landry. — Chociaż z drugiej strony wyobrażałem sobie czasami, że nie odrzuci moich uczuć... Przez cały dzień wpatruję się w nią i od czasu do czasu widzę, jak zerka na mnie, później się uśmiecha... Niestety, Thibault, byłem tak szczęśliwy z powodu tych spojrzeń i uśmiechów!... Mój Boże! Czemuż nie mogło mi to wystarczyć!

— Otóż to — stwierdził filozoficznie Thibault. — Człowiek jest nienasycony.

— Niestety, masz rację. Zapomniałem, że mam do czynienia z kimś lepszym od siebie. Wyznałem jej więc swą miłość. Pani Polet rozzłościła się okropnie. Powiedziała mi, że jestem bezczelnym smarkaczem i że za tydzień mam sobie iść precz.

— Ile czasu minęło od tej rozmowy? — zapytał Thibault z ulgą.

— Mniej więcej trzy tygodnie.

— I ten przysły tydzień wciąż jeszcze nie nadszedł? — spytał szewc, który znał kobiety lepiej niż kuzyn Landry i poczuł, że znów ogarniają go poważne wątpliwości.

Po chwili milczenia dodał:

— Według mnie, nie masz tak wielkiego powodu do zmartwienia, jak ci się zdaje.

— Sądzisz, że nie mam powodu?

— Tak.

— Ach, gdybyś wiedział, jakie jest moje życie! Nic prócz spojrzeń i uśmiechów. Gdy mnie spotyka, odwraca się; gdy przychodzę, by powiedzieć, co się dzieje w młynie, słucha mnie z miną tak pogardliwą, że zamiast mówić o otrębach, pszenicy, życie lub owsie, o mące plewach, zaczynam płakać. Ona wtedy powiada: „Uważaj, co robisz, miej się na baczności!” tonem tak groźnym, że uciekam, by się schronić gdzieś w kącie.

— Czemu więc umizgasz się do tej mieszczki? Nie brak przecież dziewcząt w okolicy, które tylko marzą o tym, byś zwrócił na nie uwagę.

— To się dzieje na przekór mojej woli, po prostu ją kocham.

— Zajmij się jakąś inną i nie myśl więcej o młynarce.

— Nie potrafię.

— Rozumiem, ale przynajmniej spróbuj. Poza tym, gdy wdowa zobaczy, że zwracasz się ku innej, będzie zazdrosna i wtedy zacznie jej zależeć na tobie tak, jak tobie teraz na niej. Kobiety mają szczególny sposób patrzenia na te sprawy.

— Gdybym był pewien, że tak będzie, spróbowałbym natychmiast... Chociaż teraz właśnie... — i tu Landry potrząsnął głową.

— Cóż to znaczy, że teraz właśnie?

— Ponieważ teraz... po tym, co się zdarzyło... wszystkie zabiegi są już nadaremne.

— A cóż takiego się zdarzyło? — spytał Thibault, który chciał się dowiedzieć wszystkiego dokładnie.

— Wyznam ci, że nie ośmielam się nawet z nią rozmawiać — odparł Landry.

— Dlaczego?

— Ponieważ, jak mówią, gdy lichy śpi, nie trzeba go budzić.

Thibault był ciekaw, o jakim nieszczęściu mówi Landry, lecz zbliżali się już do młyna i jego opowieść nie została zakończona.

Zresztą Thibault wiedział już dość.

Tak, Landry kochał piękną młynarkę, lecz ona nie była mu wzajemna. Ten rywal, w istocie, nie był zbyt groźny.

Thibault patrzył z pewną dumą, a nawet satysfakcją, na dziecienną twarz i cherlawą postać kuzyna, osiemnastoletniego smarkacza, który miał zaledwie pięć stóp i sześć cali wzrostu. Doszedł do wniosku, że widać pani Polet woli dojrzalszych mężczyzn, i prawdopodobnie Landry nie jest w jej guście. Zatem porażka kuzyna, winna być przyczyną jego sukcesu. To mu się wydawało proste.

Młyn znajdował się w uroczym zakątku, w głębi zielonej, żyznej doliny; strumień, który ją ożywiał tworzył staw ocieniony płaczącymi wierzbami i smukłymi topolami; między nimi rosły wspaniałe olchy i potężne orzechy włoskie o pachnących liściach. Spieniona woda obróciwszy młyńskie koło spływała wą-

skim strumykiem, który śpiewał swą odwieczną pieśń skacząc po kamieniach i spryskując figlarnie lśnącymi jak diamenty kroplami kwiaty, kokieteryjnie przeglądające się w zwierciadle wody.

Młyn był tak dobrze ukryty w kępie zieleni, wśród sykomorów i wierzb, że z odległości stu kroków można było dojrzeć zaledwie komin i dym wznoszący się między wysokimi konarami drzew, jak kolumna przejrzystego alabastru.

Miejsce, jakkolwiek dobrze znane Thibaultowi, tym razem wywarło na nim szczególne wrażenie.

To było coś, czego nigdy jeszcze nie doznał jako biedak: egoistyczna satysfakcja człowieka lustrującego majątność, która za chwilę być może stanie się jego własnością. Poczucie to stało się bardziej wyraźne, gdy wszedł na podwórze i wymarzony obraz się ożywił.

Niebieskawe gołębie o purpurowych szyjach gruchały na dachu, kaczki kwakały urządzając gonitwy w potoku, kury grzebały w piasku, indyki puszyły się drepcząc wokół swoich połowic, brązowo-białe krowy wracały z pastwiska z wymionami nabrzmiętymi mlekiem. Tu rozładowywano wózki, ówdzie zdejmowano uprząż z paru dorodnych perszeronów, które rżąc wyciągały ku żłobom pyski. Parobek znosił ze stryszku worek owsa, dziewczyna wsypywała do koryta suchy chleb dla wielkiej maciory, która grzejąc się w słońcu oczekiwała, aż przemieni ją w solony boczek, kielbasy i kaszanke. Głosy wszystkich zwierząt z arki Noego — od ryczącego osła do piejącego koguta — łączyły się w specyficzny chór, a monotonny turkot młyna nadawał rytm wiejskiej i polnej melodii.

Thibault był olśniony. Już widział się właścicielem tego wszystkiego, zatarł ręce z radości. Landry zauważyłby z pewnością jego ożywienie, gdyby nie był tak bardzo pogrążony w smutku, który stawał się coraz większy w miarę, jak zbliżali się do domostwa.

Wdowa, która właśnie przebywała w jadalni, zauważyła ich, gdy przekraczali bramę. Była ciekawa, kim jest nieznajomy, który towarzyszył jej młynarczykowi.

Thibault przeszedł swobodnie przez podwórze, przedstawił się i wyjaśnił

młynarce, że pragnął ujrzeć Landry'ego, swego jedyne go krewnego i to spowodowało, że tu przybył.

Wdowa okazała się bardzo uprzejma.

Zaprosiła gościa, by jeśli ma ochotę, spędził w młynie nawet cały dzień; uśmiechała się przy tym, co nasz bohater uznał za dobrą wróżbę.

Thibault wręczył jej prezent. Idąc bowiem przez las, zobaczył kilka kwiczołów, które złapały się w sidła zastawione na jastrzębie.

Młynarka kazała je natychmiast oskubać, wyrażając przy tym nadzieję, iż gość skosztuje pieczystego.

Thibault zauważył, że podczas rozmowy piękna młynarka zerkała ponad jego ramieniem, jakby czegoś szukała spojrzeniem.

Odwrócił się żywo i poznał przedmiot zainteresowania pięknej wdowy, był nim Landry, który zdejmował juki z osłów.

Pani Polet widząc, że nie umknęło to uwadze Thibaulta, poczerwieniała jak wiśnia. Opanowała się szybko i rzekła do przybysza:

— Panie Thibault, wygląda pan na krzepkiego mężczyznę. Myślę, że z łatwością mógłby pan spełnić dobry uczynek, pomagając kuzynowi w zajęciu, które wydaje się przekraczać jego wątłe siły.

I weszła do domu.

— Do diabła! — fuknął Thibault odprowadzając młynarkę wzrokiem. Przeniósł następnie spojrzenie na Landry'ego. — Ten zuch ma więcej szczęścia, niż mu się wydaje. Muszę się od niego uwolnić. A może wezwać na pomoc czarnego wilka?

Ponieważ nie miał pewności, czy ona przypadkiem nie śledzi go ukradkiem przez jakąś szparę, użył wszystkich swych sił i starał się zrećźnie wykonać zadanie.

Po skończonej pracy obaj z Landrym przeszli do jadalni, gdzie dziewczka służebna nakrywała już do stołu.

Wdowa zasiadła na honorowym miejscu i wskazała Thibaultowi krzesło po

swojej prawej ręce.

Pani Polet zajmowała się gościem z tak nadzwyczajną troską, że Thibault, którego na chwilę opadły wątpliwości, nabrał nowej nadziei.

Młynarka, jak gdyby chcąc uczcić jego obecność, własnoręcznie przyprawiła kwiczoły suszonymi owocami jałowca; w ten sposób przyrządzone danie mogło zadowolić najwybredniejsze podniebienie.

Śmiejąc się z żarcików, które opowiadał Thibault, od czasu do czasu zerkała ukradkiem na Landry'ego; zauważyła, że nawet nie tknął porcji, którą sama położyła na jego talerz. Spostrzegła łzę biegnącą po jego policzku.

Ta niema boleść poruszyła ją. Spojrzenie wdowy stało się prawie tkliwe, znacząco skinęła głową, jakby chciała rzec:

— Jedz, Landry, proszę cię o to...

W tej malej pantomimie mieściła się cała moc obietnic miłości.

Landry zrozumiał piękną młynarkę, i o mało nie udławił się kością kwiczoła, bowiem tak prędko chciał wypełnić życzenie pani swojego serca.

Nic nie uszło uwadze Thibaulta.

— Do stu tysięcy fur beczek! — mruknął pod nosem, było to przekleństwo, które usłyszał z ust barona i teraz, gdy zawarł przymierze z diabłem, sądził, że może sobie pozwolić na używanie słów, jakimi posługiwał się wielki pan. — Na Boga! Czyżby ona była naprawdę zakochana w tym chłopczynie? To trochę w złym guście, a co więcej, to nie po mojej myśli. Nie! Tobie, piękna młynarko trzeba zucha, który bez trudu pokieruje młynem, i albo tym zuchem jestem ja, albo czarny wilk nie wart jest funta kłaków.

Młynarka jednak prawie natychmiast przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy, nie chcąc, aby dostrzegł spojrzenia i uśmiechy, jakie kierowała do Landry'ego.

— Widzę, że w tym przypadku trzeba będzie użyć nadzwyczajnych środków. Nie mogę przecież pozwolić, — myślał Thibault — by mi umknęła taka okazja. To jedyna w całej okolicy partia, która mi odpowiada. Tak, ale co zrobić z ku-

zynem... Jego uczucia burzą moje zamiary, ale, prawdę mówiąc nie mogę dla tak błażej przyczyny wysłać go tam, gdzie teraz znajduje się nieszczęsny Marcotte. Ale na honor! Nie ma jednak powodu, bym sobie łamał głowę i szukał jakiegoś rozwiązania. Nic mnie to zresztą nie obchodzi, to sprawa czarnego wilka! I wyraził swoje życzenie:

„Czarny wilku, spraw w jakiś sposób, mój przyjacielu, abym inaczej niż przez nieszczęśliwy wypadek pozbył się kuzyna Landry'ego”.

Kończąc tę myśl zauważył, że kilku mężczyzn ubranych w mundury wojskowe schodzi ze zbocza i kieruje się w stronę młyna. Landry również ich zauważył. Krzyknął głośno i wstał, jakby chciał się rzucić do ucieczki, lecz natchmiast opadł na krzesło, jakby zabrakło mu sił.

ŻYCZENIA THIBAULTA

Wrażenie, jakie wywarł na Landrym widok żołnierzy zbliżających się do młyna przeraził wdowę Polet.

— Boże, co z tobą, mój biedny Landry? — spytała.

— W zeszły czwartek w chwili rozpaczy, spotkałem werbowników w hotelu „Dauphin” — rzekł zapytany — i zaciągnąłem się.

— W chwili rozpaczy! — wykrzyknęła młynarka.

— Byłem w rozpaczy — wyznał z trudem Landry — bo panią kocham!

— I zaciągnąłeś się do wojska, dlatego że mnie kochasz?

— Przecież powiedziała mi pani, że mnie wyrzuci z młyna!

— A czy cię wyrzuciłam? — spytała młynarka z wyrzutem, a jej twarz wyrażała uczucie, co do którego nie można było się mylić.

— Ach, mój Boże! Więc nie wyrzuciłaby mnie pani za próg? — zdumiał się Landry.

— Drogiego chłopce — westchnęła młynarka, a na jej twarzy ukazał się czuły uśmiech. Wykonała ręką gest, który sprawił, że serce Landry'ego zamarło z ra-

dości.

— A więc, — rzeki Landry — może jest jeszcze dość czasu, bym się ukrył...

— Byś się ukrył? — odezwał się Thibault. — Nie masz szans.

— A dlaczego? — spytała młynarka. — Spróbujmy. Chodź za mną, Landry. Szewc przyglądał się obojgu uważnie.

— Thibault, mój przyjacielu — rzeki sam do siebie — nawet jeśli Landry się ukryje, werbownicy mają dobrego nosa, na pewno go wywęszą.

Mówiąc to nie zdawał sobie sprawy, że właśnie wypowiada kolejne życzenie.

W chwili, gdy w drzwiach ukazał się sierżant na czele werbowników, wdowa Polet wbiegła zdyszana do pokoju. Dwaj żołnierze pozostali na zewnątrz. Mieli pilnować, by się im Landry nie wymknął.

Młynarka nie czekała, aż sierżant do niej przemówi. Zaproponowała, z najwdzięczniejszym uśmiechem, że da jemu i jego kompanom szklaneczkę czegoś chłodnego do przepłukania gardła.

Takiej propozycji żaden werbownik nigdy jeszcze nie odrzucił. Gdy żołnierze pociągali wino, osądziła, że widać nadszedł odpowiedni moment, i spytała, co ich sprowadza do młyna Coyolles.

Sierżant na to, że właśnie przyszedł po młodego młynarczyka, z którym już pił za zdrowie jego wysokości króla, i który podpisawszy kontrakt, zniknął gdzieś bez śladu.

Młynarka w przeświadczeniu, że wolno kłamać, gdy dobra intencja czyn ten uświęca, zapewniła, że w ogóle nie zna Landry'ego.

Sierżant z kolei zapewnił młynarkę, że ma oczy najpiękniejsze na świecie i kuszące usta, ale to jednak nie jest wystarczającym powodem, by wierzył w szczerść jej spojrzenia i by z jej ust padały słowa prawdy.

Rozkazał więc, aby zaczęto przeszukiwać dom.

Po pięciu minutach sierżant wrócił. Poprosił piękną wdowę o klucz od jej pokoju. Młynarka była urażona tym życzeniem.

Sierżant nastawał tak obcesowo, że wreszcie była zmuszona dać mu klucz. Po

chwili wrócił prowadząc Landry'ego za kołnierz bluzy. Na ten widok wdowa pobladła.

Thibaultowi serce biło tak, że o mało nie wyskoczyło mu z piersi; doskonale wiedział, że sierżant tak szybko dotarł do kryjówki Landry'ego za przyczyną czarnego wilka.

— Ach, to tak, mój chłopcze? Wolisz służyć pięknej kobiecie, niż naszemu królowi?

— Ale, — zwróciła się młynarka do sierżanta — Landry nic ma jeszcze dwudziestu lat, nie macie prawa go zabierać.

— To prawda — stwierdził chłopiec. — Nie mam jeszcze dwudziestu lat.

— A kiedy będziesz miał?

— Dopiero jutro.

— Wyśmienicie! — orzekł sierżant. — W takim razie tej nocy prześpisz się na snopku słomy, jak ulęgalka, a gdy rano się obudzisz, będziesz już dojrzały.

Wdowa zaczęła prosić, błagać, przysięgać, pozwalała się obściskiwać werbownikom, cierpliwie znosiła grube żarty, jakimi żołnierze zaczęli sypać, widząc jej cierpienie, wreszcie zaproponowała im sto talarów, w zamian za Landry'ego. Wszystkie jej wysiłki okazały się jednak daremne.

Związano Landry'emu ręce, jeden z żołnierzy ujął koniec sznura i werbownicy wraz ze swoją ofiarą natychmiast ruszyli w drogę. Przed odejściem zdążył tylko panią swego serca zapewnić, że będzie ją kochał zawsze, z daleka czy z bliska, a jeśli umrze, jej imię będzie ostatnim słowem, jakie wymówią jego wargi.

Piękna wdowa w obliczu takiej tragedii straciła cały dystans i nim Landry się oddalił, z wielką czułością przycisnęła go do serca.

Thibault żegnając kuzyna był wyraźnie poruszony. Gwałtowność uczuć, jakie wdowa okazywała kuzynowi, zaniepokoiła go trochę. Tymczasem, choć nie sądził, że zniszczył zło w zarodku, żywił najlepsze nadzieje.

Gdy wdowa przyszła do siebie, pierwszym słowem, jakie wymówiła, było imię Landry'ego. Młynarka zalała się gorzkimi łzami.

— Biedny, nieszczęsny chłopiec. — łkała. — Co się z nim stanie? Jest taki wątpy i wrażliwy! Już sam ciężar karabinu i tornistra go zabije. — i zwracając się do gościa dodała: — Ach, panie Thibault, to straszne nieszczęście! Pan pewnie się domyślił, że go kocham? Taki łagodny, taki dobry chłopiec. Nie miał żadnej, najmniejszej nawet wady. Nie był hulaką ani pijakiem, nigdy nie sprzeciwił się mojej woli; nigdy nie tyranizowałby własnej żony, co mi się wydawało takim szczęściem po dwóch latach przeżytych z panem Polet! Ach, panie Thibault! Panie Thibault! Co to za ból dla biednej, nieszczęśliwej kobiety, widzieć jak wszystkie projekty szczęśliwej i spokojnej przyszłości pogrążają się w otchłani!

Thibault uznał, że oto nadarza się wyśmienita okazja, wyznać młynarce swoje zamiary. Gdy ujrzał, że kobieta płacze, naszła go myśl, całkiem zresztą bezpodstawna, że płacze tylko dlatego, by ją ktoś pocieszył. Postanowił jednak zmierzać do celu drogą okrężną.

— Dobrze rozumiem pani ból — odparł. — Powiem więcej, nie może pani wątpić, że żywię gorące i szczere uczucia wobec mojego krewniaka, podzielam więc pani rozpacz. Ale nie ujmując Landry'emu ani jednej z jego zalet, myślę, że lepiej w ogóle przestać o nim myśleć. Lepiej będzie, piękna młynarko, jeśli się rozejrzysz, kto go może zastąpić.

— Kto go może zastąpić? — oburzyła się wdowa. — Nie ma kogoś takiego! To niemożliwe. Gdzież znajdę chłopca tak miłego i poważnego. Mającego tak czarującą postać, a przy tym łagodnego i tak obyczaj nego! Landry pracował dzień i noc, a moje spojrzenie było dla niego rozkazem. Nie, nie, panie Thibault... Powiadam ze szczerego serca; uczucie do tego chłopca odbiera mi wszelką chęć szukania kogoś innego. Wiem na pewno, że nigdy już nie pokocham i do końca życia pozostanę wdową!

— Phi! — wzruszył ramionami Thibault. — Landry to taki młodzik.

— Och — westchnęła wdowa — to przecież jeszcze nie jest wadą.

— Kto wie, czy ten młodzieniec zachowa swe piękne przymioty w późniejszym wieku! Posłuchaj mnie piękna pani i nie rozpaczaj więcej, lecz jak już po-

wiedziałem, poszukaj kogoś, kto by pozwolił ci o nim zapomnieć. Przecież tobie nie jest potrzebny taki dzieciak jak on, lecz mężczyzna jak się patrzy; taki, który miałby wszystkie zalety, jakie ci się podobały w moim kuzynie, a jednocześnie był dosyć dojrzały, by się nie obawiać, że pewnego pięknego dnia wszystkie iluzje się rozwieją, a on okaże się rozpustnikiem lub nieokrzesanym gburem.

Młynarka potrząsnęła głową. Thibault zaś ciągnął:

— Ktoś, kogo pani potrzebuje, zuch, który broniłby pani godności, a także umiałby doprowadzić interes do rozkwitu. Do diaska! Piękna młynarko, powiedz słowo, a nie będziesz długo czekała, by się dobrze urządzić!

— A gdzież mogę spotkać ten ideał mężczyzny? — spytała młynarka prostując się i patrząc na szewca odrobinę wyzywająco.

Tamten, podchwytując ton jaki wdowa nadała ostatnim słowom, uznał, że właśnie nadszedł odpowiedni moment. Postanowił skorzystać z okazji i ujawnić swoje zamiary.

— Wyznam, że mówiąc, iż nie musi pani daleko szukać mężczyzny jak się patrzy, myślałem o sobie. Byłbym bardzo szczęśliwy i dumny, stając się pani małżonkiem. Ach — ciągnął z zapalem, podczas gdy w oczach młynarki w miarę jak go słuchała, dostrzec można było coraz większą niechęć. — Przy mnie mogłaby pani być najzupełniej spokojna, że nikt się nie przeciwstawi jej woli. Jestem łagodny jak jagnię. Miałbym tylko jedno pragnienie i jeden przywilej: chciałbym mieć przywilej bycia posłusznym pani poleceniom i pragnieniom by się jej podobać. Jeśli zaś chodzi o majątek, to znam pewne sposoby, by go pomnożyć, ale o tym powiem później...

Thibault nie skończył jeszcze swej perory, gdy młynarka przerwała mu gwałtownie:

— Coś podobnego! To niesłychane! — wykrzyknęła z narastającą wściekłością, tym większą, że już od dłuższego czasu usiłowała pohamować wzburzenie. — Po prostu niesłychane! Pan, o którym myślałam, że jest jego przyjacielem, ośmiela się mówić, że chce zająć miejsce własnego kuzyna w moim

sercu? Chce pan, żebym złamała przyrzeczenie dane pańskiemu krewniakowi? Precz stąd, nędzniku! Precz! Jestem tak oburzona i wściekła, że jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiesz, zawołam ludzi, by cię wyrzucili na młyńskie koło!

Thibault chciał odeprzeć ten atak. Lecz on, któremu nie brakowało nigdy argumentów, nie mógł znaleźć słów usprawiedliwienia.

Zresztą młynarka nie dała mu na to czasu. Chwyciła za ucho stojący pod ręką dzbanek i z rozmachem rzuciła w Thibaulta.

Na szczęście szewc uchylił głowę w lewo i dzban, nie musnąwszy go nawet, przeleciał przez pokój i roztrzaskał się o kominek. Młynarka chwyciła więc stołek i z nie mniejszą gwałtownością zamierzyła się, by utrafić w ten sam cel. Tym razem Thibault odchylił głowę w prawo i stołek wybił szybę w oknie.

Słyszając hałas tłukącego się szkła, parobcy i dziewczęta służebne nadbiegli gromadą z młyna.

Oslupieli, widząc, jak ich pani rzuca w gościa wszystkim, co jej wpadło w rękę: w powietrzu fruwały butelki, solniczki i talerze.

Szczęściem dla Thibaulta, młynarka była tak rozjuszona, że wściekłość odebrała jej mowę.

Gdyby mogła mówić, krzyczałaby:

— Zabijcie go! Poderżnijcie mu gardło! To łobuz, nędznik!

Widząc, że nadciągają posiłki, Thibault chciał dać drapaką przez drzwi, które werbownicy uprowadzając Landry'ego, pozostawili otworem.

Lecz w chwili, gdy już miał przekroczyć próg, spory świniak, który właśnie odprowadził sjęstę na słońcu i któremu słodką drzemkę zakłócił nieoczekiwany hałas, uznał widać, że jego życie znajduje się w niebezpieczeństwie i chcąc umknąć do chlewa wpadł prosto pod nogi Thibaulta.

Nasz bohater stracił równowagę.

Padł jak długi w błoto i leżący na podwórzu gnój.

— Niech diabeł porwie to przekłete zwierzę! — krzyknął szewc rozwścieczony nie tylko upadkiem, lecz przede wszystkim tym, że powalał gnojem nowe

ubranie.

Ledwo skończył wymawiać te słowa, gdy prosiak ogarnięty nagłym i nieoczekiwanym szaleństwem, zaczął gnać jak wściekły przez podwórze roztrącając, łamiąc i przewracając wszystko, co mu zagradzało drogę.

Służba, która się zbiegła słysząc krzyki pani, pomyślała, że przyczyną zamieszania było przedziwne zachowanie prosiaka i rzuciła się za nim w pogoń.

Usiłowali pochwycić zwierzę, lecz bez skutku. Prosiak zbijał z nóg parobków i dziewczki, tak jak przedtem Thibaulta, przebił się przez przegrodę oddzielającą młyn od śluzy z łatwością, jak gdyby była z papieru i pospieszył wprost na młyńskie koło...

Natychmiast pograżył się w spienionej otchłani.

Tymczasem młynarka odzyskała mowę.

— Łapcie Thibaulta! — wrzeszczała, usłyszawszy bowiem przekleństwo, jakie szewc rzucił pod adresem jej własnego prosiaka, była wstrząśnięta szybkością, z jaką jego życzenie wypełniło się. — Łapcie Thibaulta! Zabijcie go! To czarownik! Wilkołak!

To ostatnie słowo było najgorszym epitetem, jakim w naszej okolicy można obdarzyć mężczyznę.

Thibault, który stracił na chwilę rezon, skorzystał teraz z chwili osłupienia, w jakie wpadła służba słysząc wyzwiska młynarki. Przemknął między dziewczkami i parobkami i nim zaczęto szukać wideł czy łopat, wybiegł przez bramę. Po czym z łatwością, która tylko potwierdzała podejrzenia pięknej młynarki, zaczął wielkimi krokami wchodzić na szczyt góry, który dotychczas uważano za niedostępną, przynajmniej od tej strony, od której Thibault się wspinał.

— Jakże to! — wrzeszczała młynarka. — Puściecie go wolno? Nie będziecie go ścigać! Dalej, złapcie go i zabijcie!

Ludzie kręcąc głowami mówili:

— Eee, proszę pani, a cóż my możemy zrobić wilkołakowi? I jak możemy go złapać?

WILKOŁAK

Uchodząc przed groźbami młynarki i widłami jej ludzi, Thibault wiedziony instynktem kierował się w stronę lasu.

Miał zamiar, nim go przeciwnik doścignie, ukryć się w gęstwinie, gdzie o tej porze nikt nie ośmieliłby się go ścigać, obawiając się zasadzki. Zresztą obdarzony przez czarnego wilka mocą diabelską, nic sobie nie robił z wrogów. Wystarczy, by rzucił przekleństwo, a przeciwnik zniknie, tak jak prosiak młynarki.

Jednakże na wspomnienie Marcotte'a serce przeszywał mu dziwny dreszcz; powtarzał sobie w duchu, że nie powinno się wysyłać do diabła ludzi, tak jak prosięta.

Rozmyślając nad ową straszliwą diabelską mocą, spojrzął za siebie, by się upewnić, czy jednak nie będzie musiał z niej w potrzebie skorzystać. Gdy dotarł na przedmieścia Pisseleu, zapadła noc. Jesienna, ciemna noc, podczas której wiatr zrywa z drzew żółknące liście, zawodzi żałośnie i budzi w lesie jęклиwe, ponure echa.

Te żałobne zawodzenia od czasu do czasu przerywały pohukiwania puszczyków, przywodzące na myśli zbłąkanych podróżnych nawołujących się w lesie.

Wszystkie te odgłosy Thibault znał doskonale, był z nimi oswojony. Nie robiły na nim przykrego wrażenia. Zresztą już zawczasu, dotarłszy na skraj lasu, pomyślał o obronie. Wyłamał solidny konar kasztanowca, długi na cztery stopy; mając wielką wprawę we władaniu pałką, nie obawiał się ataku nawet czterech mężczyzn.

Wszedł w las, śmiało wkroczył na polanę, którą do dnia dzisiejszego ludzie nazywają Bruyère aux Loups, Wilcze Wrzosowisko.

Maszerował tak od kilku minut wąską, ciemną przesieką — przeklinając dziwactwa kobiet, które nie wiedząc czemu, przedkładają głupkowatych, nieśmiałych smarkaczy nad dzielnych, żwawych chwatów, gdy jakieś dwadzieścia

kroków za sobą usłyszał dziwny szelest.

Odwrócił się. W ciemnościach dostrzegł parę oczu świecących jak rozżarzone węgle. Wyteżając wzrok, ujrzał w mrokach olbrzymiego wilka, który posuwał się za nim krok w krok. Wszakże nie był to ten sam, którego gościł w swej chatce. Tamten był czarny, ten zaś rudy. Nie można się było pomylić, bowiem różnił się nie tylko kolorem sierści, lecz przede wszystkim wielkością.

Thibault nie miał żadnego powodu, by sądzić, że wszystkie wilki żywią wobec niego równie przyjazne zamiary, jak ów pierwszy, z którym miał do czynienia.

Ścisnął więc oburącz konar i zaczął nim kręcić młynka, by się przekonać, czy nie wyszedł z wprawy.

Ku jego najwyższemu zdumieniu, zwierzę cały czas biegło truchcikiem tuż za nim, nie okazując wcale wrogości: zatrzymując się, gdy Thibault przystawał, ruszając zaś, gdy nasz bohater kontynuował drogę, skowycząc tylko od czasu do czasu, jak gdyby chciało wezwać posiłki.

Słyszając ten skowyt, Thibault poczuł niepokój.

Raptem nasz wędrowiec ujrzał przed sobą dwa światelka, które trwały nieruchomo, i potknął się o coś leżącego w poprzek ścieżki. Był to następny wilk!

Myśląc, że nieostrożnością byłoby atakować idącą wciąż za nim bestię, szewc wymierzył mocny cios leżącemu przed nim zwierzęciu. Zdzielił drapieżnika prosto w łeb.

Z gardzieli zwierzęcia dobył się bolesny skowyt. Po czym otrząsając się jak pies, którego pan skarcił, wilczysko ruszyło przed szewcem.

Thibault odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje za jego plecami.

Pierwsza bestia szła za nim, cały czas zachowując tę samą odległość. Rozglądając się wokół dostrzegł trzeciego wilka po swojej prawej ręce. Odruchowo spojrział w lewo. Po lewej stronie kroczył czwarty wilk.

Nim Thibault uszedł ćwierć mili, dwanaście wilków utworzyło wokół niego zwarty krąg.

Sytuacja była krytyczna. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Zaczął śpiewać, licząc na to, że dźwięk ludzkiego głosu spłoszy intruzów.

Bez skutku. Żadne zwierzę nie opuściło miejsca zajmowanego w kręgu otaczającym Thibaulta, który wyglądał jakby był nakreślony cyrklem.

Szewc pomyślał więc, że najlepiej będzie stanąć przy pierwszym spotkanym rozłożystym drzewie, wdrapać się po gałęziach na czubek i tam doczekać dnia.

Jednakże po krótkim zastanowieniu uznał, że rozsowniej będzie dotrzeć do własnej chatki, do której coraz bardziej się zbliżał. Wilki mimo swej liczby nie zdradzały wrogich zamiarów. Zresztą zdąży wdrapać się na drzewo, jeśli wilki zaczną go atakować.

Trzeba przyznać, że Thibault był jednak tak poruszony całą sytuacją i niespokojny, że gdy dotarł pod własne drzwi, nie od razu poznał, gdzie się znajduje. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że stoi przed swą chatką.

I w tej chwili ku jego najwyższemu zdumieniu wilki, idące przed nim stanęły i przysiadając na zadach utworzyły szpaler; zupełnie jakby miał to być wyraz szacunku.

Thibault nie tracił czasu, by dziękować za okazaną kurtuazję. Wpadł do wnętrza i zatrzasnął za sobą drzwi. Następnie zamknąwszy je porządnie na skobel, przystawił kufer, aby wzmocnić zabezpieczenie na wypadek, gdyby zwierzęta przypuściły do nich szturm. Po czym wyczerpany padł na krzesło.

Gdy już się trochę otrząsnął z wrażenia, spojrzął przez szybkę w okienku wychodzącym na las.

Rząd gorejących oczu był dowodem, że wilki wcale nie miały zamiaru odejść, wręcz przeciwnie — otoczyły chatkę ciasnym pierścieniem.

Takie sąsiedztwo przeraziłoby każdego. Thibault, mimo iż przez dłuższy czas maszerował eskortowany przez to straszne stado, czuł się teraz trochę raźniej; od ponurych towarzyszy drogi oddzielała go, co prawda wątła, ścianka.

Następnie postawił na stole zapalony kaganek, pozbierał porozrzucone na podłodze główne, rzucił na nie parę garści wiórów i rozpałił wielki ogień; sądził,

że blask odstraszy wilki. Lecz one nawet nie drgnęły, wciąż siedziały nieruchomo na swych miejscach.

O brzasku Thibault, któremu niepokój nie pozwolił zasnąć ani na chwilę, mógł je przeliczyć. Wydawało się, że na coś czekają. Jedne siedziały, inne leżały, niektóre spały, a jeszcze inne przechadzały się na podobieństwo zamkowej straży.

Gdy ostatnia gwiazda zgasła i roztopiła się w różowawym blasku, wszystkie wilki podniosły się jednocześnie i wydając z siebie ów ponury skowyt, jakim nocne drapieżniki witają dzień, rozpierzchły się po lesie.

Wtedy Thibault zaczął rozmyślać nad tą niezwykłą i niezbyt przyjemną przygodą. Jak to możliwe, by młynarka wołała Landry'ego od niego? Kuzyn nie był przecież urodziwszy. Co było w jego osobie takiego, co działało na niekorzyść? Istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać: należało się poradzić zwierciadła.

Wziął do ręki kawałek lusterka zawieszony przy kominku i podszedł do okna, uśmiechając się kokieteryjnie.

Jednak ledwie ujrzał swe odbicie, wydał z siebie okrzyk, na poły zdumienia, na poły przerażenia.

To był z pewnością on, piękny Thibault. Ale dzięki życzeniom, które nieopatrznie wymknęły się z jego ust, w czuprynie lśniło wyraźne pasmo czerwonych jak ogień włosów. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Barwa włosów była jaskrawoczerwona.

Wiedząc z doświadczenia, że próby wyrwania czy wycięcia włosa, z góry skazane są na niepowodzenie, postanowił poprzestać na tym, co posiadał i w przyszłości dołożyć wszelkich starań, by ograniczyć swoje życzenia.

Postanowił pohamować wybijające ponad miarę pragnienia, które sprowadziły tak fatalne skutki, i wziąć się do pracy.

Thibault w istocie rankiem podjął taką próbę. Ale jakoś bez szczególnego zapału. Na próżno usiłował sobie przypomnieć pieśni, które niegdyś, za dawnych dobrych dni śpiewał, zręcznie obracając kawałkami brzoźowego i bukowego

drewna; tego dnia narzędzia całymi godzinami leżały bezużytecznie.

Rozmyślał, o tym, iż teraz kierując odpowiednio własnymi pragnieniami może łatwo osiągnąć dobrobyt, podczas gdy pracując w krwawym trudzie mógł jedynie zapewnić sobie życie w cierpieniu i nędzy.

Skromny posiłek nie sprawiał mu przyjemności, tak jak niegdyś; gdy poczuł głód, z odrazą sięgnął po kawałek czarnego chleba. Pożądanie, które dotychczas miało postać niejasnego dążenia do dobrobytu, nabierało z wolna w głębi jego serca charakteru głuchej, gwałtownej wściekłości, która przeradzała się w nienawiść wobec bliźniego.

Mimo iż dzień cały niepomiernie się Thibaultowi dłużył, minął tak jak inne. Gdy nadszedł zmierzch szewc wstał od warsztatu i usiadł na drewnianej ławce, którą sam ustawił przed drzwiami. I znów pograżył się w ponurych rozmyślniach.

Gdy tylko ciemności zaczęły gęstnieć, z zarośli wynurzył się wilk i tak jak poprzedniej nocy ułożył się w pewnej odległości od chatki. Po chwili pojawił się drugi, potem trzeci i czwarty; wkrótce całe stado zajęło te same miejsca co poprzedniego wieczoru.

Na widok trzeciego wilka wynurzającego się z zarośli Thibault wszedł do izby. Zabarykadował się równie starannie jak poprzednio. Był jednak znacznie bardziej smutny i przybity.

Nie miał siły czuwać. Rozpalił kominek, ułożył drewno tak, aby ogień płonął całą noc, padł na łóżko i zasnął.

Gdy Thibault się zbudził, na dworze było już całkiem jasno. Słońce stało wysoko na niebie. Jego promienie muskały drżące, pożółkłe liście krzewów i malowały je tysiącem odcieni złota i purpury. Szewc podbiegł do okna.

Wilki znikły. Można było tylko policzyć wygniecione w wilgotnej od rosy trawie miejsca, które zajmowały nocą.

Wieczorem znów się zebrały przed chatką szewca, który zaczynał się przyzwyczajać do ich obecności.

Pakt zawarty z czarnym wilkiem spowodował, iż czuł nawet pewną sympatię do tych stworzeń. Ponadto teraz już się domyślał, czego może się po nich spodziewać.

Pociągnął kilka razy ostrzem po skórzanym pasie wziął do ręki oszczep, otworzył z determinacją drzwi i podszedł do stada. Lecz ku jego wielkiemu zaskoczeniu, wilki zamiast rzucić się na niego, zaczęły machać ogonami, zupełnie jak psy na widok pana.

Ów gest był przyjazny w sposób tak oczywisty, że Thibault położył rękę na grzbiecie jednego, który nie tylko nie protestował, lecz okazywał głębokie zadowolenie. Oznaki przyjaźni były widoczne.

— Och, — wyszeptał Thibault, a jego bujna wyobraźnia z miejsca ruszyła galopem — jeżeli umiejętności tych zwierzaków są równe ich uprzejmości, to posiadam sfore, jakiej nie ma nawet sam baron. Teraz mogę ruszyć na łowy, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

Ledwo Thibault skończył mówić, cztery najzwawsze, najbardziej czujne czworonogi odłączyły się od stada i pobiegly w las.

Chwilę później pod sklepieniem z konarów zabrzmiał skowyt, a po pół godzinie z gęstwiny wynurzył się jeden z wilków ciągnąc dorodną łanię, za którą na trawie znaczył się ślad w postaci pasma świeżej krwi.

Wilki złożyły sarnę u stóp szewca, który nie posiadał się z radości widząc, że sfora nie tylko wypełnia, lecz wręcz uprzedza jego życzenia; podzielił więc zręcznie ubite zwierzę i każdemu z wilków dał odpowiednią część, dla siebie zachowując comber i oba udźce. Następnie wyniosłym gestem, wskazującym jak szybko uczy się nowej roli, odprawił wilki.

Jeszcze przed wschodem słońca ruszył do Villers-Cotterêts, gdzie za pośrednictwem dwóch talarów oberżysta w „Boule-d'Or” uwolnił go od sarnich udźców.

Następnego dnia Thibault przyniósł oberżyscie pół dzika okazując się jednym z najbardziej pracowitych dostawców.

Nasz bohater zaczął wieść teraz inny tryb życia; całe dnie spędzał w mieście,

odwiedzając restauracje; całkiem zapomniał o robieniu sabotów.

Ten i ów stroił żarty na widok niesfornego kosmyka ognisto-czerwonych włosów, które mimo iż starannie ukrywane pod czarnymi puklami, zawsze znalazły sposób, by się wysunąć i ukazać w świetle dziennym. Thibault postanowił nie zwracać uwagi na kpiny z powodu tego fatalnego, szpecącego go szczegółu.

Nieszczęście chciało, że w tym samym czasie diuk Orleanu i pani de Montesson postanowili spędzić kilka dni w Villers-Cotterêts. To ożywiło ambicje Thibaulta.

Piękne damy i młodzi panowie z okolicznych zamków — Montbretonowie, Montesquiusze, Courvalowie — zebrali się w miasteczku.

Róg barona de Vez rozbrzmiewał w lasach tak głośno jak nigdy dotychczas. Można było zobaczyć, jak na obrazie, pędzące konie czystej krwi angielskiej, na których galopowały smukłe amazonki i zręczni jeźdźcy w czerwonych strojach myśliwskich ozdobionych złotymi galonami.

Dniem ten wspaniały orszak, jak ognista błyskawica przecinał ciemny, gęsty las. Wiezorami bawiono się hucznie. Całe arystokratyczne towarzystwo spotykało się na festynach i na balach. Z festynów na bale jeżdżono złoconymi powozami ozdobionymi tarczami herbowymi.

Thibault stawał zawsze w pierwszym rzędzie ciekawskich. Pożerał oczyma obłoczki atłasu i mgiełki koronek, które unosząc się pozwalały ujrzeć delikatne, smukłe kostki obciążone jedwabnymi pończoszkami i malusieńkie pantofelki z czerwonymi obcasami.

Wszystko to przemykało przed oczami zachwyconego tłumu, pozostawiając za sobą, zapach pudru, balsamów i najsubtelniejszych pachnideł.

Thibault zastanawiał się, dlaczego on sam nie jest jednym z tych młodych szlachciców odzianych w haftowane stroje. Dlaczego jego kochanką nie jest jedna z tych dam w szeleszczących, atłasowych sukniach. Angelette wydała mu się teraz tym, czym w istocie była: ubogą wieśniaczką. A wdowa Polet prostą młynarką.

Kiedy nocą wracał przez las eskortowany przez wilki — które gdy tylko o zmroku postawił stopę na leśnej ścieżce, nie opuszczały go, jak wierna straż nie opuszcza króla — naszyły go najbardziej fatalne myśli.

Thibault wstąpił już na drogę zła, owładnięty pragnieniem posiadania, musiał więc zerwać z tym, co mu jeszcze zostało, to znaczy ze wspomnieniami o uczciwym życiu.

Czymże było tych parę talarów, które dostawał od oberżysty z „Boule-d'Or” za dziczyznę dostarczaną przez wilki!

Przez tyle lat najskromniejsze z jego pragnień było niemożliwe do spełnienia.

Ośmielam się zauważyć, że Thibault najpierw chciał mieć daniela barona de Vez, potem zdobyć serce Angelette, następnie młyn wdowy Polet, a teraz zapragnął zamku Oigny lub Longpont; tak oto drobne, zgrabne, krągłe nóżki i słodkie wonie unoszące się z aksamitnych i atłasowych strojów podnieciły jego wybujałą wyobraźnię.

Pomyślał tego dnia, że byłby zupełnym głupcem, gdyby postanowił dalej żyć w nędzy, mogąc korzystać z niezwyklej mocy, jaką obdarzył go sprzymierzeniec.

Od tej chwili postanowił korzystać z możliwości spełnienia najbardziej niezwykłych życzeń, nawet jeśli pewnego dnia jego czupryna będzie przypominać ognistą koronę, jaka unosi się nocą wysoko nad kominami manufaktury w Saint-Gobain.

SĘDZIA MAGLOIRE

Zgodnie ze swą niespokojną naturą Thibault nie podjął stanowczych decyzji.

Kończył się stary rok. Tymczasem każdego dnia, w miarę jak przybliżał się ten straszliwy przełom, wymagał od swoich dostarczycieli podwójnej ilości dziczyzny, za co dostawał dwakroć więcej talarów od oberżysty z „Boule d'Or”.

I tak, nie wspominając już o kosmyku ognistoczerwonych włosów, który przybierał rozmiary dość niepokojące, Thibault wkroczył w nowy rok w sytuacji

materialnej tak dobrej, w jak nigdy dotąd.

Chce podkreślić, że mówię „materialnej”, a nie „moralnej”, ponieważ o ile jego ciało znajdowało się w kwitnącym stanie, dusza była narażona na szwank. Ciało było dobrze okryte przed chłodem, w kieszeniach kurtki brzęczała wesoło spora garść talarów.

Thibault dostatnio odziany, któremu towarzyszyła atmosfera zasobności, nie wyglądał jak ubogi szewczyzna, lecz jak mieszczanin, który co prawda ma jakieś zajęcie, lecz wykonuje je wyłącznie dla własnej przyjemności.

Były to wszakże pozory zamożności. Thibault udał się na jedną z tych uroczystości, które dla prowincjuszy są szczególną okazją do świętowania i stanowią rozrywkę.

Łowiono ryby w wielkich stawach Berval i Pondron.

Połów w stawie jest wielkim wydarzeniem dla właściciela czy dzierżawcy, nie mówiąc już o tym, jak wielką przyjemność sprawia widzom.

Połów ogłoszono już przed miesiącem.

By Czytelnicy, nie znający zwyczajów panujących na prowincji, nie pomyśleli przypadkiem, że idzie tu o łowienie na wędkę opatrzoną zawieszoną na haczyku żywą przynętą lub gotowaną pszenicą, czy łowienie włókiem, muszę rzec, że chodzi o coś innego. Mówię tu o spuszczeniu wody ze stawu szerokiego na trzy czwarte mili i na milę długiego i opróżnianiu go z wszelkich ryb — od największych szczupaków poczynając, na najdrobniejszych płotkach kończąc.

Oto jak się taka rzecz odbywa:

Nie ma, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ani jednego wśród Czytelników, który nie widziałby stawu. Każdy staw, jak wiadomo, ma dwa końce: jednym woda wpływa, a drugim wypływa... Ten koniec, a raczej otwór, przez który woda wpływa, nie ma nazwy, ten którym wypływa, nazywamy stawidłem. I tu właśnie, przy stawidle odbywa się połów. Woda wypływając, wpada do obszernego zbiornika, z którego wycieka przez oczka mocnej sieci. Woda wypływa, a ryba zostaje.

Wiadomo, ile dni trzeba, by opróżnić staw. Nie zaprasza się więc ciekawych i amatorów wcześniej niż drugiego, trzeciego lub czwartego dnia, w zależności od tego, ile wody trzeba spuścić ze stawu, aby nastąpił moment właściwy. A tym właściwym momentem jest pojawienie się ryby przy stawidle.

Gdy połów ma się rozpocząć, wokół stawu gromadzi się, stosownie do jego rozmiarów i zasobności, tłum równie liczny i równie, rzecz jasna, elegancki, jak podczas wyścigów na Polach Marsowych lub w Chantilly, gdy mają biegać najszybsze konie pod najlepszymi jeźdźcami. Z tą jednak różnicą, że tego widowiska nie ogląda się siedząc na trybunach czy w powozach.

Każdy przyjeżdża, jak chce lub jak może; w kabriolecie, bryczką, fetonem, na wózku, wierzchem, na osiołku; po przybyciu, pomijając kwestię wyrażania szacunku, jakim w krajach mniej cywilizowanych otacza się znamienite osoby, wszyscy zajmują miejsca, jakie im przypadły w udziale w chwili przybycia lub jakie zdołali zdobyć dzięki sile łokci, przeciskając się zrećznie przez gęstą ciżbę.

Ścisk bywa taki, że tylko mocna, dobrze osadzona krata nie pozwala widzom wpaść do zbiornika.

Po barwie i zapachu wody poznaje się, czy jest się blisko.

Są jednak i nieprzyjemne strony takiego widowiska. W operze im bardziej widownia jest liczna i świetna, tym więcej się wdycha dwutlenku węgla. Podczas połowu — w chwilach najbardziej emocjonujących, najwięcej wdycha się azotu.

Na samym początku, to jest w chwili gdy się otwiera stawidło, woda spływa czysta, przejrzysta, o barwie lekko zielonkawej, tak jak woda w potoku. To górna warstwa, która siłą ciężkości spływa ze stawu pierwsza.

Woda pomału traci przejrzystość i przybiera odcień szarawy. To druga warstwa, w której, od czasu do czasu, pośród ciemniejącej szarości, pojawia się srebrny błysk. To najdrobniejsze rybki, które nie mogą się oprzeć prądowi, spływają migając srebrną łuską.

Nikt nie zdaje sobie trudu, by łapać ten drobiazg; wszyscy obserwują z rozbawieniem, jak niektóre rybki szukając na dnie zbiornika nieruchomych, stoją-

cych kałuży, wykonują iście kuglarskie podskoki i salta.

Potem napływa woda czarna. To trzeci akt — moment kluczowy.

Ryba siłą instynktu opiera się niezwyklemu prądowi, który chce ją porwać; nikt jej nie ostrzegł, że ów prąd jest niebezpieczny, lecz ona to odgaduje.

Szczupak płynie tuż obok karpia, którego wczoraj jeszcze ścigał i któremu nie pozwalał obrastać tłuszczem; okoń podąża przy linie nie szukając z nim zwady, nie myśląc nawet, by uszczknąć kęs jego smakowitego mięsa.

Jednakże na koniec siły zapaśników wyczerpują się. Srebrne błyski, o których przed chwilą wspomniałem, widać coraz częściej, pojawia się ryba znacznie-szych rozmiarów, o czym świadczy wielkość okazów, jakimi chwalą się zbieracze

Są to ludzie prości, odziani w płócienne spodnie i zwykłe bawełniane koszule. Nogawki spodni mają podkasane wysoko za kolana, a rękawy koszul zawinięte prawie do ramion.

Zbierają ryby do koszy. Te, które mają być sprzedane lub które należy zachować, by zarybić staw, są wrzucane do zbiorników. Te zaś, które są skazane na śmierć, kładzie się po prostu na trawie. Zostaną sprzedane jeszcze tego samego dnia.

W miarę jak ryba napływa coraz obficie, wśród zgromadzonego tłumu sły-chać coraz głośniejsze okrzyki radości. Ten spektakl oglądają widzowie różniący się od publiczności teatralnej. Nie przychodzą tu, by dzielić się wrażeniami lub okazując obojętność dawać dowód wybrednego smaku. Wręcz przeciwnie, przychodzą, by się bawić, i przy każdym dorodnym linie, karpniu czy pięknym szczupaku klaszczą okazując szczerą radość.

Podobnie jak podczas przeglądu wojskowego, gdy jeden korpus maszeruje za drugim i prezentuje się stosownie do swej, jeśli można tak rzec, wagi: na przedzie lekka piechota, dragoni w środku, a kirasjerzy i ciężka artyleria na końcu, tak tutaj defilują rozmaite gatunki ryb.

Najmniejsze, to znaczy najslabsze, na przedzie. Największe, czyli najsilniej-

sze, zamykają orszak.

W pewnym momencie woda przestaje wreszcie spływać. Przepływ jest literalnie zatkany przez największe sztuki, jakie były w stawie. Zbierający zmagają się teraz z prawdziwymi potworami. Oto moment kulminacyjny. Zewsząd słychać huczne brawa. Widowisko skończone, pora przyjrzeć się aktorom. Jedni mdleją na łące wśród traw. Drudzy odzyskują siły w wodzie. Szukacie wzrokiem węgorzy, pytacie, gdzie mogą być węgorze. Zbieracze znajdują trzy czy cztery sztuki grube na palec i długie na pół łokcia.

Dzieje się tak, ponieważ węgorze dzięki swej budowie, chwilowo przynajmniej, uniknęły powszechnej rzezi. Wskoczyły głową naprzód do zbiornika, dały nura w szlam i zniknęły. Z tego powodu właśnie nad brzegami stawu widać przechadzających się uzbrojonych mężczyzn i od czasu do czasu słychać odgłos wystrzałów.

Jeśli zapytacie:

— Czemu strzelają?

Usłyszycie odpowiedź:

— Żeby węgorze się pokazały.

Dlaczego węgorze miałyby wynurzyć się ze szlamu na odgłos strzałów? Dlaczego zdążają do strużki wody, która wąskim strumieniem cieknie przez dno stawu? W końcu dlaczego bezpiecznie ukryte głęboko w szlamie, jak tylu ludzi spośród naszych znajomych, kierując się zdrowym rozsądkiem z pewnością by tam zostało, pytam czemu tam nie zostają, lecz usiłują się dostać do strumienia, który je unosi z prądem i wreszcie kieruje je do zbiornika, to znaczy do wspólnego grobu?

Bystry obserwator z łatwością znajdzie odpowiedź na to pytanie, gdy tylko nadarzy się okazja bezpośredniego obserwowania tych ryb. Stawiam więc pytanie uczonym. Strzelanina nie wiąże się z żadnym przesądem; dzieje się po prostu tak:

Rzadkie błoto, w którym schroniły się węgorze, schnie stopniowo jak gąbka, którą się z wolna wyciska, nie mając więc czym oddychać, koniec końców ryby

są zmuszone poszukać właściwego żywiołu, czyli wody. Gdy ją jednak odnajdą, są zgubione bezpowrotnie. Dopiero piątego lub szóstego dnia po spuszczeniu wody ze stawu można dopaść węgorze.

Na ten właśnie festyn zostało zaproszone całe towarzystwo z Villers-Cotterêts, z Crespy, Mont-Gobert i okolicznych miasteczek. Thibault udał się tam wraz z innymi.

Nasz bohater teraz nie pracował; uznał, że znacznie łatwiej mu się żyje, gdy pracują nań wilki. Z ubogiego szewca przemienił się w mieszczanina całą gębą. Pozostało mu tylko z mieszczanina stać się szlachcicem. Na to zresztą liczył i tego właśnie pragnął.

Jak wiadomo Thibault nie był jednym z tych, którzy pokornie drepczą za innymi, ciągnąc się w ogonie. Teraz zaczął mocno robić łokciami i z całych sił przepychać się przez tłum, by zająć miejsce w pierwszym rzędzie. Wykonując ten manewr, przydeptał suknię wysokiej i pięknej kobiety, przy której próbował się uplasować.

Dama widać dbała o swe stroje; bez wątpienia była też przyzwyczajona do wydawania poleceń, co zazwyczaj daje poczucie wyższości; odwracając się ujrzała człowieka, który nastąpił jej na suknię i z jej ust padło krótkie określenie:

— Gbur!

Słowo niemilej treści zostało wypowiedziane przez śliczne usteczka, ponadto dama była tak urodziwa, że choć złość zniekształcała jej urocze rysy, Thibault, miast odpowiedzieć epitetem podobnego kalibru lub nawet jeszcze dosadniej, zadowolił się tym, iż cofnął się jękając słowa przeprosin.

Można rzec, że w hierarchii wartości przynależność stanową, przewyższa uroda. Gdyby na miejscu uroczej damy znajdowała się kobieta wiekowa i brzydka, to choćby była markizą, Thibault zapewne nazwałby ją starą ropuchą.

Trzeba dodać, iż uwagę Thibaulta przyciągnęła także postać mężczyzny towarzyszącego damie. Był to okrągłutki poczciwina około sześćdziesiątki, ubrany nienagannie na czarno; tak niziutki, że jego głowa sięgała zaledwie łokcia damy.

Ona, ponieważ nie mogłaby ująć go pod rękę, nie zginając się wół, majestatem gestem położyła dłoń na jego ramieniu.

Można by rzec — antyczna Cybele wspierająca się na karzełku.

Ów karzełek był pełen swoistego wdzięku: miał krótkie nóżki, brzuch wciśnięty w pluderki i opadający prawie do kolan oraz drobniutkie, pulchniutkie ramiona. Jego białe dłonie wysuwały się spośród koronek, twarz różowa i tłusciutka, peruczka starannie ufryzowana i przypudrowana z małym warkoczkiem, który przy każdym ruchu głowy w podskokach tańczył kadryla na kołnierzu.

Człowiek przypominał czarnego skarabeusza, którego tułów jest tak nieproporcjonalny do nóg, iż owad wydaje się raczej toczyć niż iść.

Przy tym karzełek miał wygląd tak jowialny, jego błękitne oczy promieniały taką dobrocią, że budził w ludziach prawdziwą sympatię. Odgadywało się też, iż jest zbyt zajęty szukaniem przyjemności na wszystkie możliwe sposoby i nie ma najmniejszego zamiaru wdawać się w zwady z kimś, kogo w sposób jak najbardziej ogólny można nazwać bliźnim.

Tak więc usłyszawszy, jak jego towarzyszka sposponowała bez żenady Thibaulta, grubasek pogrążył się w rozpacz.

— Pięknie, pani Magloire! Bardzo pięknie, pani sędzino! — rzekł znajdując sposób, by w zwięzłych słowach dać poznać stojącym obok imię i godność damy. — Po prostu pięknie! Użyła pani zaiste ostrego słowa wobec biednego chłopca, który jest bardziej niż pani zmartwiony całym tym nieprzyjemnym wypadkiem.

— Przyznaję rację, panie Magloire! — odrzekła dama. — Powinnam była raczej podziękować za to, że udało mu się tak zręcznie zniszczyć moją suknię z błękitnego adamaszku. Teraz jest już całkiem do wyrzucenia, nie mówiąc o tym, że mi nastąpił na stopę.

— Błagam o wybaczenie, szlachetna damo — odparł Thibault. — Popełniłem wielką niezręczność, ale gdy pani się odwróciła, widok pani twarzy mnie olśnił jak promień majowego słońca i sam już nie wiedziałem, gdzie stągam.

Jak na człowieka, który od trzech miesięcy przebywał głównie w towarzystwie tuzina wilków, był to dość zręczny komplement.

Tymczasem wywarł nienajlepsze wrażenie na pięknej damie, bowiem na jej twarzy ukazał się pogardliwy grymas.

Stało się tak zapewne dlatego, iż mimo przyzwoitej odzieży jaką nosił Thibault, poznała prawdziwą jego wartość dzięki temu przedziwnemu wycuciu, jakie mają w owej materii kobiety wszelkich stanów. Pocziwy grubasek był bardziej pobłażliwy, zaklaskał żywo pulchniutkimi dłońmi.

— Brawo! — rzekł. — Brawo! Oto, kto jest prawdziwie poszkodowany. Jest pan bystrym młodzieńcem, który wie, jakich słów używać w obecności dam. Moja duszko, mam nadzieję, że przyjęłaś ten komplement równie dobrze jak ja. Więc aby udowodnić, że jesteśmy prawdziwymi chrześcijanami i nie chowamy wobec niego urazy, jeśli mieszka w okolicy i jeśli mu nie pomieszymy szyków, a także o ile mu po drodze, prosimy by nam towarzyszył do domu, gdzie osuszmy razem omszałą butelczynę, którą służąca Perrine wyciągnie z zakamarka piwniczki.

— Och! To do ciebie podobne, sędzio¹. Wszelkie środki są dobre, byle tylko potem zasiąść za stołem i trącić się kubkiem, a jeśli ci brakuje okazji, to potrafisz je wywęszyć wszystko jedno gdzie. Tymczasem pamięta pan dobrze, panie Magloire, że doktor wyraźnie zabronił pić między posiłkami.

— To czysta prawda, pani sędzino — stwierdził mężczyzna nazwany sędzią. — Jednakże doktor nie może mi wzbraniać, bym okazał uprzejmość miłemu młodzieńcowi, jakim się wydaje ten oto człowiek. Okaż łaskawość, bądź wyrozumiała, Suzanne; przestań się dąsać, bo ci z tym nie do twarzy. Kto by cię nie znał, słuchając twych słów pomyślałby, że masz tylko tę jedną suknię. Tak więc, by dowieść temu młodzieńcowi, że wcale tak nie jest, a także jeśli pomożesz mi go zjednać, by zechciał nam towarzyszyć do domu, to po powrocie wręczę ci sumkę, która z pewnością wystarczy na kupno pięknego, wyszywanego stroiku,

¹ W dawnej Francji dworzanie księcia po przejściu na emeryturę mogli używać tytułu sędziego.

którego pragniesz od tak dawna.

Obietnica odniosła magiczny skutek. Złagodziła natychmiast złość pani Magloire i gdy tylko połów dobiegł końca, zgodziła się z miną nieco już mniej cierpką przyjąć ramię, które jej, to muszę podkreślić, niezgrabnie ofiarował Thibault.

Jeśli idzie o szewca, to był zupełnie olśniony urodą damy; zrozumiał też ze słów, które wypowiedziała ona i jej małżonek, że była żoną bardzo wysokiego urzędnika. Roztrącał więc tłum krocząc z wysoko podniesioną głową i miną tak stanowczą, jakby wyruszał po złote runo.

W istocie Thibault, narzeczony ubogiej Angelette i galant przepędzony przez piękną młynarkę, marzył nie tylko o tego rodzaju przyjemnościach, lecz także o splendorze, jaki na niego spłynie, gdy wda się w miłość z sędzią, a także o korzyściach, jakie będzie mógł ciągnąć z ich fortunki w sytuacji tak upragnionej i niespodziewanej.

Pani Magloire była nie tylko rozmarzona, lecz także wyjątkowo roztargniona, rzucała spojrzeniem na prawo i lewo, rozglądała się na wszystkie strony, jakby w tłumie szukała kogoś wzrokiem. Konwersacja podczas drogi byłaby dość niemrawa, gdyby nie ów mały pocziwiec, który drepcząc raz u boku Thibaulta, potem zaś przy Suzanne, kołysząc się przy tym jak kaczka powracająca z pastwiska z pełnym brzuchem, bez wysiłku ją podtrzymywał.

Wszyscy troje: Thibault rozważając różne możliwości, żona rozmarzona, mąż drepcząc, paplając i ocierając czoło cieniutką batystową chusteczką, dotarli do Erneville, odległego o ponad pół mili od stawu Pondron.

W tym uroczym miasteczku, znajdującym się między Haramont i Bonneuil, w niewielkiej odległości od zamku de Vez urzędował sędzia Magloire.

DAWID I GOLIAT

Przeszedłszy przez wieś zatrzymali się na rozwidleniu dróg do Longpré i

Haramont, przed ładnym dużym budynkiem.

Mały człowieczek, z galanterią francuskiego rycerza, gdy tylko znaleźli się jakieś dwadzieścia metrów od domu, wyprzedził idących, by z nieoczekiwaną zwawością pokonać pięć czy sześć schodków i wzniosłszy się na palcach próbował dosięgnąć dzwonka wyciągniętą dłonią.

Gdy jednak uchwycił już dzwonek, szarpnął nim tak energicznie, iż jasnym było, że to pan wraca w swe progi.

A był to w rzeczywistości triumfalny powrót. Sędzia przybywał ze współbiesiadnikami!

Drzwi otworzyła ładnie i schludnie odziana pokojówka.

Sędzia szepnął służącej kilka słów, a Thibault, który lubił piękne kobiety, a także nie gardził dobrymi i sutymi biesiadami, pojął w lot, iż owe kilka cichych słów miało za cel wskazanie dzisiejszego menu.

Następnie gospodarz, zwróciwszy się do gościa, powiedział:

— Witaj, drogi gościu w progach Nepomucena Magloire'a!

Thibault, z szacunkiem przepuściwszy przed sobą panią domu, wprowadzony został przez małego człowieczka do salonu. I właśnie tu popełnił błąd.

Mało przyzwyczajony do zbytku ów leśny człowiek, będąc jeszcze wielce nieokrzesanym, nie mógł wprost ukryć swego podziwu dla wnętrza pańskiego domostwa.

Po raz pierwszy w życiu znalazł się oko w oko ze złoconymi fotelami i adamaszkowymi kotarami. Zdawało mu się, że tylko król lub co najmniej księżę Orleanu może mieć podobne meble i zasłony.

Thibault nie spostrzegł, że pani Magloire, z uwagą śledzącej każdy jego ruch, nie umknął żaden najmniejszy znak jego naiwnego i całkowitego zaskoczenia. Tymczasem jednak, rzecz całą głęboko przemyślawszy, zdawała się łaskawiej spoglądać na narzuconego jej przez małżonka towarzysza. Patrząc na gościa starała się złagodzić twarde zazwyczaj spojrzenie swych czarnych źrenic.

Przychyłość ta jednak nie osiągnęła w żadnym razie poziomu, na jakim

widziałby ją pan Magloire, życzący sobie, by jego połowica pomnożyła wonność bukietu wina szampańskiego, napełniając osobiście kielich gościa trunkiem.

Wobec kilku aluzji, które w powyższej materii uczynił jej drogi małżonek, pani Magloire odmówiła i tłumacząc się zmęczeniem wycieczką, udała się do swej komnaty.

Zanim jednak opuściła biesiadników, rzekła Thibaultowi, że choć winna jest mu zadośćuczynienie, ma nadzieję, iż gość nie zapomni wspólnie odbytej drogi do Erneville. Wdzięczny uśmiech, w którym odsłoniła swe śliczne zęby, był ukoronowaniem i zakończeniem jej przeprosin.

Thibault odparł na to przysięgając żarliwie co złagodziło nieco prostotę jego języka, że raczej zapomni o jedzeniu i piciu, niż miałby dopuścić, by z jego pamięci znikło wspomnienie tak uroczej i pięknej damy.

Na koniec madame Magloire ukloniwszy się tak, iż na miłą czuć było żonę rzecznika sprawiedliwości, zostawiła towarzystwo męskie samemu sobie.

Ponieważ pani wychodząc nie zamknęła drzwi, pan Magloire uczynił to za nią i złożył ukłon na znak szacunku dla swej swej małżonki, mniej może wdzięczny, lecz prawie tak znaczący jak radosny piruet sztubaka wyzwolonego od belferskiej opieki. Po czym zbliżył się do Thibaulta i uściskawszy serdecznie jego dłonie, rzekł:

— Mój drogi przyjacielu, teraz dopiero gdy nie ma kobiet, by nas krępowały, teraz dopiero sobie wypijemy! Ha! Kobiety! Urocze na balu czy na mszy, ale broń Panie Boże, przy stole! To męska dziedzina! Czyż nie, przyjacielu?

Perrine weszła zapytać pana, jakie wino każe podać.

Ale mały, pełen radości człowieczek był zbyt wielkim smakoszem, by takim zadaniem obciążyć kobietę. Kobiety bowiem nigdy nie żywią względem niektórych szlachetnych butelek należnego szacunku, i co za tym idzie, nie obchodzą się z nimi tak delikatnie, jak wymagają tego owe szacowne napitki.

Pociągnął więc Perrine ku sobie, tak jakby chciał coś jej szepnąć do uszka. Dziewczę schyliło się, by być w zasięgu szeptu wesołego grubaska. Ten jednak

obdarzył soczystym całusem jej świeży jeszcze policzek, który nie spłoszył na tyle, by można było podejrzewać, iż takie buziaki są dla Perrine jakąkolwiek nowością.

— Słucham pana, czym mogę służyć — spytała chichocząc.

— Serduszko moje, tylko ja wiem, gdzie są najlepsze gatunki, a ponieważ jest ich bardzo wiele mogłabyś się tam zabłąkać, tak więc osobiście zejść do piwnic.

I człowieczek zniknął spiesznie, przebierając drobnymi nóżkami, radosny, ruchliwy i żwawy niczym norymberska zabawka, która ustawiona na pudełku i wprawiona w ruch za pomocą sprężyny kręci się, kiwa w lewo i w prawo, póki mechanizm działa.

Gospodarz jednak zdawał się być nakręcony ręką Najwyższego, tak, że nigdy się nie zatrzymywał.

Thibault został sam. Zacierał ręce, gratulując sobie, że oto zaproszono go do tak świetnego domu, gdzie znalazł się między piękną panią a gościnnym mężem.

Pięć minut później drzwi się otworzyły. To wracał pan sędzia z butelkami w obu dłoniach i pod pachami. Butelki, które trzymał pod pachami, zawierały musujące *sillery* najwyższej jakości, które nie znosząc wstrząsów, mogły dzięki temu zachować pozycję poziomą. Te, które trzymał z szacunkiem w rękach, na co patrzyło się z przyjemnością, były wypełnione *cambertain haut cru*, druga zaś zawierała *l'ermitage*.

Nadeszła pora wieczerzy. W czasach, o których mowa obiad podawano zazwyczaj w południe, zaś wieczerzę około szóstej. Zresztą w styczniu o szóstej jest już dawno noc, a skoro jada się przy świecach, to czy jest szósta czy dwunasta, zawsze się zdaje, że to wieczerza.

Sędzia ostrożnie, z wielką uwagą postawił butelki na stole po czym pociągnął za dzwonek.

Weszła Perrine.

— Kiedy będziemy mogli, moje dziecko, zasiąść do stołu? — spytał Magloire.

— Kiedy tylko pan zechce — odparła służąca. — Dobrze wiem, że nie znosi pan czekać, wszystko jest już gotowe.

— Pójdź więc spytać pani, czy przyjdzie; powiedz jej. Perrine, że bez niej nie siądziemy do stołu!

Perrine wyszła.

— Chodźmy do jadalni — rzekł gospodarz. — Jesteś z pewnością głodny, drogi przyjacielu; ja, gdy jestem głodny, mam w zwyczaju zaspokajać łaknienie oczu, przed łaknieniem żołądka.

— Hohoho! — odparł Thibault — Zdaje mi się pan być wielkim łakomczuchem!

— Łasuchem, łasuchem! Proszę nie mylić, drogi przyjacielu! Pójdę przodem, by wskazać drogę.

I powiedziawszy to, pan Magloire przeszedł z salonu do jadalni.

— Ha! — wykrzyknął radośnie i klasnąwszy w dłonie dodał — Czyż ta dziewczyna nie jest godna zastawiać kardynalskie stoły?! Proszę spojrzeć na tę kolacyjkę — jest zaiste skromna, lecz raduje mnie bardziej, niżli widok baltazarowej uczyty.

— Na mą duszę! — odparł Thibault — Masz pan rację, wielce budujący to widok.

Tu oczy Thibaulta zapłonęły niczym dwa węgielki.

Rzeczywiście była to, wedle słów sędziego, skromna, lecz cudownie apetyczna kolacyjka. Składała się z dużego, pieczonego, soczystego karpia, otoczonego rybim mleczem, spoczywającego na pościeli z pietruszki usianej między marchewką. Ryba usadowiła się na jednym końcu stołu.

Drugi koniec zajęła połówka z jednorocznego dzika, smakowicie panierowana, delikatnie złożona na warstwie szpinaku, falującego w sosie, niczym wyspy zieleni w oceanie. Środek zajmowało wykwintne pieczone z młodej kuropatwy, dokładnie z dwu sztuk; wychylały swe główki z chrupiącej, złocistej skórki tak jakby jedna miała dziobać drugą.

Przerwy pomiędzy tak rozłożonymi daniami zapełniono przystawkami, takimi jak kielbaski z Arles, tuńczyk w sardyńkowej kąpieli z oliwy, filety z *anchois*, wykreślające fantastyczne i zadziwiające wzory na półmiesieczku wypełnionym posiekany drobno jajkiem, ozdobionym kuleczkami świeżego masła.

Jako dodatek podano trzy gatunki serów, których podstawowym zadaniem jest wywołanie pragnienia, rozplywające się w ustach biskwity z Reims i kilka gruszek tak jędrnych, że znać było, iż pan domu osobiście zadał sobie trud, by odwracać je na półce z owocami.

Thibault tak był zajęty kontemplacją opisaną wyżej skromnej kolacyjki, że ledwo usłyszał odpowiedź Perrine, która mówiła, że pani, będąc dotknięta migreną, po raz kolejny prosi swego gościa o wybaczenie i przyrzeka naprawić swą winę przy następnej wizycie.

Mały człowieczek z wyraźnym zadowoleniem wysłuchał takiego *dictum*, głęboko odetchnął i składając ręce jakby do oklasków wykrzyknął:

— Ma migrenę! Migrenę! Więc do stołu!

Obok dwóch butelek starego *macon*, ustawionych w zasięgu ręki każdego z biesiadników w roli zwykłego wina stołowego, obok przystawek i talerzyków deserowych, gospodarz ustawił własnoręcznie cztery butelki, które właśnie przyniósł z piwnic.

Dobrze się stało, jak sędzę, dla pani domu, że nie usiadła do stołu wraz z owymi mało okrzęsanyimi, których pragnienie i głód były tak wielkie, że połowa karpia i obie butelki znikły, nim zdołano nawiązać jakkolwiek konwersację, nie licząc tych kilku słów:

— Dobra! Nieprawdaż?

— Świetna!

— Dobre! Nieprawdaż?

— Wyśmienite.

Rodzaj żeński oznaczał, że chwalono rybę. Rodzaj nijaki — wino.

Od karpia i *macon*, biesiadnicy przeszli do pasztetu i *chambertina*. I tu języki

poczęły się rozwiązywać. Zaś język sędziego w szczególności. Pod koniec pierwszej kuropatwy i pierwszej butelki *chambertina*, Thibault znał historie całego życia Nepomucena Magloire. Nie była ona zresztą w żadnym razie zawiła.

Pan Magloire był synem rzemieślnika, który wytwarzał ornamenty dla kościołów i pracował niegdyś w kaplicy księcia Orleanu, który w swej pobożności nabył płótna Albany i Tycjana, za czterysta tysięcy franków z górą.

Chryzostom Magloire umieścił swego syna Nepomucena jako pierwszego kuchmistrza na dworze księcia Filipa Orleańskiego, syna Ludwika.

Młodzieniec od kołyski niemalże miał szczególne powołanie do sztuki kucharskiej; szczególnie był przywiązany do zamku Villers-Cotterêts, a w ciągu swej trzydziestoletniej służby, on właśnie przygotowywał uczyty dla pana, który przedstawiał go swoim przyjaciołom jako prawdziwego artystę, od czasu do czasu prosząc go do gości, by mógł z nim zamienić kilka słów o sztuce kulinarnej marszałek de Richelieu.

W wieku pięćdziesięciu pięciu lat, mistrz Magloire przybrał tak krągłe kształty, że tylko z wielkim trudem udawało mu się przeciskać przez wąskie gardła korytarzy i drzwiczki oficyn.

Nie chcąc pewnego dnia dać się złapać w pułapkę niczym łasica z bajki La Fontaine'a poprosił o zwolnienie go ze służby. Księżę spełnił jego prośbę, nie bez żalu.

Jaśnie pan miał słabość do starych służących. Poprosił Magloire'a do siebie. Zapytał, ile zaoszczędził w czasie swej służby.

Magloire odparł, że ma szczęście odchodzić ze służby nie będąc w potrzebie. Księżę naciskał jednak, by podał cyfrę swej małej fortunki.

Magloire przyznał się do dziewięciu tysięcy ludwików rocznie, które będzie mógł przeznaczyć na swoje potrzeby.

— Człowiekowi, który dawał mi tak dobrze jeść przez trzydzieści lat, należy się, by miał za co dobrze jeść przez resztę swojego życia.

I księżę podwyższył rentę do dwunastu tysięcy rocznie, tak by Magloire mógł

co miesiąc wydać tysiąc ludwików. Ponadto pozwolił mu zabrać komplet mebli ze swego starego składu. Stąd też wzięły się owe zasłony z adamaszku i złożone fotele, które jakkolwiek nieco zużyte, zachowały wielkopański wygląd, który tak zachwycił naszego Thibaulta.

Pod koniec drugiej kuropatwy i w połowie drugiej butelki, szewc wiedział już, że pani Magloire jest czwartą żoną gospodarza, co sprawiło, iż pan Nepomucen od razu urósł w jego oczach o kilka łokci.

Wiedział zresztą, iż poślubił ją nie dla jej pieniędzy, lecz dla jej urody, będąc w równym stopniu miłośnikiem pięknych twarzy, zgrabnych figur, dobrych win i smacznego jada.

Pan Nepomucen dodawał rezolutnie, że niezależnie od swego wieku, gdyby jego obecnej małżonce zdarzyło się opuścić ten świat, piąty ślub bynajmniej by go nie przerażał.

Przechodząc od *chambertina* do *l'ermitage*, w ślad za którym podążyło *sillery*, gospodarz począł rozwodzić się nad zaletami swej małżonki.

Nie miała ona wcale łagodnego serca — tego jej najbardziej chyba brakowało; przeciwna była zachwytom jej małżonka dla różnych win Francji; wszelkimi sposobami, nawet przemocą fizyczną sprzeciwiała się jego, jakże częstym wizytom w piwnicach i spiżarniach. Ze swej strony ubóstwiała, bardziej niż było to do przyjęcia przez wyznawców wstrzemięźliwości chusteczki, wstążki, angielskie koronki i inne fatalaszki stanowiące przeciwieństwo nieodłączny rynsztunek każdej kobiety.

Chętnie okryłaby swe i tak zdobne koronkami ramiona i szyję tuzinem baryłek wina, zajmującym piwnicę jej męża, gdyby ten pozwolił na ich przemianę w klejnoty. Poza tymi słabościami, nie było takiej cnoty, jaką nie byłaby ozdobiona Suzanne, a cnoty owe niosła przez życie na tak cudnych nóżkach, że gdyby przez jakieś nieszczęście straciła jedną z nich, nie można by było w całym powiecie znaleźć drugiej do pary.

Pan Nepomucen, przypominający swawolne wieloryby, tryskał szczęściem i

radością we wszystkie strony, tak jak te pierwsze czynią z morską wodą.

Lecz nim jeszcze został pouczony o jej wszystkich tajemnych urokach, które poczciwy sędzia niczym drugi król Gandalf był gotów ujawnić współbiedni-kowi, uroda pani Suzanne, sprawiła na naszym szewcu tak wielkie wrażenie, że, jak wiemy marzył o niej podczas drogi i za stołem — słuchał więc sędziego nie odzywając się ani słowem, a cały czas jedząc.

Pan sędzia, zachwycony tak uległym i wdzięcznym słuchaczem, wyławiał niby perły zalety swej pięknej Suzanne, niżąc z nich cały naszyjnik.

Uskuteczniwszy jednak kolejną wycieczkę do piwnicy, po której język splątał mu się w supel, zaczął coraz mniej doceniać ową rzadką umiejętność, której od swych uczniów wymagał Pitagoras.

Dał tym Thibaultowi do zrozumienia, że opowiedział mu o sobie i swej żonie mniej więcej wszystko, co zamierzał, a teraz z przyjem-nością usłyszałby coś o swym gościu. Dodał przy tym z galanterią, że pragnąc z nim jak najczęściej przestawać, chciałby najpierw go dobrze poznać.

W tej sytuacji Thibault uznał, że prawdę trzeba cokolwiek ubarwić. Przedstawił się jako zamożny gospodarz, utrzymujący się z dochodu, jakie przynosiły mu dwie fermy i sto hektarów gruntu w okolicy Verte-Fenille.

Na tej setce hektarów znajdował się lasek, sławny z wszelakiej zwierzyny: danieli, saren, dzików, kuropatw, bażantów i zajęcy.

Obiecał, że da sędziemu spróbować wszystkiego.

Magloire był wprost zachwycony.

Wiemy już, że wielce cenił sobie dziczyznę, więc możliwość, by owa dzi-czyzna docierała na jego stół bez pośrednictwa kłusowników, a dzięki nowemu przyjacielowi, radowała go niezmiernie.

Na tym też stanęło, wysuszono ostatnią już flaszkę, uznano, iż nadszedł czas rozstania.

Szampan *rosé*, pierwszego gatunku, gdy wypito ostatnią jego butelkę, prze-mienił właściwą sędziemu serdeczność w wylewną czułość. Był zachwycony

nowym przyjacielem, który ciągnął z butli prawie tak samo jak on. Zwracał się więc do Thibaulta po imieniu, ścisnął go serdecznie, przyrzekał, że taką uroczą biesiadę koniecznie trzeba powtórzyć.

Gdy zaś odprowadził gościa do drzwi, wspiawszy się na palce poczęstował go jeszcze jednym, serdecznym pożegnalnym uściskiem. Thibault, czyniąc zadość serdeczności pana Nepomucena, zgiął się bardzo zgrabnie.

Kiedy za szewcem zatrzasnęły się drzwi, na wieży kościoła w Erneville biła dwunasta. Opary mocnego wina, które wspólnie wypili, odurzyły nieco naszego bohatera jeszcze wewnątrz gościnnego domu, oszołomiły go zaś zupełnie, gdy wciągnął w płuca świeże, nocne powietrze. Thibault zatoczył się i niedbale oparł o ścianę domostwa pana Magloire.

To, co stało się później, było dlań tajemnicze i niejasne niczym senne majaki. Tuż nad głową naszego bohatera, jakieś osiem czy siedem stóp nad ziemią, znajdowało się okno, które w momencie, gdy oparł się ciężko o mur wydało mu się oświetlone, choć światło stamtąd płynące, tłumiała podwójna zasłona. Ledwo tylko oparł się o ścianę, odniósł mgliste wrażenie, że okno właśnie się otwiera.

Z początku wydawało mu się, że to szlachetny sędzia nie chce się z nim rozstać, nie pożegnawszy się ostatecznie. Wobec, tego próbował oderwać się od ściany, by ze swej strony sprostać temu, jakże miłemu, zamiarowi Magloire'a.

Był to jednak zamiar trudny do realizacji. Czuł się przez chwilę jak posąg przykuty do ściany; zrozumiał szybko, iż myśląc tak, jest w błędzie. Najpierw na prawym, a potem na lewym jego ramieniu, spoczął ciężar tak wielki, że szewc aż przysiadł, ześlizgując się po ścianie zupełnie tak, jakby chciał usadzić się na ziemi.

Taki obrót rzeczy był na rękę osobnikowi, który posłużył się naszym bohaterem niczym drabiną. Nie sposób dłużej ukrywać, iż przyczyną całego zamieszania była istota ludzka. Człowiek ów, zbliżając się do ziemi na plecach Thibaulta, jakby jechał windą, zwrócił się do naszego bohatera tymi słowy:

— Bardzo dobrze, Eveille! Bardzo dobrze! Stój!

Kiedy to rzekł, zeskoczył na ziemię, gdy tymczasem okno zamknęło się skrzypiąc zawiasami.

Thibault pojął dwie rzeczy. Po pierwsze ktoś wziął go mylnie za człeka zwanego Eveille, który prawdopodobnie smacznie chrapał w krzakach otaczających Château. Po drugie, posłużył za podnózek jakiemuś lowelasowi wracającemu z nocnej eskapady.

Świadomość tych dwóch faktów sprawiła, iż Thibault poczuł się poniżony. Chwycił więc odruchowo spływający mu po ramieniu kawał tkaniny, który okazał się być płaszczem amatora nocnych przygód i z pijackim uporem nachalnie wczepił się w tę część garderoby.

— Co robisz, głupku? — odparł głos, który wydał się Thibaultowi znajomy.
— Czyżbyś bał się mnie zgubić?

— Tak właśnie, nie chcę pana zgubić — odparł Thibault chcąc się dowiedzieć, cóż to za bezczelny typ robi sobie z jego pleców podnózek.

— Aha! — hąknął nieznajomy. — Więc to nie ty, Eveille?

— Nie, to nie ja! — syknął Thibault.

— W każdym razie, czy to ty, czy nie ty, dziękuję uprzejmie.

— Jak to „dziękuję”? Ach! Paradne! Dziękuję! Myślisz więc, że się na tym skończy?

— Z całą pewnością.

— A więc mylisz się grubo!

— Hejże! Puszczaj, chamie! Jesteś pijany!

— Pijany! Ejże! Wypiliśmy tylko siedem butelek na dwóch, a sędzia sam wypił z tego ze cztery.

— Puszczajże, pijaku!

— Nazywasz mnie pijakiem za to, że wypił trzy butelki wina.

— Jesteś pijakiem nie dlatego, żeś wypił owe trzy butelki, ale dlatego, żeś tymi nieszczęsnymi trzema butelkami schlał się jak świnia!

I gestem pełnym politowania nieznajomy po raz trzeci usiłował wyrwać

płaszcz z zaciśniętych rąk Thibaulta.

— Zostawisz w spokoju ten płaszcz, durniu jeden?!

Nasz bohater zawsze był czuły, gdy szło o jego godność i dumę. Lecz w tym stanie ducha, w jakim się znajdował, wrażliwość ta zmieniła się we wściekłość.

— Do kata? — odszczeknął. — Wiedźże, mój drogi panie, że nie ma większego chama i durnia niż ten, który posłużywany się bliźnim zniesławia go, miast mu dziękować. Dlatego też naprawdę nie wiem, co trzyma jeszcze moją pięść na uwięzi!

Zanim jeszcze Thibault zakończył swą kwestię, cios, którym jeszcze przed chwilą groził swemu rozmówcy, wylądował na jego własnym policzku.

— A masz, padalcu! — głos ten, w połączeniu z ciosem obudził w Thibaultcie pewne przykre wspomnienia. — A masz! Hojnie płacę z góry! I to zawiązką!

Szewc odpowiedział na to silnym ciosem w pierś. Cios był solidny i Thibault w głębi serca był z tego bardzo dumny. Na nieznanym jednak ów przedmiot szewskiej dumy zdawał się wywrzeć mniej więcej takie wrażenie, jak poranna bryza na stuletnim dębie.

Repliką okazał się cios po wielokroć przenoszący siłą poprzedni, tak że Thibault w lot pojął, iż jeśli moc ciosów kolosa będzie wzrastać w tym tempie, zostanie on (Thibault oczywiście) niechybnie ogłuszony trzecim uderzeniem.

Sama jednak gwałtowność owego ciosu przyniosła nieznanemu nieszczęście. Gdy Thibault padając na kolana, znalazł się na ziemi, dłoń jego kurczowo zacisnęła się na leżącym tam kamieniu. Ściskając w rękę skalny okruch, podniósł się z ziemi i z furią cisnął nim w głowę przeciwnika.

Olbrzym wydał z siebie głośnie „uff” brzmiące na podobieństwo ryku buhaja. Zachwiał się i runąwszy niczym dąb, któremu podcięto korzeń, obalił się na ziemię, gdzie legł bez ducha.

Nie bacząc, czy zabił, czy też tylko zranił swego wroga, Thibault czmychnął czym prędzej, nie oglądając się za siebie.

DWA WILKI W OWCZARNI

Droga z domu do lasu nie była długa. W mgnieniu oka Thibault znalazł się po drugiej stronie zamku des Fosses, przy leśnej przecince przy Briqueterie.

Nie minęło pięć minut, gdy idąc lasem, znalazł się w towarzystwie swej wilczej gwardii. Całe to towarzystwo łaśiło się do swego pana, mrużąc oczy i merdając ogonami, by wyrazić swą radość.

Zresztą Thibault, którego dotąd tak bardzo niepokoił widok niecodziennych gwardzistów, po raz pierwszy nie zwracał na nie większej uwagi niż na gromadę wiejskich kundli.

Rzucił swym leśnym sługom kilka ciepłych słów, najbliżej idącego podrapał za uszami i podążył w dalszą drogę, rozkoszując się podwójnym zwycięstwem.

Zwyciężył pana domu przy kielichu. Zwyciężył swego przeciwnika w walce wręcz. Tak więc w wyśmienitym humorze, krocząc przez las mówił do siebie głośno.

— Trzeba przyznać, Thibault, mój drogi przyjacielu, że z ciebie jest pistolet! Pani Suzanne jest dokładnie tym czego ci trzeba! Żona pana Magloire! Do diaska! To dopiero zdobycz! A gdyby potrwało dłużej — to ci dopiero żonka! W każdym razie będzie iść u mego boku, oparta o moje ramię, czy to jako żona, czy jako kochanka, niechaj mnie diabli wezmą, jeżeli nie będę traktowany jak pan! I pomyśleć, że wszystko to może się tak pięknie ułożyć, o ile nie strzelę jakiegoś głupstwa, które by zepsuło mi szyki! W końcu nie dałem się nabrać, przejrzałem jej gierkę! Kto się nie boi, ten nie ucieka! Bała się okazać zbyt wiele za pierwszym razem; lecz cóż to będzie, gdy znów ją odwiedzę! Ha ha! Widzę, że wszystko ślicznie się układa; wystarczy tylko dać odpowiedni znak, a pewnego dnia piękna pani uwolni się wreszcie od swego małego, starego grubaska i będzie po krzyku. Tymczasem nie mogę, i wcale nie chcę sprawić, by biedny Magloire przeniósł się na łono Abrahama. Zająć jego miejsce, gdy go już nie będzie, owszem; lecz zabijać człowieka, który mnie uraczył tak dobrym winem, gdy to

wino jeszcze chlupocze w moim brzuchu?! Byłby to postęp, o który na samą myśl mój brat wilk okryłby się pasem ze wstydu.

I uśmiechając się najbardziej szatańskim ze swych uśmiechów mruknął:

— Czyż nie lepiej będzie, jeśli zdobędę panią Suzanne, zanim jeszcze szlachetny Magloire przekroczy Styks, na co przy jego diecie nie trzeba będzie długo czekać?

Myśląc jednak znowu o wynoszonych pod niebiosa przymiotach sędziny, rzekł:

— Nie, nie, żadnych chorób, śmierci, zgonów! Nic ponad zwykle niedomagania, które przecież dotkną kiedyś każdego, ponieważ jednak mam na tym skorzystać, niechaj jemu jednemu przytrafi się kapkę więcej niż wszystkim innym; nie można przecież wymagać, by w tym wieku miał zdrowie i możliwości młodzieniaszka; nie... każdemu trzeba oddać sprawiedliwie to, co mu się słusznie należy... gdy tak się stanie, pięknie ci podziękuję, mój wilczy kuzynie.

Thibault uznając, z pewnością przeciwnie niż nasi Czytelnicy, że dowcip ten jest w jak najlepszym guście, zacierał ręce uśmiechając się na samą myśl. Był swym pomysłem tak bardzo podniecony i zaaferowany, że nie spostrzegł, jak znalazł się przy rogatkach miasta, sądząc, że uszedł zaledwie ćwierć mili od domu sędziego.

Przystanął więc i dał znak swej eskorcie.

Byłoby nieostrożnością przechodzić przez całe Villers-Cotterêts z tuzinem wilków u boku; mogły się na drodze pojawić jakieś psy, narobić hałasu i jeszcze kogoś obudzić.

Sześć wilków puściło się więc lewą stroną, sześć prawą, i choć nie przemierzyły dokładnie takiej samej drogi, choć jedne biegły szybciej, inne wolniej, cała dwunastka bez przeszkód dotarła w komplecie do przeciwległych rogatek miasta.

Doprowadziwszy naszego bohatera do drzwi chatki, wilki opuściły stanowiska i zniknęły w ciemnościach. Nim jednak leśni towarzysze odeszli w swoją stronę, Thibault przykazał im stawić się, gdy tylko zapadnie mrok, następnego

dnia w tym samym miejscu, w którym się z nimi rozstał.

Chociaż Thibault wrócił pod własny dach o drugiej w nocy, raniem wstał razem ze słońcem. Fakt faktem, że w styczniu słońce wschodzi dość późno.

Thibault hołubił pewien plan. Nie zapomniał bynajmniej przyrzeczenia, jakie złożył panu Nepomucenowi, tyżącego się, jak pamiętamy, skosztowania zwierzyny z rzekomych lasów Thibaulta.

Otóż własnymi lasami szewca były wszystkie knieje jego wysokości jaśnie oświeconego księcia Orleanu.

Z tego to powodu, nasz bohater wstał tak wcześniej.

Śnieg padał od drugiej do czwartej w nocy.

Thibault przemierzył las we wszystkie strony z ostrożnością i chytrnością ogara.

Szukał legowisk jeleni i łani, dzicznych barłogów, gniazd zajęczyh: odszukał tropy zwierzyny idącej na nocny spoczynek.

I skoro tylko ciemności okryły knieję, zawył niczym wilk z krwi i kości (nauczył się wyc w wilczej kompanii), a głos jego sprawił w parę w chwil, pospolite ruszenie wilczego rodu.

Zbiegły się wszystkie, aż do rocznych wilcząt.

Thibault wyłożył im, że czeka je wspaniałe polowanie. By dodać im ducha, oświadczył, że aby je wesprzeć sam weźmie w tym udział.

Była to rzeczywiście prawdziwie myśliwska kompania. Całą noc nad spowitym mrokiem lasem unosiło się wilcze wycie. Tu kozioł ścigany przez jednego drapieżnika padł pod zębami drugiej bestii. Tam Thibault niczym rzeźnik z taksakiem w ręku, pomagał swym towarzyszom, kładąc jednym ciosem czteroletniego, okrwawionego już jelenia.

Stara wilczyca wracała właśnie z pół tuzinem zajęcy, które zaskoczyła w trakcie miłosnych swawoli, z wielkim trudem powstrzymując swe łakome potomstwo przed pożarciem całej rodzinki złapanych we śnie kuropatw, nim pan wilków nie skorzysta z prawa do podziału łupu.

Piękna pani Magloire nie podejrzewała nawet, co z jej powodu działo się w lesie Villers-Cotterêts.

Po jakichś dwóch godzinach jatki, wilki zniosły przed chatkę szewca istną górę dziczyzny. Thibault wybrał co lepsze sztuki, zaś resztę przeznaczył na ucztę dla swych sług.

Wybrane sztuki złożył na dwa muły pożyczone od węglarza pod pretekstem przewiezienia swych wyrobów do miasta, i ruszył w drogę do Villers-Cotterêts. Tam sprzedał handlarzowi część zdobyczy, zachowując najlepszą i najmniej poszarpaną wilczymi zębami i pazurami partię, by sprezentować ją pani Magloire.

Początkowo zamierzał osobiście dostarczyć cały plon polowania sędziemu. Thibault jednak powoli zaczął nabierać ogłady i wielko-pańskich manier. Uznał więc, iż właściwym będzie, gdy dary poprzedzą jego przybycie. Obladował przygodnego kmiecia całym mięsiwem i wysłał go do pana Nepomucena wciśnawszy chłopu w rękę trzydziestaka i karteczkę z napisem: *Od p. Thibault.*

Sam zaś kroczył w niewielkiej odległości w ślad za przesyłką. Zmierzał za nią tak blisko, iż przybył w progi sędziego, gdy służba rozkładała na stole dziczyznę, którą otrzymał pan domu.

Sędzia, prawie nieprzytomny ze szczęścia, wyciągnął swe krótkie rączki do przedwczorajszego kompana i próbował objąć go i przycisnąć do serca, wydając przy tym radosne okrzyki.

Mówimy „próbował”, gdyż na drodze do tego celu stanęły dwie przeszkody. Krótkość ramion i krągłość brzucha. Uznał zatem, iż tam gdzie on nie mógł sprostać zadaniu, winna wesprzeć go pani Magloire.

Podreptał więc do drzwi, i z całych sił zawołał:

— Suzanne! Suzanne!

Było w głosie pana Nepomucena tyle ekscytacji, niecierpliwości, iż pani sędzina natychmiast wyczuła, że wydarzyło się coś nowego, nie wiadomo dobrego czy złego. Spiesznie więc zeszła, by zbadać sprawę osobiście. Ujrzała swego

małżonka oszalałego z radości, gdy nieprzytomnie kręcił się wokół stołu, który przedstawiał, trzeba przyznać szczerze, widowisko dla łakomczucha imponujące.

Gdy tylko pani Magloire pojawiła się, pan Nepomucen wykrzyknął:

— Spójrzże, dziecko moje! Tylko spójrz! — popiskiwał klaszcząc w dłonie.
— Spójrz, co przyniósł nasz drogi przyjaciel Thibault i podziękuj mu! Chwała na wysokości! Oto mąż, który dotrzymuje słowa! Przyniósł nam koszyk dziczyzny ze swej ostoi, a przesyła całą furę! Podaj mu dłoń, uściśnij serdecznie i razem ze mną ciesz oko tym widokiem.

Pani Magloire najpiękniej i najwdzięczniej w świecie wykonała męzowskie polecenie: podała swą śliczną dłoń gościowi, pozwoliła mu na jej pocałowanie i opuściła swe cudne oczy na dary, które wprawiły jej małżonka w tak wielki zachwyt.

Bo też godne były to dary, które miały w ich codzienność wnieść tak miłe ożywienie.

Na stole królowały łeb i piękne mięsiste udźce dzika, trzyletnia kóзка z pewnością tak delikatna jak rosa, wczoraj jeszcze błyszcząca na trawie, którą skubała; zające o grubym i mięsistym combrze, upasione na tymianku i macierzance; w końcu bażanty tak wonne, oraz kuropatwy tak kruche i delikatne, że pod wpływem cudownego zapachu zapomniano o malowniczym upierzeniu.

Cały ten kram opanował wyobraźnię grubaska: dzika widział na ruszcie, kózkę w ostrym sosie, zające w postaci pasztetów, bażanty w truflach, kuropatwy w sosie. Całe to *menu* kreślił z takim ogniem i wyrazistością, że gdy się go słuchało, ślinka ciekła na samą myśl.

W porównaniu z zapałem dzielnego mistrza, pani Suzanne zdawała się być nieco oziębła. Okazała wszakże ze swej strony gościnność i wdzięczność, stwierdzając, że nie wypuści swego gościa, póki jadło, które dzięki niemu trafi na stół, nie zostanie w całości spożyte.

Nie trudno się domyślić, że Thibault był rad widzieć żonę sędziego wychodzącą naprzeciw jego najgorętszym pragnieniom. Obiecywał sobie, po pobycie w

Erneville, można by rzec, złote góry, i tak bardzo się cieszył, że pierwszy zaproponował pani Magloire łyk czegoś mocniejszego, co przygotowałoby ich żołądki na godne przywitanie frykasów, które niebawem przyrządzi im panna Perrine.

Pan Magloire ogromnie się ucieszył, że Thibault niczego nie zapomniał z poprzedniego pobytu, nawet imienia kucharki.

Podano wermut. Był to podówczas trunek niemalże nieznan we Francji, który księżę Orleanu kazał sprowadzić z Niderlandów, i którym jego księżęca wysokość hojnie obdzielał swego wiernego sługę.

Thibault się skrzywił. Uznał, że ów egzotyczny napój niewart jest swojskiego wina.

Lecz skoro pan Magloire wyjawiał mu, iż dzięki tej tajemniczej miksturze, będzie miał za godzinę potężny apetyt, gość nie czynił już żadnych uwag, ale gorliwie pomógł gospodarzowi osuszyć butelkę.

Pani Suzanne zaś udała się do swych pokoi by uczynić to co kobiety zwać „poprawieniem urody”, a co polega zazwyczaj na całkowitej zmianie dekoracji.

Rychło nadeszła pora by usiąść do stołu.

Pani Suzanne wynurzyła się więc ze swych komnat. Wyglądała wprost oszałamiająco w pięknej sukni z szarego, haftowanego adamaszku. Jej widok wprowadził naszego szewca w takie uniesienie, że nawet nie odczuł skrępowania chociaż po raz pierwszy bawił w tak dostojnej i niemal arystokratycznej kompanii.

Thibault, przyznać trzeba uczciwie, radził sobie w tym położeniu całkiem dzielnie. Nie tylko co chwila znacząco zerkał na piękną gospodynię, lecz powolutku zbliżał swe kolano do jej kolana, by w końcu pozwolić sobie na delikatne dotknięcie.

Thibault oddawał się temu miłemu zajęciu, a pani Suzanne spoglądająca nań słodko; raptem utkwiała weń dziwny wzrok. Nagle otworzyła szeroko swe cudne usta i szarpnął nią uśmiech tak gwałtowny, że mało brakowało, by się udławiła.

Nie bacząc na nic, pan Magloire zapytał wprost o przyczynę,
Spojrzał na Thibaulta niepokojąc się o wiele bardziej stanem gościa, niż nerwowym napadem wesołości w jaki wprawił jego małżonkę.

— Przyjacielu! — wykrzyknął wyciągając do gościa swe krótkie, tłuściutkie ramionka. — Przyjacielu! Płoniesz! Płoniesz!

Thibault zerwał się jak oparzony.

— Co się dzieje? — spytał.

— Masz ogień we włosach — odparł naiwnie sędzia chwytając odruchowo karafkę z wodą, by ugasić pożar na gościu.

Szewc odruchowo chwycił się za głowę.

Nie czując jednak wcale ciepła, domyślił się co się stało i blady jak ściana opadł na krzesło.

Od dwóch dni był tak bardzo zajęty, że całkiem zapomniał o ostrożnościach przedsięwziętych przy starym młynie, to jest o takim układaniu włosów, by skrywały tę część czupryny, która zmieniała kolor za sprawą czarnego wilka.

Prawdą jest, że wskutek ogromnej liczby drobnych życzeń, jakie wymknęły się naszemu bohaterowi, przesądzając o jego przyszłości liczba ognistych włosów wzrosła zastraszająco i w tej chwili nieszczęśnik nosił kosmyk jaskrawszy niż płomień żółtych, woskowych świec rozjaśniających jadalnię.

— Do diabła! Panie Magloire, — ciągnął Thibault usiłując ukryć zdenerwowanie — ale mi pan napędziłeś stracha!

— Ale... — zaczął sędzia wskazując na ognistoczerwony kosmyk.

— Ależ mój panie! — przerwał mu Thibault. — Proszę nie zwracać uwagi na tę kępkę włosów. Wszystko to wzięło się stąd, że moją matką, gdy nosiła mnie w swym łonie, przeraziła się płonącej główni, od której o mały włos nie zginęła...

— A co jeszcze dziwniejsze — stwierdziła pani Suzanne, która wychyliła szklanekę wody, by się uspokoić, — to fakt, że dopiero dzisiaj, po raz pierwszy zauważyłam to lśniące znamię.

— Naprawdę?... — bąknął Thibault, nie bardzo wiedząc co rzec.

— Przedwczoraj zdawało mi się, — mówiła dalej pani Magloire — że pańskie włosy są równie czarne jak moja aksamitna mufka; co nie znaczy bynajmniej, bym patrzyła na pana.

To ostatnie zdanie, przywracając Thibaultowi nadzieję, zwróciło mu również dobry humor.

— Ha, ha, ha! Moja pani — odparł — porzekadło mówi, że każdy mężczyzna rudowłosy ma gorące serce, a z kolei inne, że nie habit czyni mnicha.

Pani Magloire skrzywiła się słysząc te prostackie powiedzonka. Lecz jak to się często zdarzało, sędzia i tym razem nie podzielał opinii swej małżonki.

— Przyjacielu Thibault, masz złote usta i nie trzeba daleko szukać potwierdzenia tych maksym. Oto jest zupa lyońska, a przyznam, że nigdy jeszcze cebula i chleb wysmażone w gęsim smalcu nie radowały tak bardzo mego żołądka.

I od tej chwili nawet słowem nie wspomniano o włosach szewca.

Tymczasem piękne oczy pani, zdawały się stale zerkać na ów diabelski kosmyk. Kiedy tylko spojrzenia jej i Thibaulta krzyżowały się; gość zawsze odnosił wrażenie, iż po jej ustach błąka się cień tego śmiechu, który tak niemile go dotknął.

To go irytowało. Mimo woli co chwila sięgał dłonią do swej czupryny, usiłując skryć nieszczęsne pasemko pod czarnymi puklami. Lecz kosmyk miał nie tylko zdecydowaną barwę, lecz również niespotykaną sprężystość.

Thibault mógł sobie gładzić i zaczesywać czarcie znamię, lecz nic, nawet ręka fryzjera nie mogłaby nadać innego ułożenia niż to, które zdawało się im przyrodzone.

Podczas tych zabiegów kosmetycznych, kolana Thibaulta poczynęły sobie coraz śmieiej.

I choć pani Magloire nie reagowała na miłosne zaczepki, nie czyniła też nic by się się od nich uchylić. Thibault domniemywał więc, że dokonał podboju.

Biesiada przeciągnęła się do późnej nocy.

A ponieważ pani Magloire uznając wieczerzę za nazbyt przedłużoną, co rusz

wstawiała od stołu kręcąc się po domu, pan Magloire za każdym razem korzystał z jej nieobecności by podskoczyć do piwniczki.

W fałdach swej szaty ukrył wielką mnogość różnych butelek i ustawivszy je na stole, opróżniał z takim zapalem, że głowa jego, coraz cięższa spoczęła wreszcie na tłustym brzuszku. A to znaczyło, że jeśli nie miał osunąć się pod stół, należało czym prędzej zakończyć ucztę.

Nasz bohater zdecydował się skorzystać z tych pomyślnych zdawało się wiatrów, by wyznać gospodyni swą miłość i sadząc, że stan jej małżonka był do tego wyśmienitą okazją, oświadczył, iż chętnie udałby się na spoczynek.

Po tych słowach całe towarzystwo wstało od stołu.

Zawołano Perrine, by wskazała gościowi pokój, który dla niego przeznaczono.

Udając się na spoczynek, Thibault zasięgnął informacji u służącej.

Pierwszy pokój w korytarzu należał do pana Nepomucena; drugi zajmowała pani Suzanne; trzeci przeznaczono dla gości, z tym że pokoje sędziego i jego małżonki połączone były wewnętrznymi drzwiami, zaś komnatka gościnna miała tylko jedno wyjście na korytarz.

Thibault kątem oka zauważył, że Suzanne Magloire weszła do pokoju swego małżonka.

Szewc sądził, że piękną panią wie dzie tam zbożny obowiązek małżeński. Nasz dobry sędzia był jednakowoż w stanie podobnym do tego, w jakim znalazł się Noe, gdy został sponiewierany przez swych synów. Tak więc pani Suzanne musiała pomóc mężowi wejść do sypialni.

Thibault wymknął się na palcach ze swego pokoju, cichutko zamknął drzwi, przyłożył ucho do drzwi pokoju pani domu, i nie słysząc żadnego szmeru, ręką wymacał tkwiący w zamku klucz. Wziął głęboki oddech i spokojnie lecz zdecydowanie nacisnął klamkę.

Drzwi stanęły otworem.

W pomieszczeniu panował zupełny mrok. Lecz Thibault, od pewnego czasu

często przestając z wilkami, przejął od tych zwierząt niektóre zdolności, a w tym dar widzenia w ciemności.

Szybko rozejrzał się w pomieszczeniu. Po swej prawej stronie ujrzał kominek, a przed nim stolik nocny z lustrem; za jego plecami od strony kominka znajdowało się łoże zdobione złotymi lamówkami; na wprost niego — toaletka ozdobiona obficie koronkami i szczelnie zaciągnięte kotary.

Thibault skrył się za nimi, podświadomie wybierając tę, która zasłaniała okno bardziej oddalone od drzwi prowadzących do pokoju sędziego.

Po jakimś kwadransie wyczekiwania, podczas którego serce Thibaulta biło tak mocno, przywołując jak na ironię klekot kół młyna w Coyolles, pani Suzanne weszła do pokoju.

Pierwotnie szewc zamierzał, skoro tylko pani jego serca wejdzie i zamknie za sobą drzwi, wyjść z ukrycia i wyznać swą wielką miłość.

Stwierdził jednak, że zaskoczona dama nie poznawszy go, podniesie krzyk i że wobec tego lepiej będzie ujawnić się dopiero wtedy, gdy Nepomucen Magloire zaśnie na dobre.

A może to jakiś instynkt powoduje, że każdy mężczyzna nawet niezwykle śmiały, zawsze stara się opóźnić decydującą chwilę, gdy sytuacja jest równie jak on niepewna i stanowić może o jego zwycięstwie lub klęsce.

Bowiem Thibault, powtarzając sobie, iż kocha panią Suzanne do szaleństwa, sam w końcu w to uwierzył i mimo pieczy, jaką otaczał go czarny wilk, ogarnęła go nieśmiałość właściwa zakochanemu.

Siedział więc za kotarą jak trusia.

Tymczasem pani Magloire usadowiła się przed lustrem swej toaletki po to, by stroić się, jakby miała iść na bal czy do kościoła.

Przymierzyła z tuzin szali, nim wybrała właściwy. Poprawiła fałdy swej sukni. Owinęła szyję potrójnym sznurem pereł. Włożyła wszystkie bransoletki. W końcu z wielką starannością ułożyła fryzurę.

Thibault zgubił się już zupełnie w zawiłych procedurach poprawiania urody.

Nagły dźwięk suchy i drżący, zupełnie jakby coś twardego stuknęło w szybę, sprawił, że szewc zadrżał cały i jeszcze głębiej zaszył się w swej kryjówce.

Pani Magloire także poderwała się na równe nogi i natychmiast zgasiła światło. Thibault słysząc, jak na palcach zbliża się do okna i otwiera je niewiarygodnie cicho.

Doszedł go szept, którego nie mógł jednak zrozumieć.

Uchyliwszy rąbek firanki ujrzał ogromną postać gramolącą się do otwartego okna.

Postać ta przywiodła mu na myśl przygodę z nieznanym, którego najpierw ciągnął za poję płaszcza, a następnie pozbył się ciskając kamieniem w czoło.

Zdawało mu się nawet, że to spuszczając się z tego właśnie okna, olbrzym stanął mu na ramionach. Zresztą podejrzenie było uzasadnione. Skoro ktoś wszedł przez to okno, mógł równie dobrze przez nie wyjść.

A ponieważ przedwczoraj jakiś mężczyzna wychodził przez to okno, można sądzić, o ile oczywiście nie przypiszemy pani Magloire nazbyt szerokich znajomości i bardzo różnorodnych gustów, można więc sądzić, że mężczyzna, który poprzednim razem opuszczał te gościnne progi, był tym samym, który teraz w nie wstępował.

Kimkolwiek jednak był ów nocny gość, pani Suzanne wyciągnęła swą dłoń ku przybyszowi, który tak ciężko zeskoczył z parapetu, że nie tylko podłoga, ale i wszystkie sprzęty drgnęły.

Było oczywiste, że ogromna postać nie jest duchem, lecz stworzeniem z krwi i kości, należącym przy tym do kategorii ciał ciężkich.

— Ostrożnie, mój panie! — rzekła pani Suzanne. — Choć małżonek śpi teraz snem kamiennym, czyniąc hałas, obudzisz go.

— Do diaska! — odparł nieznajomy, którego głos zdradził Thibaultowi rozmówcę sprzed kilku nocy. — Nie jestem ptaszkiem! Tym niemniej, gdy czekałem u pani okna, z sercem drżącym z niecierpliwości, zdawało mi się, o natury dziwniejsza z niewiast, że rosną mi skrzydła i że wznoszę się na nich do tego

słodkiego pokoiku.

— Oh! — odparła krygując się pani Magloire — Było mi równie przykro kazać panu marznąć w tej zawierusze... Lecz gość, który przybył do nas tego wieczora, opuścił jadalnię nie dalej, jak pół godziny temu.

— A cóż czyniłaś, moja piękna pani, od tego czasu?

— Musiałam towarzyszyć panu Magloire, mój panie, by upewnić się, że nie przeszkodzi nam dziś wieczór.

— Droga Suzanne, jakże jesteś roztropna!

— Jesteś zbyt dobry, mój panie — rzekła na to pani Suzanne.

Powinniśmy raczej stwierdzić „chciała rzec”, gdyż jej ostatnie słowa zostały zduszone, jak gdyby jakieś obce ciało przygniotło usta pani Magloire, uniemożliwiając jej dokończenie kwestii.

Thibault usłyszał odgłos, który wydał mu się gorącym pocałunkiem. W tej chwili biedaczysko pojął, iż cała jego misterna intryga legła w gruzach.

Jego przemyślenia przerwało lekkie kasłanie przybysza.

— Może zamknąć okno? — rzekł głos, do którego kaszel był jedynie preludeum.

— Ach! Tak, winnam to była zrobić od razu.

Pani domu zamknęła szczelnie okno i jeszcze szczelniej zaciągnęła zasłonę.

Tymczasem nieznajomy, czując się widocznie jak u siebie w domu, podciągnął w pobliże kominka małą sofkę i usadowiwszy się na niej, rozgrzewał przy ogniu zziębnięte stopy, niczym prawdziwy domownik.

Pani Suzanne z pewnością pomyślała, że dla przemarzniętego mężczyzny rzeczą najważniejszą jest się ogrzać; nie próbując bowiem czynić swemu arystokratycznemu kochankowi wymówek, zbliżyła się do sofki i z wdziękiem się o nią oparła.

Thibault widział plecy obojga, odcinające się wyraźnie w blasku ognia i kipiały ze złości.

Gość z początku zdawał się zajmować tylko ogrzewaniem zlodowaciałych

kości.

Gdy jednak przyszedł nieco do siebie, spytał:

— A ten gość, co dziś z wami wieczerzał, któż to jest?

— Och, mój panie, — odparła pani Magloire — zdaje mi się, że zna go pan trochę.

— Jakże to! — spytał faworyt — Czyżby to był jeszcze gość z poprzedniego wieczora?

— Ten sam, mój panie.

— Niech go tylko dostanę w swoje ręce!

— Ależ mój panie — rzekła madame Magloire głosem słodkim jak śpiew anioła. — Nie wolno życzyć źle swoim wrogom. Przeciwnie, nasza święta wiara katolicka uczy, że dobrze jest im przebaczać.

— Jest jeszcze jedna wiara, która tego uczy: wiara, której jesteś o pani boginią wszechmocną, i której jestem skromnym neofitą... Prawda, że błądzę, życząc temu łobuzowi tak źle. Przecież przez to, że urządził mnie tak szpetnie i zdradziecko, znalazł sposób bym dostał się do tego domu, którego to sposobu od dawna szukałem; to dzięki temu błogosławionemu kamieniowi zemdląłem, a pani, widząc mnie bez ducha, zawołała męża, który sądził, iż to zbójce tak mnie ogłuszyli i kazał mnie zanieść do siebie. W końcu wzruszona moim cierpieniem pozwoliła mi pani przyjść dzisiaj. Ten więc łobuz, zdrajca, cham i prostak jest przyczyną wszelkiego mego szczęścia! Nie znaczy to jednak, że jeśli kiedykolwiek, przypadkiem oczywiście, dosięgnę go, nie będzie pamiętał tego spotkania do końca życia.

— Do diabła! — mruknął Thibault. — Wygląda na to, że jeszcze, raz moje życzenie zwróciło się przeciwko mnie! Czarny wilku, mój przyjacielu! Jeszcze się ucze! Teraz, nim sobie zażyczę czegoś, najpierw sprawę przemyśle; z ucznia na twych oczach wyjdzie mistrz... Ale — ciągnął Thibault pytając sam siebie — do kogóż może należeć ten głos? Do pioruna, skądś go przecież znam!

— Wyznam ci, panie, jedną rzecz, która zapewne jeszcze bardziej cię za-

gniewa na tego biedaka.

— Cóż to, moja droga?

— To że, ten jak mówisz „łobuz”, smali do mnie cholewki!

— Co?

— Tak właśnie, mój panie — odparła śmiejąc się cicho Suzanne.

— On! Ten złodziej, bałwan, tchórz! Gdzież on jest? Gdzież się kryje? Na Belzebuba! Rzucę go na pożarcie moim psom!

Nagle Thibault rozpoznał mężczyznę.

— Ach! Jaśnie wielmożny baron de Vez! — mruknął do siebie.

— Proszę się uspokoić, mój panie — rzekła Suzanne kładąc mu dłonie na ramionach i przymuszając, by usiadł. — Kocham tylko ciebie, a nawet gdybym cię nie kochała, z pewnością nie oddałabym swego serca człowiekowi, który na samym środku głowy ma kępę czerwonych włosów!

I na wspomnienie owej pstrokacizny pani Magloire po raz wtóry zaniósła się cichym śmiechem. Thibault wpadł we wściekłość.

— Ach! Kobieto niewierna! Oddałbym wszystko, by twój dzielny, uczciwy i dobry mąż wszedł teraz do pokoju i zastał cię na zdradzie!

Thibault nie skończył jeszcze swego życzenia, gdy drzwi prowadzące do pokoju otwarły się szeroko i pan Magloire, odziany w koszulę nocną i ogromną szlafmycę, która dodawała mu prawie pięć stóp wzrostu, trzymając w dłoniach lichtarz wkroczył do pokoju.

— Ha! — rzekł w duchu Thibault. — Teraz ja się będę śmiać!

NOCNE ROZMOWY

Thibault, zajęty własnymi myślami, nie usłyszał kilku słów, które pani Suzanne wyszeptała do barona. Ujrzał tylko jak osunęła się w ramiona kochanka, jakby właśnie zemdląca.

Sędzia stanął jak wryty przed tym żywym obrazem, który oświetlał jego

lichtarz.

Ponieważ gospodarz stanął twarzą do zasłony, za którą znajdował się nasz bohater, ten ostatni obserwował go z ukrycia, by odczytać z jego twarzy to, co działo się w duszy pana domu.

Lecz jowialnemu obliczu sędziego natura poskapiła możliwości wyrażania wszelkich, głębszych emocji, tak więc Thibault odczytał na twarzy rogowca jeno życzliwe zdziwienie.

Bez wątpienia baron również nie dopatrzył się niczego więcej, gdyż z właściwą sobie swobodą rzekł:

— Witam serdecznie, drogi przyjacielu! Jakże się dziś wiczerzało?

— Ach! To jaśnie wielmożny pan? — odparł sędzia wytrzeszczając oczy. — Ach! Proszę o wybaczenie. Proszę wierzyć, że gdybym wiedział, że jaśnie wielmożny pan gości w mych skromnych progach, nie pozwoliłbym sobie pojawić się w tak niestosownym stroju.

— Hm!

— Jaśnie wielmożny pan pozwoli, że go opuszczę na chwilę, aby doprowadzić się do porządku.

— Nie trudź się, przyjacielu — odparł baron. — Rzadko się zdarza, by po kolacji przyjmować przyjaciół; obejdzcie się więc bez tych formalności. Jest bowiem sprawa nagląca.

— A cóż się stało, jaśnie panie?

— Trzeba ocucić twą małżonkę, którą widzisz zemdloną w mych ramionach.

— Zemdloną? Suzanne zemdlona! Dobry Boże! — wykrzyknął z przerażeniem gruby człeczyna, odstawiając lichterz na kominek. — Jakże doszło do tego strasznego wypadku?

— Zaraz, zaraz, drogi Magloire — rzekł baron — przede wszystkim trzeba wygodnie ułożyć pańską małżonkę. Nic tak nie szkodzi zemdlonym kobietom, jak niewygoda.

— Święta racja, panie; ułożymy, więc wpierw panią Magloire w fotelu...

Suzanne! Biedna Suzanne! Cóż za nieszczęście się jej przytrafiło!

— Drogi przyjacielu! Niczego nie podejrzewaj, widząc mnie tutaj o tak dziwnej porze!

— Niechaj mnie Pan Bóg broni! Przyjaźń jaśnie pana, jaką mam zaszczyt się cieszyć, wielkie a liczne cnoty mojej małżonki są żelazną gwarancją, że o każdej porze dnia i nocy będę szczęśliwy i zaszczycony gościć jaśnie wielmożnego pana pod naszym dachem.

— Ot, dureń! — mruknął szewc. — Ale pał to sześć! — dodał w duchu, zobaczmy jak się z tego wykręcisz, panie baronie.

— Niemniej jednak — ciągnął pan Magloire ocierając lico Suzanne chusteczką zwilżoną naparem z melisy — chciałbym wiedzieć skąd tak wielki cios został wymierzony mej najdroższej małżonce!

— To bardzo proste i zaraz ci wszystko, drogi przyjacielu, opowiem. Wraciałem właśnie z biesiady od mego przyjaciela, pana na Viviores, i przejeżdżałem przez Eneville, by dotrzeć do zamku Vez, gdy nagle ujrzałem otwarte okno, a w tym otwartym oknie kobietę, wzywającą pomocy.

— O Boże!

— I oto co pomyślałem rozpoznając, że okno to należy do twego domu: „Boże Wszechmogący! Czyż to nie małżonce mego przyjaciela grozi niebezpieczeństwo? Trzeba natychmiast przyjść jej z pomocą!”

— Jaśnie wielmożny pan jest tak dobry i łaskawy — rzekł wzruszony sędzia. — Mam nadzieję, że nic się nie stało?

— Wręcz przeciwnie, drogi przyjacielu.

— Jak to wręcz przeciwnie?

— Zaraz się dowiesz, przyjacielu.

— Jaśnie pan mnie przeraża! Jakże to! Moja żona potrzebowała pomocy i nie wezwała swego męża?

— To była jej pierwsza myśl, lecz porzuciła ją natychmiast co dowodzi jej przywiązania do ciebie. Obawiała się bowiem, że wołając cię może narazić twe

życie i zdrowie na szwank.

— Cooo!?! — bąknął sędzia blednąc. — Moje życie i zdrowie, miałyby być utracone?

— Teraz już nie, gdyż ja tu jestem.

— Naturalnie jaśnie wielmożny panie. Ale co tu się w końcu stało? Spytałbym o to swej małżonki, lecz jaśnie pan widzi, że nie mogłaby nic odpowiedzieć.

— Mój Boże! Nie jestem tu przecież, by odpowiadać za panią Magloire...

— Ależ proszę mówić. Ja pilnie słucham.

Baron uniósł dłoń, jakby wszystkich obecnych prosił o ciszę i mówił dalej.

— Przybiegłem więc widząc ją tak przerażoną i pytam: „cóż się stało, pani Magloire, któż jest przyczyną tak wielkiej bojaźni?”

— Ach! Mój drogi panie — rzekła. — Proszę sobie wyobrazić, że mój mąż, przyjmował u siebie przedwczoraj i dziś człeka, co do którego mam najgorsze podejrzenia, ba! Człeka, który wkrada się tu pod płaszczykiem przyjaźni z moim drogim mężem, a który ma względem mnie nieczyste zamiary.

— Ona to, jaśnie panie, powiedziała?

— Słowo w słowo, przyjacielu! Zresztą nie może słyszeć tego co mówimy, nieprawdaż?

— Oczywiście, jest przecież biedactwo, nieprzytomna.

— A skoro odzyska przytomność, spytaj ją i jeśli nie powtórzy wszystkiego słowo w słowo, będę łobuzem, niewiernym Turkiem.

— Jakie okropne charaktery mają ludzie! — jęknął sędzia.

— O, tak! To nie ludzie, lecz gniazdo żmij! — przytakiwał baron. — Czy mam mówić dalej?

— Tak, tak! — gorąco prosił gospodarz, zapominając o bożym świecie, wobec mrozącej krew w żyłach opowieści barona.

— Spytałem więc: „Ależ moja pani, jakżeś spostrzegła, że ten łotr miał śmiałość smalić cholewki do ciebie, osoby zasługującej na szacunek?”

— Właśnie, jak to spostrzegła? Bo ja niczego nie zauważyłem?

— Spostrzegłbyś drogi przyjacielu, gdybyś czasem spojrzął pod stół; lecz jesteś tak łakomy, że nie możesz jednocześnie patrzeć nad i pod.

— Bo rzeczywiście, jaśnie panie, wieczerza była wspaniała. Proszę sobie wyobrazić: pieczeń...

— Właśnie! — przerwał baron. — Chcesz mi opowiadać o dzisiejszej kolacji, miast wysłuchać dalszego ciągu historii, w której życie i cześć twej żony były śmiertelnie zagrożone!?

— Prawda, prawda! Biedna Suzanne! Jaśnie panie, proszę mi łaskawie pomóc otworzyć jej zaciśnięte dłonie, abym mógł, ocucić mą małżonkę.

Baron udzielił sędziemu swej pomocy i połączonymi siłami skłonili panią Magloire, by otworzyła dłonie.

Grubasek, nieco uspokojony, zaczął klepać swą tłustą łapką dłoń małżonki, przychyłając ucha do dalszego ciągu opowieści.

— Gdzież to ja skończyłem? — spytał narrator.

— Jaśnie pan skończył tam, gdzie biedna Suzanne, którą można nazwać cnotliwą Suzanne...

— Rzeczywiście, masz prawo być dumny! — odparł baron.

— I jestem! Jaśnie wielmożny pan przerwał, gdy moja biedna Suzanne spostrzegła...

— Tak, tak! Niczym pasterz Parys, twój gość próbował zrobić z ciebie drugiego Menelaosa? Wstała więc... Czy przypominasz sobie, że wstała?

— No nie... byłem nieco... nieco... senny.

— Otóż to! Wstała więc i stwierdziła, że czas już iść spać.

— Prawda! Ostatnią godzinę, którą słyszałem, to była jedenasta.

— Tak więc wszyscy wstali.

— Ja chyba nie — mruknął sędzia.

— Zgadza się. Tylko pani Magloire i gość. Wskazała mu pokój dla niego przeznaczony, do którego zaprowadziła go Perrine, po czym twa dobra i wierna małżonka, zapakowała cię do łóżka i wróciła do swego pokoju.

— Kochana Suzanne! — wykrzyknął rozczulony sędzia.

— I właśnie tu zupełnie sama podeszła do okna i otworzyła je. Przeciąg zgasił świeczkę. Czy wiesz, przyjacielu czym jest strach?

— Oczywiście, sam jestem bardzo lękliwy — przytaknął naiwnie sędzia.

— I właśnie w tym momencie ogarnął ją lęk i nie chcąc cię budzić, by nie trafiło cię jakie nieszczęście, zawołała pierwszego mężczyznę, który jechał drogą. Tym na szczęście byłem ja.

— Oczywiście, na szczęście, jaśnie panie!

— Nieprawdaż?... Podbiegłem, dałem się rozpoznać. Jaśnie panie — rzekła — w moim pokoju jest jakiś obcy mężczyzna.

— O la, la!... — rzekł Magloire. — Jaśnie pan musiał się bać.

— Ani trochę! Stwierdziłem, że byłoby stratą czasu dobijać się do drzwi. Kazałem więc słudze potrzymać mego wierzchowca, wskoczyłem na siodło, jednym susem byłem na balkonie po to, by intruz nie czmychnął, zamknąłem okno. W tej samej chwili, słysząc jak otwierają się drzwi od twego pokoju, pani Magloire, ustępując pod naporem doznanych przeżyć, osunęła się bezwładnie w me ramiona.

— Ach! Jaśnie panie! Cóż za straszna historia!

— I zauważ przyjacielu, że raczej ją złagodziłem, niż bym miał ubarwiać. Zresztą sam zobaczysz, co powie ci twoja małżonka, skoro tylko wróci do siebie...

— Jaśnie panie! Poruszyła się!

— Dobrze! Spal jej pod nosem piórko!

— Piórko!?

— Tak, piórko! To świetny środek orzeźwiający. Spal jej pod nosem piórko, a zaraz wróci do siebie.

— Ale skąd mam wziąć piórko?

— Ha! Weź je z mojego kapelusza.

I baron, oderwawszy kilka źdźbeł ze strusiego pióra zdobiącego jego kape-

lusz, wręczył je panu domu, który przysmalił je w ogniu świecy i zbliżył do nosa pani Magloire.

Lek okazał się skuteczny, tak jak to przewidywał pan baron.

Efekt był natychmiastowy.

Pani Magloire kichnęła.

— Ach! — krzyknął radośnie sędzia — Oprzytomniała! Moja żona! Moja najdroższa! Kochana żonka!

Pani Magloire westchnęła lekko.

— Jaśnie panie! Jaśnie panie! — krzyczał Nepomucen Magloire. — Jest uratowana!

Pani Magloire otworzyła oczy, spojrzała niespokojnie na męża i barona, by w końcu patrząc promiennym wzrokiem na sędziego wykrzyknąć:

— Magloire! Mój drogi Magloire! To ty! Jakże jestem szczęśliwa widząc się przy sobie. To kres tego koszmaru!

— A to ci dopiero lisica — mruknął Thibault. — Jeśli kobiety, za którymi się ugamiam, nie wpędzą mnie do grobu, to przynajmniej podczas pogoni dadzą mi dobrą szkołę!

— Niestety! Droga Suzanne! — rzekł sędzia. — To nie sen, lecz jak się zdaje, okrutna rzeczywistość.

— Tak jest, przypominam sobie — rzekła pani Magloire.

I udając, że przypomniała sobie o wszystkim, dopiero gdy wróciwszy do zmysłów ujrzała barona i rzekła:

— Ach! Jaśnie panie, mam nadzieję, że nie powiedział pan memu małżonkowi ani słowa o tym okropnym zdarzeniu, o którym pan ode mnie usłyszał?

— A dlaczegoż to, moja pani? — spytał baron.

— Dlatego, że uczciwa żona umie się sama wytłumaczyć ze wszystkiego, i nie zwraca mężowi głowy podobnymi drobnostkami.

— Przeciwnie, moja pani — odparł baron. — Opowiedziałem memu przyjacielowi wszystko, słowo w słowo.

— Jakże to? Czy powiedział pan, że podczas kolacji ten człowiek dotykał mego kolana?

— Tak, powiedziałem.

— O łotr! — wykrzyknął Magloire.

— I czy powiedział pan, że gdy się schyliłam, by podnieść chusteczkę, natrafiłam nie na chusteczkę, lecz na jego rękę?

— Niczego nie ukryłem przed moim przyjacielem.

— O zbój! — ze zgrozą rzekł mistrz Nepomucen.

— Czy powiedział mu pan również, że gdy mój drogi Magloire zdrzemnął się za stołem, gość skorzystał z jego chwilowej niedyspozycji, by mnie pocałować?

— Sądziłem, że mąż powinien wiedzieć, wszystko.

— O diabelskie nasienie! — wykrzyknął sędzia.

— W końcu, — rzekła pani Suzanne — czy powiedział pan także, że gdy weszłam do pokoju i wiatr zgasił świeczkę, zdawało mi się, że zasłony na tym oknie ruszają się, tak bardzo, że wołałam pana na ratunek, sądząc, że mój prześladowca skrył się za firanką?

— Nie tego nie powiedziałem, lecz chciałem powiedzieć, gdy właśnie pani kichnęła!

— O nędznik! — ryknął sędzia, wyszarpnął z pochwy szpadę odłożoną na krzesło przez barona i rzucił się ku oknu wskazanym przez żonę. — Niechaj stanie naprawdę za tą zasłoną! Posiekam go na plasterki!

I spełniając swą groźbę, sędzia tracił dwa czy trzy razy szpadą w kotarę, za którą stał Thibault.

Nagle jednak Nepomucen Magloire stanął jak wryty. Włosy pod szlafmycą stanęły mu dęba, poruszając przy tym całym nakryciem głowy.

Szpada wysunęła się z drżącej ręki grubaska i z trzaskiem upadła na posadzkę.

Sędzia dostrzegł bowiem Thibaulta ukrytego za zasłoną i niczym Hamlet zabijający Poloniusza, przekonany, że uderza mordercę swego ojca, Magloire sądząc, że szpada tnie tylko powietrze, o mały włos nie zabiłby swego przyjaciela,

któremu nie starczyło by już czasu, się okazać niewdzięcznikiem.

A że poczciwina wymachując dziarsko szpadą uchylił zasłony, nie był jedynym, który go zobaczył. Pani Suzanne i baronowi wyrwał się na widok Thibaulta cichy okrzyk zdziwienia. Mówiąc to, co powiedzieli, nie spodziewali się, aż takiego potwierdzenia swych słów.

Baron natychmiast rozpoznał Thibaulta.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął zbliżając się do szewca. — Nie myłę się przecież! Toż to ów człowiek z oszczepem!

— Jak to człowiek z oszczepem!? — spytał sędzia szczękając zębami. — Mam nadzieję, że nie ma go ze sobą?

I z niespodziewaną chyżością skrył się za plecami swej małżonki.

— Ależ nie, proszę się uspokoić — rzekł pewnie baron. — Jeśli ma przy sobie ów oszczep, sam mu go odbiorę. Hejże, panie kłusowniku — ciągnął zwracając się do Thibaulta. — Nie dosyć, że polujesz na daniela jego wysokości księcia Orleanu w lesie Villers-Cotterêts, ale widzę, że wypuszczasz się także na otwarte pole, chcąc szkodzić na ziemi mego przyjaciela, sędziego Magloire?

— Jakże to! Kłusownik? — spytał grubasek pan Thibault. — Nie jest więc bogobojnym posiadaczem ziemskim, żyjącym w swym dworku z plonów, jakie wydają setki hektarów gruntu?

— On? — odparł baron wybuchając śmiechem. — Zdaje się, że uwierzyłeś w tę bajeczkę przyjacielu. Trzeba przyznać, że łobuz ma złote usta! On właścicielem ziemskim! Ten oberwaniec! Wszystkie jego dobra mają na nogach moi stajenni. Ten cham robi saboty.

Pani Suzanne skrzywiła się ze wstrętem, dowiadując się, jaka jest prawdziwa profesja Thibaulta.

Pan Magloire spąsował, cofnął się o krok. I to nie dlatego, by dzielny człeczyna grzeszył pychą. Nie. Pan Magloire nienawidził obłudy. Spąsował nie dlatego, że pił z szewcem, lecz dlatego, że usiadł do stołu ze zdrajcą i kłamcą.

Thibault przyjął całą tę lawinę z założonymi rękami i spokojnym uśmiechem

na ustach. Był pewien, że gdy tylko dojdzie do słowa, z łatwością zdemaskuje przeciwnika.

Głosem pełnym drwiny i ironii, co świadczy o tym, że z wolna przyzwyczajał się rozmawiać z ludźmi wyższego niż on stanu, rzekł:

— Gdyby wszyscy pletli takie bzdury, jak to pan czynił bez mrugnięcia okiem, nie byłbym pewnie tak zakłopotany, jak jestem teraz!

Baron odpowiedział na groźbę Thibaulta, aż nadto zrozumiałym dla niego i pani Suzanne, straszliwym spojrzeniem.

— Och! — westchnęła nieostrożnie pani Magloire. — Zaraz wymyśli jakieś oszczerstwa przeciw mnie.

— Proszę być spokojna, moja pani — powiedział Thibault, który już całkiem odzyskał pewność siebie. — Dzięki pani niczego nie muszę wymyślać.

— O łotr! — rzekła na to sędzina. — Nie myliłam się. Wykonceypował coś by mnie oczernić. Chce się mścić za to, że zakpiłam sobie z jego zalotów i że o niczym, w swej dobroci nie powiedziałam mężowi.

Gdy pani Suzanne to mówiła, baron podniósł szpadę z posadzki i ruszył prosto na naszego bohatera.

Lecz sędzia rzucił się między nich i wstrzymał rękę barona.

I całe szczęście! Gdyż Thibault nie cofnął się ani o krok, by uniknąć pchnięcia, i zamierzał pewno jakimś diabelskim zaklęciem uchronić się przed groźącym niebezpieczeństwem.

Dzięki jednak interwencji pana domu Thibault nie musiał zwracać się o pomoc do czarnego wilka.

— Spokojnie jaśnie panie! — rzekł — Ten człowiek nie jest godzien gniewu barona! Oto ja, prosty mieszczanin, gardzę tymi oszczerstwami, tak jak wybaczam mu, że chciał nadużyć mej gościnności.

Madame Magloire uznała, iż nadeszła chwila, by całą scenę okrasić płaczem. Wybuchnęła więc szlochem.

— Nie płacz! — rzekł sędzia swym dobrodusznym i naiwnym głosem. — O

cóż by oskarżał cię ten człowiek, myśląc, że ci ubliża? O to, że mnie zdradzasz? Dobry Boże! Jaki jestem widać i jeśliżes tego nie uczyniła, wdzięczny ci jestem z całego serca za szczęście, jakie tobie zawdzięczam. Nie bój się więc, by podejrzenie tego grzechu zagościło w mym sercu i zmieniło moje postępowanie. Zawsze będę dobry i łagodny, Suzanne, i dopóki nie zamknę mego serca dla ciebie, dopóty nie zamknę mych drzwi dla przyjaciół.

Suzanne patrzyła na małżonka wyraźnie zaskoczona.

Było jasne, że melancholijno-filozoficzny dyskurs sędziego wywarł na niej wrażenie.

Baron rzekł, wyciągając dłoń ku sędziemu:

— Na Belzebuba! Przyjacielu, twoje serce jest tak czyste, a dusza tak prawa, że byłoby grzechem sprawić ci przykrość. Jeżeli więc, kiedyś dopuściłem do siebie jakąś złą myśl będąc pod tym dachem, niechaj Bóg mi wybaczy! W każdym razie przysięgam nigdy nie robić tego w przyszłości.

Gdy duch pojednania i wybaczenia spłynął na trójkę drugoplanowych postaci tej opowieści, czwarta osoba, to jest główny bohater, miała się coraz gorzej.

W sercu Thibaulta wzbierały wściekłość i gniew. Niepostrzeżenie z egoizmem i zawiścią pęczniejącymi w jego sercu, wzrastały zło i niegodziwość.

— Nie wiem — odparł ciskając między pojednaną już trójkę ziarno niezgody. — Doprawdy nie wiem co mnie jeszcze hamuje, by nie dać tej farsie piekielnego zakończenia!

W tym *dictum* wyglądającym na groźbę, a w szczególności w głosie Thibaulta, baron i pani Suzanne wyczuli, że jakieś potwornie wielkie niebezpieczeństwo wisi nad ich głowami.

Baron jednak nie był płochliwy. Po raz wtóry z żelazem w ręku ruszył na Thibaulta. I po raz wtóry sędzia go powstrzymał.

— Baronie! — syknął Thibault. — Już drugi raz chcesz mi wymierzyć śmiertelny cios: a więc drugi raz jesteś w duchu zabójcą! Uważaj! Grzeszy się nie tylko czynem lecz także myślą!

— Do diabła! — odparł z gniewem baron. — Śnię albo ten łajdak prawi mi morały! Przyjacielu, chciałem przed chwilą posiekać go w plasterki, pozwól mi teraz zadać mu jeden cios, niczym matador bykowi, a zapewniam, że ten nikomu już nie zaszkodzi.

— Przez wzgląd na swego nędznego sługę, który błaga o to na kolanach — odparł Magloire — proszę, by jaśnie pan pozwolił mu odejść stąd, albowiem póki goszczę tego człeka w mych skromnych progach, włos mu nie może spaść z głowy.

— Niech i tak będzie — rzekł baron. — Ale odnajdę go. Chodzą słuchy, że od pewnego czasu kłusownictwo nie jest jego jedynym występkiem: widziano go, jak przemierzał knieje wśród sfory oswojonych wilków. Sądzę, że hultaj nie sypia u siebie w każdy sabat, a za miotłę łapie częściej niż uczciwy chrześcijanin. Młynarka z Coyolles skarżyła się ponoć na jego czary... Ale nie mówmy o tym; wyślę kogoś, by odwiedził jego siedzibę, a jeśli znajdzie się tam coś podejrzanego, każę zrównać z ziemią to gniazdo czarownic, nie ma bowiem na nie miejsca w dobrach jego wysokości księcia Orleanu! A teraz znikaj z mych oczu! Precz!

Podczas karcących i groźnych wywodów barona gniew i gorycz zalewające serce naszego bohatera sięgnęły zenitu. Niemniej jednak skorzystał z możliwości, by usunąć się z pokoju.

Dzięki umiejętności widzenia w ciemnościach, podszedł do drzwi, otworzył je i przekraczając progi domu, gdzie zostały pogrzebane raz na zawsze jego najgorętsze pragnienia, trzasnął drzwiami, tak że ściany zadrżały w posadach.

I tylko dzięki temu, że uzmysłowił sobie swą jakże daremną rozrzutność życzeń i czarów, tego wieczora nie prosił swego patrona, by ogień pochłoniął cały dom, jego mieszkańców i gościa, który tam pozostał.

Thibault był tak wzburzony, że dopiero po kwadransie marszu zauważył, iż leje jak z cebra. Lecz deszcz, choć był lodowaty, a może właśnie dlatego, orzeźwił nieco piechura.

Jak w swej naiwności powiedział nasz dobry Magloire, głowa, Thibaulta

płoneła. Wyszedszy z domu sędziego Thibault puścił się szybkim krokiem. Pędził tak bez celu, bez drogi. Szukał przestrzeni, chłodu i ruchu.

Jego szalona wędrówka zawiodła go najpierw do Vallue. Zdawało mu się, że zabłądził, dopóki nie ujrzał w oddali zarysów młyna Coyolles.

Przeklął w duchu piękną młynarkę, jak nieprzytomny przebiegł między Vauciennes i Coyolles i widząc przed sobą czarną ścianę lasu zagłębił się w gęstwinę.

Znalazł się wnet na drodze biegnącej skrajem lasu, a prowadzącej z Coyolles de Préciamont. Ruszył nią bez chwili namysłu.

WIEJSKIE WESELE

Thibault nie zdążył nawet przejść kilkuset metrów w lesie, gdy znalazł się w otoczeniu wilków. Miło mu było znów je widzieć. Drapieżniki stłoczyły się wokół niego. Thibault głaskał je, niczym pasterz swe owce lub psy. To było jego stado, jego trzoda. Stado o płonących oczach, trzoda o ognistym spojrzeniu.

Ponad jego głową w koronach drzew bezszelestnie podlatywały z gałęzi na gałąź sowy i puchacze, pohukując z cicha żalonymi i mrocznymi głosami. W listowiu, niczym skrzydlate węgliki, błyszczały oczy tych nocnych ptaków.

Thibault zdawał się być w środku piekielnego kręgu. Tak jak wilki, które przepychały się, by lizać mu ręce, kłaść się u jego stóp, tak samo sowy i puchacze coś zdawało się przyciągać do niego. Sowy muskały jego włosy końcami miękkich skrzydeł. Puchacze podlatywały, by usiąść na jego ramieniu.

— Ach! — szepnął do siebie Thibault. — Nie jestem więc wrogiem wszelkiego stworzenia; nawet jeśli ludzie mnie znienawidzili, kochają mnie zwierzęta.

Thibault zapomniał, jakie miejsce zajmowały wśród żywych stworzeń, te które go kochały. Nie dostrzegął już, że zwierzęta, które go lubią, nienawidzą ludzi i że ludzie je przeklinają. Nie rozumiał, że kochały go dlatego, iż stał się między ludźmi tym, czym one były wśród zwierząt. Nocnym drapieżcą!

Razem ze swą hordą Thibault nie mógł już uczynić nawet, szczypty dobra. Mógł natomiast uczynić wiele zła. I na samą myśl o tym uśmiechnął się diabelsko.

Do jego chatki było jeszcze ponad milę, a czuł się zmęczony. Wiedział o prastarym dębie rosnącym w okolicy, w którego pniu lata wydrążyły ogromną niszę. Ruszył więc w stronę wiekowego drzewa.

Sam z pewnością nie trafiłby tam, gdyby wilki nie zawiodły go do celu, zupełnie jakby czytając w jego myślach, wiedziały czego szuka. Puchacze i sowy, sfruwając z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo oświetlały mu drogę, wilki biegły przed nim by mu ją wskazać.

Drzewo, do którego zdązał rosło dwadzieścia kroków od drogi.

Był to, jak już wiemy dąb, którego wieku nie liczono w latach lecz w stuleciach.

Drzewa żyjące dziesięć, dwadzieścia czy trzydzieści ludzkich pokoleń liczą czas nie jak człowiek w dniach, lecz w porach roku. Jesień jest dla nich zmierzchem, zima nocą. Wiosna jest świtem, a lato dniem słonecznym.

Człowiek zazdrości drzewu, motyl — człowiekowi.

Pnia tego olbrzyma nie objęłoby nawet czterdziestu ludzi, złączywszy swe ramiona. Nisza, którą czas wycinał w pniu, zdejmując co dnia koniuszkiem swego sierpa drobiny drewna, była wielkości średniego pokoju. Natomiast przez szczelinę wejścia z trudem mógł się przecisnąć człowiek.

Thibault wśliznął się do wielkiej dziupli. Znalazł tam rodzaj ławki wyrzeźbionej w masie pnia. Ułożył się na niej równie wygodnie jak Voltaire w swym fotelu i życząc swym nocnym towarzyszom dobrej nocy, zamknął oczy i zasnął głęboko.

Wilki ułożyły się na ziemi otaczając drzewo kołem, zaś ptactwo nocne obśiadło koronę dębu. Małe światełka rozsypane u stóp drzewa, inne rozrzucone w jego listowiu, sprawiały, iż potężne drzewo przypominało olbrzymi cis, przygotowany do diabelskich obrzędów.

Dniało już, gdy Thibault się obudził.

Wilki dawno już wróciły do swych nor, sowy i puchacze usnęły w swych gniazdach. Po wczorajszym deszczu nie została nawet chmurka. Promień słońca, jeden z tych pierwszych bladych promieni, które mimo wszystko uznaje się za zwiastuny wiosny, pełzał po gołych jeszcze gałęziach, oświetlając jedynie, z braku listowia, wieczną i ciemną zieleń jemioli.

W oddali słyhać było stłumione dźwięki jakiejś melodii. Powoli jednak dźwięki się przybliżały i można było rozróżnić brzmienia skrzypek i oboju.

Z początku Thibault myślał, że śni. Lecz, że dzień wstał już na dobre, Thibault zdawał się być w pełni przytomny, bohater nasz pojął w lot, że to nie sen. W przekonaniu tym utwierdził go fakt, że gdy przetarł oczy, dźwięki nie tylko nie umilkły, lecz słyhać je było coraz wyraźniej. Szybko zbliżały się do niego.

Jakiś ptak swym trelem odpowiadał na koncert ludzki. Biały kwiat, przebiśnieg, błyszczał niczym gwiazda u stóp krzaka, na którym śpiewał ptaszek. Niebo było błękitne jak w piękny kwietniowy dzień. Cóż znaczyło to święto wiosny w środku zimy?

Śpiew ptaka pozdrawiający niespodziewane nadejście dnia, kielich kwiatka, który błyszcząc w słońcu dziękował mu za przybycie, dźwięki radosne, które jeszcze raz dowiodły wyklętemu nieszczęśnikowi, że ludzie łączą się z resztą przyrody, by doznać szczęścia pod błękitnym nieboskłonem; to wszystko miast ukoić znękaną duszę Thibaulta podwoiło jego gniew i gorycz.

Pragnął, aby cały świat był ciemny i czarny, tak jak dusza. Myślał najpierw, by uciec przed zbliżającym się koncertem. Lecz czuł, że jakaś siła potężniejsza niż jego własna wola przykuła mu stopy do ziemi. Zaszły się więc jeszcze głębiej w swą dębową jaskinię i czekał.

Słyhać było wyraźne, radosne okrzyki, rubaszne piosenki, przemieszane z brzmieniem skrzypek i fletu. Co chwilę rozlegały się huk strzelb lub trzaski pe-tard.

Thibault zrozumiał wreszcie, że wszystkie te radosne dźwięki dochodziły z

wiejskiego wesela.

I rzeczywiście, jakieś sto kroków od niego, u wylotu drogi ukazał się orszak, odświętnie odzianych ludzi w strojach przybranych barwnymi wstążkami, kobiety u pasków, a mężczyźni przy kapeluszach i w butonierkach.

Na czele pochodu szli skrzypkowie kapeli weselnej. Za nimi kilku włościan, przemieszanych ze służbą barona, którą Thibault rozpoznał po stroju. Następnie Engoulevant, nowy psiarczyk, wiódł pod rękę starą ślepą kobietę, umajoną jak inni. W końcu majordomus zamku Vez zastępując prawdopodobnie ojca psiarczyka, idący pod rękę z panną młodą.

Thibault z niedowierzaniem wpatrywał się w pannę młodą. Nie wierzył własnym oczom. Rozpoznał ją jednak bez wątpliwości, gdy zbliżyła się do jego kryjówki na jakieś czterdzieści kroków.

Panną młodą była Angelette.

Angelette!

I to dopełniło jego poniżenia, było ostatnim ciosem zadany jego dumie, Angelette nie była ani blada, ani drżąca, ani ciągnięta siłą do ołtarza, ani też spozierająca od czasu do czasu za siebie, by z tęsknotą przywołać jakieś wspomnienie... Angelette radosna jak ptaszek, jak kwitnący przebiśnieg, jak słoneczny promyk. Angelette dumna ze swego wianka z kwiatu pomarańczy, z welonu i muślinowej, lśniącej sukni, Angelette biała i uśmiechnięta niczym figura Najświętszej Marii Panny w kościele w Villers-Cotterêts.

Wszystkie te cuda zawdzięczała na pewno kasztelanowej zamku Vez, małżonce barona, będącej prawdziwym aniołem dla biednych i potrzebujących.

To co tak cieszyło Angelette, nie było wielką miłością jaką, czuła do swego przyszłego męża. Jej serduszko radowało się, gdyż znalazła to, czego tak gorąco szukała, a co Thibault przyrzekł jej przewrotnie, nie myśląc dać, czyli wsparcie dla starej, ślepej babki.

Muzykanci, państwo młodzi i Weselnicy przeszli drogą dwadzieścia kroków od Thibaulta, nie widząc w dębowej kryjówce ani głowy o ognistych włosach ani

oczu ciskających pioruny.

Cały orszak przeszedł polanę i zagłębił się w las.

Podobnie jak przedtem dźwięki wesela narastały, tak teraz gasły stopniowo. Po jakimś kwadransie nie było już po nich żadnego śladu.

Thibault został jedynie w towarzystwie ćwierkającego ptaszka, rozkwitającego kwiatka i błyszczących promyków słońca.

Nowy ogień zapłonął w jego sercu, ogień straszniejszy od wszystkich, ten który wężę, kłusząc serce, wpuszczają niczym jad najsroźszy: ogień zazdrości!

Widząc Angelette tak świeżą, miłą, niewinną, i to w chwili gdy zaraz miała należeć do innego, Thibault, który od trzech miesięcy nie myślał o niej wcale, Thibault, który nigdy nie zamierzał dotrzymać danej obietnicy, wyobraził sobie, iż nigdy nie przestał jej kochać.

Zdawało mu się, że Angelette jest związana z nim przysięgą, że Engoulevent okrada go z tego, co jest jego własnością. Mało brakowało, a wyskoczyłby ze swej kryjówki by zarzucić dziewczynie zdradę.

Gdy tracił Angelette, w jego oczach nabywała zalet, których istnienia nawet nie podejrzewał, gdy dawniej wystarczało rzec jedno słowo, by ją osiąść. Po wszystkich klęskach, jakich doznał, tracić to co uważał za swój skarb, do którego, jak mu się zdawało mógł zawsze wrócić, było dlań ostatecznym ciosem.

Jego głucha rozpacz stała się jeszcze mocniejsza i głębsza. Gryzł zaciśnięte pięści, bił głową w pień drzewa; w końcu zapłakał.

Lecz przez te łzy nie miękło serce, nie były, jak to się często zdarza, pomostem między złym a dobrym uczuciem. Powodowane wściekłością, raczej gniewem niż żalem nie mogły wygnać z duszy Thibaulta nienawiści.

Zdawało się, że połowa łez wylewa się na zewnątrz, a druga spływa do środka padając na serce niczym straszliwa trucizna.

Sądził, że kocha Angelette. Rozpaczał, że ją stracił. Lecz powodowany tą szaleńczą żalnością chętnie widziałby, jak dziewczyna pada trupem wraz ze swym narzeczonym przed ołtarzem, gdzie kapłan miał ich zjednoczyć.

Na szczęście wszechmogący, który przeznaczył parze młodych inny los nie pozwolił, by owo straszne życzenie powstało w duszy Thibaulta.

Byli niczym podróżnik w czasie burzy, który słyszy grzmot pioruna i widzi mknącą ku ziemi błyskawicę, lecz który ma szczęście uniknąć śmiercionośnego ciosu.

Chwilę później Thibault czerwienił się na myśl o swych łzach i wstydził się swej słabości. Otarł oczy i wyrzucił tamto uczucie z serca.

Wszedł ze swej kryjówki i ruszył biegiem w stronę swej chatki. W kwadrans przebiegł milę. Ten szaleńczy bieg, powodując zmęczenie, sprawił, że poczuł się nieco lepiej. W końcu rozpoznał okolice swego domu.

Wszedł tam jak tygrys do swej pieczary, zatrzasnął za sobą drzwi i przycupnął w najciemniejszym kącie swego nędznego mieszkania. Skulony w kącie, oparł brodę o pięści i począł rozmyślać. Jakież były myśli tego desperata? Spytajcie Milтона, jakie były myśli szatana po jego upadku.

Myślał o marzeniach, które burzyły jego duszę, które unieszczęśliwiły już tylu przed nim i które unieszczęśliwią jeszcze wielu po nim.

Czemu jedni rodzą się słabi, a drudzy potężni? Czemu tyle nierówności w tym, co jest takie same na wszystkich szczeblach drabiny społecznej — w urodzeniu? Jak poprawić naturę, w której wiecznie ślepy traf trzyma atutową kartę?

Zawierając pakt z diabłem, myślał jak szuler, chciał Złego przechytryć. Lecz cóż na tym zyskał? Za każdym razem, gdy wszystko zdawało się iść, jak z płatka i zawsze, gdy był pewny swego, wygrywał diabeł. Jakaż korzyść przyniosła mu przeklęta moc czynienia zła? Żadną. Angelette umknęła, młynarka przepędziła, sędzina wykpiła.

Jego pierwsze życzenie uśmierciło biednego Marcotte'a, nie przynosząc mu nawet kawałka daniela, którego tak pragnął i od którego zaczęło się pasmo jego nieszczęsnych życzeń. Zmuszony był oddać go na pastwę psów barona, by zmyliły trop czarnego wilka.

A na dodatek ta mnogość czerwonych włosów! Przypomniała warunek mę-

drca, który poprosił o ziarnko zboża pomnożone przez każde z sześćdziesięciu czterech pól szachownicy. Ileż zostało mu życzeń? Siedem, może osiem.

Bał się na siebie spojrzeć. Bał się patrzeć w spokojną toń źródelka, drzemiącego u stóp drzewa w lesie, bał się patrzeć w taflę lustra zawieszzonego na ścianie jego domu. Lękał się spojrzeć prawdzie w oczy, zdać sobie sprawę z czasu, kiedy jeszcze będzie się cieszyć swoją mocą. Wolałby zostać na zawsze w ciemności, niż widzieć jutrzeńkę, która rozbłyśnie pod koniec nocy.

Tymczasem musiał być w końcu jakiś sposób, by tak ułożyć bieg spraw, żeby cudze nieszczęście przyniosło mu jakąkolwiek korzyść.

Zdawało mu się, że gdyby otrzymał właściwe wykształcenie, to zamiast być biednym szewcem ledwo umiejącym czytać, znalazłby dzięki nauce sposób, który przyniósłby mu bogactwo i szczęście.

Gdyby był uczonym, znałby legendę o doktorze Fauście. Gdzie zawiodła Fausta wszechmoc udzielona przez Mefistofelesa marzycielowi, myślicielowi, uczonemu? Do zabójstwa Walentego! Samobójstwa Małgorzaty! Do pogoni za Heleną, czyli za cieniem!

Thibault zresztą nie mógł, myśleć rozsądnie bowiem zazdrość zżerała mu serce, gdy w wyobraźni widział piękną Angelette u stóp ołtarza, oddającą swe serce na całe życie innemu.

I komu oddawała swą rękę? Jakiemuś psiarczykowi, Engouleventowi, który zauważył Thibaulta siedzącego wśród listowia i znalazł jego oszczep ukryty w krzakach, co kosztowało go baty wymierzone przez Marcotte'a. Gdybyż wtedy o tym wiedział! Życzyłby nieszczęścia nie Marcotte'owi, ale Engouleventowi!

Czymże były męki, poniżenia jakich doznał, gdy dostawał różgi, wobec cierpień duszy, które go teraz dręczyły. Oto nie porwały go ani pycha, ani zazdrość niczym skrzydła sępa i nie wzniosły ponad jego stan. Jakże szczęśliwy byłby on, zaręczony rzemieślnik, mogący zarobić dziennie nawet sześć franków z przemiłą, śliczną gospodynią, taką jak Angelette!

Bowiem na pewno jego pierwszego kochała Angelette; a być może, wycho-

dząc teraz za innego, wciąż kochała Thibaulta. Tak sobie rozmyślając, szewc czuł, że czas upływa. Nadchodziła noc.

Niezależnie jak skromny był majątek młodej pary, jak wąskie horyzonty wieśniaków, było pewne, że owi właśnie wieśniacy zasiedli już do radosnej uczt weselej.

Ale czemu on nie miałby wieczerzać równie radośnie i obficie? Czyż nie miał w kieszeni pieniędzy za sprzedaną karczmarzowi ze „Złotej Kuli” dziczyznę? Czyż nie mógł wydać na siebie samego tyle pieniędzy, ile para młoda i Weselnicy razem wzięci?

— Do diabła! — rzekł. — Cóż za głupiec ze mnie, że siedzę tu i pozwalam, by zazdrość trawiła mój rozum, a głód żołądek, gdy za godzinę lub dwie dzięki obfitej wieczerzy i dwu lub trzem butelkom wina nie wspomnę nawet o tym wszystkim. Dalej więc jeść, a wszczę-gólności dalej pić!

I życząc sobie dobrego obiadu, obrał drogę do Milon, gdzie w hotelu zapraszała restauracja „Złoty Delfin”, której kuchnia, jak zapewniano, dorównywała dzielom maître’a d'hôtel księcia Orleanu.

BARON RAUL DE VAUPARFOND

Thibault przybywszy do hotelu „Pod Złotym Delfinem” zamówił najlepsze dania, jakie sobie mógł wymyślić.

Nie było przeszkód, by kazać się obsłużyć w osobnym pomieszczeniu; nie cieszyłby się jednak wtedy swym własnym zwyczajem.

Każdy musiał widzieć, jak ze smakiem zjada świetnie upieczonego kurczaka, delikatną rybę w sosie winnym. Każdy musiał widzieć i zazdrościć, jak nalewa sobie trzech różnych trunków, do trzech różnych kielichów. Każdy musiał słyszeć wielkopański ton w jego głosie, gdy zamawiał potrawy, i brzęk złota, gdy płacił.

Przy pierwszym zamówieniu jakiś odziany na szaro mężczyzna, popijający pół butelki wina w najciemniejszym końcu sali, odwrócił się, tak jak człowiek się

odwraca słysząc znajomy głos.

Był to rzeczywiście znajomy Thibaulta z karczmy. Thibault poznał sporo kompanów, od kiedy miał zajmować się szewstwem w dzień, biegał w nocy z wilkami.

Szary odwrócił się szybko twarzą do ściany. Nie na tyle szybko, by Thibault nie rozpoznał w nim Levasseura, osobistego lokaja barona Raula de Vauparfond.

— Hej, Franciszku! — krzyknął Thibault — Czego siedzisz w tym ciemnym kącie jak mysz pod miotłą, zamiast uczciwie i otwarcie jeść na oczach wszystkich, tak jak ja?

Franciszek nie odrzekł nic, tylko dał znak ręką, by Thibault siedział cicho.

— Co? Mam milczeć? A jeśli ja wcale nie chcę milczeć? Jeśli chcę mówić, bo nudno mi jeść samemu. Jeśli chcę powiedzieć: „Franciszku, przyjacielu, chodź tu, zapraszam cię chodź jeść i pić ze mną!” Nie chcesz przyjść? Dobrze! Sam pójdę po ciebie!

Thibault wstał i skupiając na sobie spojrzenia wszystkich gości podszedł do Franciszka, by po koleżeńsku, lecz dosyć mocno klepnąć go w ramię.

— Thibault, udawaj żeś się pomylił, bo stracę przez ciebie posadę. Czyż nie widzisz, że zamiast zwykłej liberii mam na sobie szary kaftan? Jestem tu w sprawach sercowych mego pana i oczekuję listu, który mam tu otrzymać.

— A to zupełnie inna sprawa. Niemniej jednak chcę się z tobą napić, proszę więc wybaczyć moją niedyskrecję.

— Nic prostszego: każ podać do osobnego gabinetu, a ja powiem temu gar-kołukowi, aby jeśli przyjedzie taki szarak jak ja, kazał mu wejść. Między przyjaciółmi nie ma tajemnic.

— Dobrze — odparł Thibault.

Zawołał kelnera i kazał zanieść swój posiłek na pierwsze piętro do gabinetu, którego okno wychodziło na ulicę.

Franciszek usiadł tak, by z daleka widzieć, jak ten, którego oczekiwał, będzie schodził gościńcem ze wzgórza.

Wieczera, którą Thibault zamówił dla siebie samego, była wystarczająco obifita i starczyło potraw dla obu biesiadników. Nie zamówił nic nowego, z wyjątkiem dwóch czy trzech butelek wina.

Thibault wziął co prawda tylko dwie lekcje od Magloire'a, lecz były tak skuteczne i na takim poziomie, że teraz mógł z nich korzystać.

Warto także, pamiętać, że Thibault chciał zapomnieć o pewnej sprawie i przede wszystkim w tym względzie liczył na wino. Uznał więc za szczęśliwy traf to, że spotkał kolegę, z którym mógł pogadać. Zresztą w stanie ducha w jakim był obecnie nasz bohater, człowiek upija się tak samo winem jak własnymi słowami.

Ledwo usiedli, a Thibault nacisnął mocniej kapelusz na głowę, by ukryć barwę swych włosów, zamknęto drzwi i nasz bohater rozpoczął rozmowę, jak to się mówi, biorąc byka za rogi.

— Dobra, drogi Franciszku — rzekł — wytłumacz mi, proszę, cóż znaczą te dziwne słowa, których nie zrozumiałem?

— To wcale nie jest dla mnie niespodzianką, drogi przyjacielu — odparł nonszalancko Franciszek rozwalając się na krześle. — My, lokaje wielkich panów, mówimy dworskim językiem, a nikt poza szlachtą i nami oczywiście, tego języka nie rozumie.

— Zgoda, ale skoro wam go tłumaczą, to da się przecież jakoś zrozumieć.

— Oczywiście! Pytaj więc, a ja ci odpowiem.

— Świetnie. Ja tymczasem postaram się skropić nieco twoje odpowiedzi, by łatwiej z ciebie wyszły, a do mnie lepiej dotarły. Po pierwsze, cóż to jest szarak? Aż do dziś myślałem, że to po prostu zajac.

— Sam jesteś zajac! — odparł Franciszek śmiejąc się z ignorancji szewca. — Nie, szarakiem nazywamy lokaja w liberii, którego chwilowo okrywa szary płaszcz, tak żeby liberia nie była widoczna, gdy on tymczasem ma za zadanie strzec tyłów orszaku lub pilnować drzwi.

— Jesteś więc na warcie, drogi przyjacielu. A któż ma przyjść cię zmienić?

— Champagne, ten który jest na służbie hrabiny de Mont-Gobert.

— Dobra, rozumiem, twój pan, baron de Vauparfond, jest zakochany, w hrabinie de Mont-Gobert. Czekasz tu na jej list, który ma ci przynieść Champagne.

— Wybornie, celująco! Jak mówi nauczyciel młodszego brata pana Raula.

— Szczęściarz, ten pan Raul!

— Pewnie — zgodził się Franciszek, wychylając kieliszek.

— A niech to diabli! Urodziwa kobieta z tej hrabiny!

— Widziałeś ją kiedyś?

— Widziałem, jak goniła jelenia wraz z księciem Orleanu i panią de Montesson.

— Przyjacielu, wiedz że nie mówi się gonić jelenia lecz polować z nagonką.

— Och! — odparł Thibault. — Wielka mi różnica! Zdrowie pana, Raula de Vauparfond!

Franciszek odstawiając kielich cicho krzyknął. Zauważył właśnie Champagne'a.

Otworzyli okno i wezwali do siebie trzeciego kompana.

Champagne z intuicją i bystrością właściwą lokajom z dobrych domów, w mig zrozumiał w czym rzecz i wszedł na górę.

Był, podobnie jak jego kolega, odziany w szary płaszcz. Przyniósł list.

— I co? — spytał Franciszek Champagne'a, a widząc w jego rękach list od hrabiny de Mont-Gobert — Czy mamy dziś rendez-vous?

— Tak — odparł radośnie Champagne.

— Świetnie — przyklasnął wesoło Franciszek.

Ta wspólna radość lokai i ich państwa zdziwiła Thibaulta.

— Czy szczęście waszych państwa tak was cieszy? — zagadnął.

— Bynajmniej. Lecz kiedy baron jest zajęty, ja jestem wolny.

— A korzystasz z tej wolności?

— A jakże! — wykrzyknął Franciszek wychylając kolejny kielich. — Każdy ma swoje miłości, nawet jeśli jest się lokajem, człek stara się wykorzystać swój czas jak najlepiej.

— A ty, Champagne?

— Ja, — odparł powoli nowo przybyły podziwiając pod światło rubinowy płyn lśniący w jego kielichu — także mam nadzieję nie stracić wolnej chwili.

— Za wasze miłości! — wznosił toast Thibault. — Gdyż każdy kocha lub jest kochany!

— I za twoje — rzekli chórem obaj lokaje.

— Ja — odparł z wyrazem głębokiej nienawiści do rodu ludzkiego — Ja jestem jedynym, który nie kocha i nie jest kochany.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Thibaulta z pewnym zdziwieniem.

— Hm! — odezwał się Franciszek. — Czyżby było prawdą to, co szepcą o tobie ludzie?

— O mnie?

— Tak, o tobie — stwierdził Champagne.

— A więc mówią to samo od Vauparfond do Mont-Gobert.

Champagne potakująco skinął głową.

— No więc — spytał Thibault. — Cóż mówią?

— Że jesteś wilkołakiem — rzekł Franciszek.

Thibault wybuchnął śmiechem.

— Hejże, czy mam ogon'? Czy mam pazury i kły? Czy mam łeb wilka?

— Powtarzamy tylko to co mówią — uciał Champagne.

— Przyznajcie jednak, że wilkołaki piją dobre wino.

— Święta prawda — odrzekli obaj lokaje.

— A więc, panowie, zdrowie diabła, który nam je daje!

Obaj mężczyźni, którzy już wzniesli kielichy do ust, odstawili je na stół.

— Cóż to? — spytał Thibault.

— Znajdź sobie kogoś innego do spełniania takiego toastu, bo ja tego nie wypiję — burknął Franciszek.

— Ani ja — zaproponował Champagne.

— Skoro tak, sam wypiję wszystkie trzy puchary.

I rzeczywiście sam wysuszył zawartość trzech kielichów.

— Przyjacielu, czas się rozstać.

— Już? — zdziwił się Thibault.

— Mój pan mnie oczekuje i to z wielką niecierpliwością... Proszę o list, Champagne.

— Trzymaj.

— Opuścimy więc naszego przyjaciela Thibaulta i oddalimy się do naszych przyjemności czy obowiązków, a jego zostawmy przy jego przyjemnościach i obowiązkach.

I mówiąc te słowa spojrzeli po sobie znacząco.

— Hola! Nie rozejdziemy się przecież bez strzemiennego!

— Nie w tych szklankach — rzeki Franciszek wskazując kieliszki, z których nasz bohater wypił za zdrowie wroga rodzaju ludzkiego.

— Jeśli się brzydzicie, zawołajcie kościelnego, niech przemyje je wodą święconą!

— Bez przesady! By jednak nie odmówić twojej grzeczności, zawołamy chłopaka niech przyniesie inne.

— Więc te, — rzekł Thibault, któremu wino uderzyło powoli do głowy — te nadają się tylko do wyrzucenia na ulicę? Idź do diabła! — krzyknął wyrzucając naczynie przez otwarte okno.

Kielich, ciśnięty pod tym adresem zakreślił w powietrzu świetlisty szlak, który zgasł, jak gaśnie błyskawica.

Drugi zapłonął i zgasł podobnie jak pierwszy.

Po drugim Thibault, chwycił trzeci.

Gdy go rzucił, rozległ się potężny grzmot pioruna.

Thibault zamknął okno i zajął swe miejsce za stołem, szukając naprędce jakiegoś wytłumaczenia zjawiska, jakiego był sprawcą, i które przedstawiłby swoim kompanom.

Oni jednak zniknęli.

— Tchórze! — mruknął pogardliwie szewc.

Następnie zaczął szukać wzrokiem po stole jakiegoś kieliszka. Lecz nie było już żadnego.

— Też mi kłopot! — rzekł do siebie Thibault. — Napiję się prosto z butelki!

I zgodnie z zapowiedzią skończył posiłek popijając wino bez pomocy szklanki czy kieliszka; nie polepszyło to jednak równowagi jego ducha, mocno nadwątlonej.

O dwunastej Thibault zawołał karczmarza, zapłacił rachunek i wyszedł. Był w nastroju zdecydowanie wrogim całej ludzkości. Myśl, od której chciał uciec, prześladowała go.

Angelette, w miarę jak upływał czas, umykała mu coraz bardziej. Każdy miał kogoś kogo kochał, czy to żonę, czy kochankę. Dzień, który dla niego był pełen goryczy, dla innych miał być dniem radości i szczęścia.

Każdy o tej porze — pan Raul, a także Franciszek, Champagne, dwaj nędzni lokaje, wszyscy oni podążali za błyszczącą gwiazdą szczęścia. On jeden szedł błędząc ciemną nocą. Był więc przeklęty.

Lecz jeśli był przeklęty, przypadać mu winny w udziale uciechy przeklętych. Miał więc prawo ich żądać.

Myśli te plątały mu się pod czaszką, podczas gdy Thibault bluźniąc głośno i wygrażając niebu pięścią szedł leśnym gościńcem, prowadzącym prosto do jego chatki, od której dzieliło go nie więcej jak sto kroków. Wtem usłyszał za sobą tętent kopyt

— Proszę, proszę! — mruknął do siebie. — Oto baron de Vauparfond pędzi na swoje rendez-vous. Setnie bym się ubawił, gdyby hrabia de Mont-Gobert zastał cię in flagranti! Nie przeszłoby to tak gładko jak z głupim i tchórzliwym Magloire! Tu szczęknełoby żelazo!

Zajęty wyobrażaniem sobie, co by się stało, gdyby hrabia zaskoczył barona, Thibault, który kroczył środkiem drogi nie zszedł na bok wystarczająco szybko, więc jeździec widząc przed sobą chłopka zagradzającego mu drogę, wymierzył

mu potężny cios szpicrutą i krzyknął:

— Na bok chamie!

Thibault jeszcze nieco pijany, poczuł naraz cięcie szpicruty, uderzenie końskiego ciała, zimno, błoto i wodę, w które potoczył się bezwładnie.

Jeździec pomknął dalej.

Wściekły, Thibault podniósł się na jedno kolano, i wymachując pięścią znikającemu cieniowi, krzyknął:

— Na Belzebuba! Czemu nie mam, choćby raz w życiu, przez jedną dobę miał być szewcem Thibault zostać wielkim panem, gnać na rączym wierzchowcu, miał wlec się piechotą, chłostać przechodniów, których spotkałem po drodze, kochać piękne damy, które jak hrabina de Mont-Gobert, zdradzają swych mężów!

Ledwo Thibault wypowiedział swe życzenie, rumak barona Raoula potknął się i jeździec wyleciał jak z procy, padając bezwładnie na drogę.

POKOJÓWKA WIELKIEJ DAMY

Widząc wypadek, jaki wydarzył się młodemu szlachcicowi, który lekką ręką wymierzył mu kilka sekund wcześniej cios, od czego jeszcze piekły go plecy, Thibault poderwał się i pomknął jak strzała zobaczyć, w jakim stanie znajduje się baron.

W poprzek drogi leżało rozciągnięte ciało jeźdźca, a obok stał koń gniewnie parskając.

Rzecz dziwna, lecz naszemu bohaterowi zdawało się, że człowiek rozciągnięty w błocie nie był tym samym, który przed kilkoma minutami minął go galopem, zadając przy tym bolesny cios.

Po pierwsze leżący odziany był nie jak szlachcic, lecz jak chłop. Poza tym, Thibault odnosił wrażenie, że odzienie to było tym, samym, które przed chwilą miał na sobie.

Jego zdziwienie, zmieniło się w osłupienie, gdy stwierdził, że leżące bez ducha ciało ma nie tylko jego strój, lecz także jego twarz.

Nie posiadając się ze zdumienia, Thibault skierował wzrok na siebie i stwierdził całkowitą odmianę swego ubioru.

Jego nogi były obute nie w trzewiki i onuce, lecz w eleganckie botki francuskie sięgające do kolan, o cholewkach miękkich jak aksamit, plisowanych na śródstopiu i dźwięczących parą srebrnych ostróg.

Spodnie, przedtem ze zgrzebnej materii, teraz z najmiększego zamszu zapinane były pod kolanem na złote sprzączki.

Jego własny kaftan uszyty ze zgrzebnego płótna w kolorze oliwki ustąpił miejsca eleganckiemu surdutowi myśliwskiemu ze złotymi guzikami. Pod surdudem biała pikowana kamizelka, a między jej wyłogami, na artystycznie wprost pikowanej koszuli, spływały fałdy batystowego fularu.

Nawet jego filcowy, sfatygowany kapelusz zmienił się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w elegancki pieróg, zdobiony galonem podobnym do szamerunków lśniących na surducie.

Poza tym, zamiast używanego przez chłopów jako broni, sękatego kija, który dzierżył w ręku jeszcze przed minutą posługując się nim raz jako laską, raz jako maczugą, teraz tkwiła w jego ręku leciutka szpicruta. Świst trzcinki, którą wymachiwał, sprawił iż poczuł się jak prawdziwy wielki pan.

W tali ściśnięty był pasem, u którego zwisał długi, lekki, myśliwski kordelas.

Thibault był zachwycony swym nowym strojem i ze zrozumiałym w tej sytuacji odruchem kokieterii, zapragnął zobaczyć, czy mu w tym kostiumie do twarzy.

Jak jednak mógł to uczynić w mrokach nocy?

Rozejrzał się wokół siebie i stwierdził, że jest dziesięć kroków od swej chatki.

— Ach! Nic prostszego! Czyż nie mam własnego lustra? — rzekł do siebie.

I Thibault ruszył do drzwi swej chatki, pragnąc niczym Narcyz rozkoszować się w spokoju własną urodą.

Lecz drzwi domku były zamknięte. Nie mógł znaleźć klucza. Szperając po kieszeniach trafił na pełny trzos, tabakierę wysadzaną kamieniami oraz mały syczoryk z rękojeścią z kości słoniowej i złota.

Gdzież mógł być klucz od jego domu?

Nagle genialna myśl rozświetliła mroki jego umysłu: klucz musiał być w kieszeni tego drugiego Thibaulta, leżącego na drodze.

Wrócił tam więc, wywrócił na wierzch kieszenie spodni leżącego, od razu znalazł klucz i kilka grubych miedziaków.

Ujął końcami palców klucz i podszedł do drzwi.

W chatce było jeszcze ciemniej niż na zewnątrz.

Thibault szukając po omacku znalazł hubkę z krzesiwem i począł rozpalać ogień. Po kilku chwilach ogarek świeczki wetknięty do pustej butelki zapłonął mdłym światłem.

Nasz bohater nie mógł jednak dokończyć całej operacji nie dotykając swej lampki.

— Tfu! — wykrzyknął z obrzydzeniem — Cóż za świnię z tych chłopów! Jak mogą żyć w takim brudzie!

Świeca jednak płonęła, a to było najważniejsze.

Thibault ściągnął lustro ze ściany, zbliżył twarz do świeczki i spojrzał w lustro.

Ledwo jednak ujrzał w nim ludzką twarz, z jego piersi wyrwał się okrzyk zdziwienia.

To już nie był on, a ściślej mówiąc była to jego dusza, lecz nie jego ciało. Ciało, w którym zamieszkała teraz jego dusza, należało do przystojnego, młodego mężczyzny w wieku dwudziestu pięciu, dwudziestu sześciu lat, o błękitnych oczach, gładkich rumianych policzkach, czerwonych wargach i białych zębach.

Była to cielesna powłoka barona Raula de Vauparfond.

Thibault przypomniał sobie teraz życzenie, które wypowiedział w gniewie, cięty szpicrutą i potracony przez konia.

Życzył sobie być przez jedną dobę baronem de Vauparfond, a baronowi de Vauparfond, by był przez ten czas szewcem Thibault. To tłumaczyło fakt, który z początku zdawał mu się być niewytłumaczalny, że bezwładne ciało leżące na gościńcu zostało odziane w jego strój i przyozdobione jego twarzą.

— Do diaska! Trzeba rozważyć jedno: wydaje mi się, że jestem tutaj, ale tak naprawdę jestem tam. Muszę uważać, żeby w ciągu tych dwudziestu czterech godzin, na które opuściłem swe ciało, nie przytrafiło mi się jakieś nieodwracalne nieszczęście. Hejże, bez fochów baronie! Przeniesiemy Thibaulta i ułożymy go wygodnie na posłaniu.

I przewyciężając arystokratyczny wstręt odstręczający go od tej drobnej przysługi, Thibault chwycił bezwładne ciało przeniósł je z gościńca na łóżko.

Ułożywszy wygodnie na łóżku, Thibault zdmuchnął płomyk, z obawy, by w czasie snu temu drugiemu nie przytrafiło się jakieś nieszczęście; starannie zamknął drzwi i ukrył klucz w dziupli, w której miał zwyczaj go chować, gdy nie chciał go nosić ze sobą.

Po czym ujął wodze wierzchowca i wskoczył na siodło. Pierwsze chwile były pełne niepewności.

Thibault, który dużo chadzał piechotą, a konno nie jeździł prawie wcale, był raczej marnym jeźdźcem. Bał się, że kiedy znajdzie się w siodle, nie będzie umiał utrzymać równowagi, gdy wierzchowiec nagle ruszy z kopyta.

Zdaje się jednak, że dziedzicząc po Raulu ciało odziedziczył po nim również umiejętności. Gdy koń, zwierzę bystre, korzystając z chwilowej dezorientacji jeźdźcy, zamierzał pozbyć się ciężaru, Thibault instynktownie ściągnął wodze, ścisnął kolana, wbił ostrogi w boki rumaka i strzelił dwa czy trzy razy szpicrutą, co przywołało go do porządku. Thibault, nie wiedząc o tym okazał się wybornym jeźdźcem.

Ten sukces pomógł mu w pełni zdać sobie sprawę z dwoistości położenia. Cieleśnie, od stóp do głów był baronem de Vauparfond. W duszy pozostał sobą.

Było oczywiste, że w bezwładnym ciele Thibaulta drzemała dusza młodego

szlachcica, który użyczył mu swojej powłoki.

Chociaż dusza szewca została wtłoczona do ciała arystokraty, zaś do korpusu szewca wlany animusz szlachcica, miał Thibault tylko niejasne przeczucie tego, co powinien uczynić. Wiedział, że winien jechać do Mont-Gobert, zgodnie z życzeniem hrabiny wyrażonym w liście.

Lecz cóż ponadto mówił ów list? Kiedy go oczekiwała? Jak dostanie się do zamku?

A że nie miał o tym pojęcia, trzeba było krok po kroku wszystkiego się dowiedzieć.

Szawc wpadł na pewien pomysł. Przecież z pewnością miał przy sobie list napisany przez hrabinę do Raula. Obmacał ubranie i wyczuł w bocznej kieszeni surduta coś, co mogło być tym, czego szukał.

Osadził konia w miejscu. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął skórzany portfelik, pokryty perfumowanym atłasem.

W jednej przegródce było sporo listów, w drugiej zaś tylko jeden. Z niego prawdopodobnie dowie się tego, o czym chciał wiedzieć.

W tym celu należało list przeczytać.

Thibault był o ćwierć mili od wsi Fleury. Pognał więc konia, w nadziei, że znajdzie jeszcze oświetlony dom.

Wieśniacy jednak wcześniej kładą się do snu, a w tamtych czasach kładziono się jeszcze wcześniej niż dziś. Thibault przemierzył całą wieś nie znajdując ani jednego światełka. W końcu zdawało mu się, że słyszy w stajni oberży jakiś ruch.

Zawołał. Po chwili wszedł parobek z lampką.

— Przyjacielu — rzekł Thibault, zapominając o swym nowym stanie. — Czy byłbyś łaskaw poświecić mi? Bardzo byś mi pomógł.

— I po to mnie pan wyciągasz z łóżka? — grubiańsko odparł parobek. — Chyba z byka spadłeś! — i odwracając się skierował się do stajni.

Thibault zrozumiał, że obrał złą taktykę.

— Hola, chamie! — ryknął. - Chodź tu zaraz i poświeć mi albo zleją ci pysk

batem!

— Błagam o wybaczenie, jaśnie panie — jęknął parobek. — Nie wiedziałem z kim mam zaszczyt.

I wspiał się na czubki palców, by jak najlepiej oświetlić kartkę trzymaną przez Thibaulta.

Ten otworzył kopertę i zaczął czytać.

Drogi Raulu,

Boska Wenus ma nas w swojej opiece. Nie wiem, co za wielkie polowanie szukuje się w okolicy Thury, lecz wiem, że on wyjeżdża dziś wieczór.

Wyjedź o dziewiątej, by być tu o wpół do jedenastej. Wejź tamtędy, którądy wiesz. Oczekiwać cię będzie wiesz kto i zaprowadzi cię tam, gdzie wiesz.

Wydaje mi się, bez urazy, że przy ostatniej wizycie, zatrzymaliście się dość długo w korytarzach.

Jane

— Do diabła! — syknął Thibault.

— Słucham, jaśnie panie? — spytał usłużnie parobek.

— Nic, głupcze, prócz tego, że nie jesteś mi już potrzebny. Możesz odejść.

— Szczęśliwej drogi, jaśnie panie! — rzekł parobek kłaniając się w pas. po czym schował się w stajni.

— Do diabła! — powtórzył Thibault. — Nic nowego się nie dowiedziałem, prócz tego, że chroni nas jakaś tam Wenus, że „on” dziś wyjeżdża do Thury, że ona oczekuje mnie o wpół do jedenastej i że zdrobniale jej imię brzmi Jane. Wchodzę tam, gdzie wiem, oczekuje mnie ten, co wiem i zaprowadzi mnie tam dokąd wiem.

Thibault podrapał się w głowę, co jest zazwyczaj oznaką zakłopotania.

Miał zamiar obudzić duszę barona de Vauparfond, śpiącą w ciele Thibaulta. Lecz zajęłoby to sporo czasu, pojawić się też mogły i inne komplikacje. Dusza

barona Raula, widząc ciało przydane jej przez stwórcę w takiej bliskości, mogła powziąć zamiar, by doń powrócić. A stąd już tylko krok do walki, w której Thibault nie mógł się bronić inaczej, niż ryzykując najwyższą stawkę.

Musiał więc znaleźć inny sposób. Nasz bohater wielokrotnie słyszał opowieści o mądrości zwierząt, a w swym życiu nie raz i nie dwa przekonał się o ich zasadności. Zdecydował się zatem zawierzyć swemu rumakowi.

Dotarł więc do drogi, skierował konia na Mont-Gobert i popuścił wodze. Koń ruszył galopem. Było całkiem jasne, że wierzchowiec wszystko zrozumiał. Thibault nie martwiąc się już o nic, zdał się na swego rumaka.

Dotarłszy do załomu muru otaczającego park, zwierzę zatrzymało się, lecz nie dlatego, by się wahało, którą obrać drogę; koń strzygł uszami i wydawał się niespokojny.

Thibaultowi wydawało się przez chwilę, że widzi jakieś cienie i były to na pewno dwa cienie, więc wspiął się w strzemionach, wyteżył wzrok i rozglądał się bacznie na wszystkie strony, niczego jednak nie zobaczył.

Przyszło mu do głowy, że to mogą być dwaj kłusownicy konkurujący z nim w dostawach do oberż, którzy chcą się dostać do parku.

Lecz do czasu, aż ktoś go zatrzyma, mógł korzystać z wierzchowca również jako z przewodnika.

Tak więc uczynił i znów popuścił wodze. Koń mądre zwierzę idąc wzdłuż muru parkowego, stapał po zaoranej, miękkiej ziemi, nie próbując nawet rzeć czy parskać, zupełnie jakby wiedział, że nie powinien czynić hałasu, a w każdym razie jak najmniej.

Dotarłszy do kolejnego narożnika, skęcili wzdłuż muru, aż koń zatrzymał się przy niewielkim wyłomie.

— Dobra — mruknął Thibault. — To zapewne tędy mamy wejść.

Koń zbliżył nozdrza do wyłomu i pogrzebał kopytem w ziemi. Odpowiedź była jasna. Thibault puścił wodze i koń pokonał wyłom. Rumak i jeździec byli już w parku.

Pierwsza z trzech przeszkód została pokonana.

Thibault przeszedł „tam, gdzie wiedział”. Pozostało znaleźć właściwą osobę, czyli „tę, co wiedziała”.

I znów genialny wierzchowiec przyszedł mu z pomocą.

Po niespełna pięciu minutach koń stanął jakieś sto kroków od zamku, przed altaną z surowych bali, które stawia się w parku w celu urządzenia, jak to mówią malarze, plenerów.

Na stukot końskich kopyt uchyliły się drzwi altany, przy której zatrzymał się rumak i wyszła miła pokojówka.

— To pan, panie baronie? — spytała szeptem.

— Tak, moje dziecko, to ja. — odpowiedział Thibault zsiadając z konia.

— Pani bała się, że ten pijak Champagne nie przekazał listu.

— Myliła się. Champagne spisał się doskonale.

— Chodźmy. Proszę zostawić tu konia.

— Ale kto go pilnuje.

— Ten, kto zwykle, Cramoisi.

— Prawda — przytaknął Thibault, jak gdyby te szczegóły były mu świetnie znane.

— Chodźmy już — powtórzyła służąca — pospieszmy się, bo pani znów powie, żeśmy się zatrzymali w korytarzu. — Mówiąc te słowa, które przypomniały Thibaultowi jedno ze zdań wiadomego listu, pokojówka śmiała się, przy czym odsłoniła rządęk zębów białych jak perły.

Tym razem Thibault miał ochotę się zatrzymać nie w korytarzu, lecz w parku. Dziewczyna jednak przystanęła w pół kroku, jakby czegoś nasłuchiwała.

— Co się stało? — spytał Thibault.

— Zdawało mi się, że gdzieś trzasnęła gałązka.

— Pewnie to pod nogą Cramoisi.

— Tym bardziej powinien być pan grzeczny, panie baronie... w każdym razie tutaj.

— Nie bardzo rozumiem.

— A czyż Cramoisi nie jest aby moim narzeczonym?

— Ach, tak! Rzeczywiście! Ale zawsze, kiedy jestem z tobą sam na sam, moja Rózo, zapominam o tym.

— Od kiedy to mam na imię Róza! Panie baronie, nigdy nie widziałam człowieka tak zapominalskiego.

— Mówię tak dlatego, że Róza jest królową kwiatów, tak jak ty jesteś królową pokojówek.

— Panie baronie, zawsze uważałam, że jest pan wyjątkowo miły, lecz dzisiaj pan przechodzi samego siebie.

Thibault dumny napuszył się jeszcze bardziej. Pamiętajmy, że list był adresowany do barona, a odczytany przez szewca.

— Oby twoja pani była tego samego zdania — odrzekł Thibault.

— Och! Z wielkimi damami jest tak, iż dla nich najbardziej uduchowiony jest ten, kto milczy.

— Zapamiętam tę radę — odrzekł Thibault.

— Tss! — uciszyła go pokojówka. — Czy widzi pan hrabinę za firanką okna buduaru? Proszę ostrożnie iść za mną.

Teraz musieli przemierzyć otwartą przestrzeń, rozciągającą się między parkiem, a schodami prowadzącymi do pałacowego wejścia.

Thibault ruszył w kierunku schodów.

— Proszę pana — zaniepokoiła się służąca chwytając go za rękę. — Co pan robi!

— Nie mam pojęcia, Suzette.

— Teraz znów mam na imię Suzette! Pan baron jest łaskaw, jak sądzę, dawać mi kolejno imiona wszystkich swoich kochanek! Proszę tedy! Nie będzie pan przecież szedł przez pokoje! To dobre dla wielmożnego hrabiego!

Pokojówka wprowadziła Thibaulta przez małe drzwiczki, za którymi po prawej stronie wznosiły się spiralne schody.

Gdy dotarli do połowy, Thibault objął ramieniem smukłą kibić służącej.

— Czyż nie jesteśmy już w korytarzu? — spytał szukając ustami ust pięknej dziewczyny.

— Jeszcze nie — odparła — ale to nic nie szkodzi.

— Na mą duszę — pomyślał. — Gdybym tego wieczoru miał na imię Thibault, a nie Raul, przysięgam ci, moja droga Marcysiu, że wszedłbym na poddasze, zamiast zatrzymać się na pierwszym piętrze.

Nagle dało się słyszeć skrzypienie drzwi.

— Już dość, panie baronie! Pani się niecierpliwi!

I ciągnąc Thibaulta za sobą, dotarła do korytarza, otworzyła jedno z drzwi, wepchnęła Thibaulta do pokoju i zamknęła je za nim, sądząc, że zamyka je za baronem de Vauparfond, czyli jak orzekła, najbardziej roztargnionym człowiekiem na świecie.

HRABINA DE MONT-GOBERT

Thibault wszedł do pokoju.

Jeśli wspaniałość mebli sędziego Magloire, wyciągniętych z lamusa księcia Orleanu zachwyciła Thibaulta, to harmonia i smak z jakim urządzono pokój hrabiny odurzyły go z kretesem.

Nigdy jeszcze to dziecię lasu nie widziało nawet w marzeniach czegoś podobnego. Nie można bowiem marzyć o tym, czego istnienia nawet się nie podejrzewa.

Oba okna pokoju zakrywały podwójne zasłony. Pierwsze były z białej tafty zdobionej koronkami. Drugie z błękitnego chińskiego atlasu, wyszywanego w srebrne kwiatki.

Łóżko i toaletka okryte tą samą tkaniną co okna tonęły w pianie brukselskich koronek.

Ściany obito jasno różową taftą, na której zwieszały się złożone w wielkie

fałdy indyjskie muśliny, drżące jak mgiełka przy najmniejszym podmuchu.

Plafon zdobiło malowidło pędzla Bouchera, przedstawiające Wenus w kąpieli. Amorki trzymały na rękach różne części składające się na kobiecy rynsztunek; ponieważ jednak wszystkie części zbroi Wenus dzierżyli jej służebnicy, ich pani była zupełnie rozbrojona, nie licząc wążutkiej przepaski. Malowidło podtrzymywały kasetony, przedstawiające wyobrażenia wysp Knidos, Pafos i Cypru.

Meble, krzesła, fotele, kozetki ustawione *vis-à-vis* pokryte były chińskim atłasem, takim samym jak zasłony. Dywan, w jasnym zielono-morskim kolorze, zdobiły rozsiane tu i tam bukiety maków, margaretek i chabrow. Stolik był z drewna różanego. Narożniki z chińskiej laki. Wszystko to oświetlało sześć świec z różowego wosku, wetkniętych w dwa kandelabry.

W powietrzu unosiła się delikatna, słodka i nieokreślona woń. Nie można było rozpoznać, z jakich sporządzono ją esencji. Nie była to woń, lecz emanacja.

Thibault chłonał wszystko jednym spojrzeniem, jakby jednym tchem. Przed jego oczami stawały kolejno: chatka, Angelette, pokój młynarki, sypialnia sędziny. Następnie wszystko zniknęło ustępując miejsca cudownemu rajowi miłości, do którego dostał się jak we śnie.

Nie wierzył własnym oczom. Zastanawiał się, czy naprawdę istnieją ludzie tak obdarzeni przez los, że zamieszkują podobne pałace. Cóż dobrego uczynili ci, którzy cieszą się tak wielką łaskawością Boga? Cóż złego uczynili ci, którzy są jej pozbawieni? Czemu, zamiast życzyć sobie, by być przez dobę Raulem de Vauparfond, nie życzył sobie być przez całe życie pieskiem hrabiny? Jakże po tym wszystkim wróci do dawnego stanu?

Jego myśli przerwało otwarcie drzwi od buduaru, przez które wyszła hrabina.

Doprawdy była jak ptak tego niebiańskiego gniazda, jak kwiat w tym wonnym bukiecie.

Rozpuszczone włosy spięte tylko dwoma lub trzema diamentowymi spinkami, po części spływały swobodnie na plecy, po części zaś, splecione w jeden lok,

opadały na pierś. Ciało giętkie i jędrne, uwolnione z gorsetów, odcinało się harmonijnymi liniami pod szlafroczykiem z różowego jedwabiu, obszytego koronkami.

Widząc tak piękną postać, Thibault padł na kolana. Zginał się, przytłoczony przepychem i pięknem, które zdawały się być nierozdzielne.

— Och, tak! Padaj na kolana, niżej, niżej, jeszcze... Całuj me stopy, dywan, ziemię, a i tak ci nie wybaczę... Jesteś potworem!

— Jeśli porównam się do ciebie, o pani! Jestem czymś jeszcze gorszym.

— Udajesz jeszcze, że nie rozumiesz sensu mych słów! I że gdy ja, mówię o duszy, ty mówisz o ciele. Z pewnością byłbyś potworem brzydoty, gdyby twoja nędzna dusza była widoczna na twarzy, lecz tak nie jest. Albowiem, mój panie, mimo swych wszystkich grzechów, bezceństw, kłamstw, pozostajesz najprzystojniejszym kawalerem w okolicy. Powinieneś się wstydzić!

— Bycia najprzystojniejszym kawalerem w okolicy? — spytał Thibault, który wyczuł w jej głosie, że zbrodnia, którą popełnił jest w zupełności do wybaczenia.

— Nie, mój panie, lecz tego, żeś jest najczarniejszą duszą, sercem nieszczerym, które skrywasz w złotej kopercie. Powstań proszę, i zdaj mi sprawę ze swego zachowania.

Hrabina wyciągnęła dłoń do Thibaulta, dłoń, która dając przyrzeczenie, żądała w zamian pocałunku.

Thibault ujął piękną rączkę i pocałował. Nigdy jeszcze jego wargi nie dotykały tak delikatnego ciała.

Hrabina wskazała fałszywemu Raulowi miejsce na kozetce i usiadła pierwsza.

— Proszę opowiedzieć co się, mój drogi działo od twojej ostatniej wizyty — zaczęła hrabina.

— Proszę mi najpierw powiedzieć, droga hrabino, kiedy to miała miejsce moja ostatnia tutaj wizyta?

— Dobrze! Zapomniałeś? Proszę, proszę! Do takich rzeczy nie wolno się nawet przyznawać, o ile nie chce się, oczywiście, zerwać związku.

— Wręcz przeciwnie, droga Jane, ta wizyta jest mi tak bliska, że zdaje mi się, że to było wczoraj, a jakich wspomnień bym nie przywołał, to nie popełniłem od tamtego czasu żadnej zbrodni, prócz tego, że cię Kocham.

— Nieźle, lecz nie wykręcisz się z tego komplementem.

— Droga hrabino, a gdyby tak przelożyć na później te tłumaczenia?

— Nie, najpierw opowiedz mi, cóżeś wyprawiał przez te pięć dni, podczas których cię nie widziałam?

— Czekam, aż mi to powiesz, o' pani. Jak mogę, pewny swej niewinności, oskarżać sam siebie.

— Dobrze. Po pierwsze pomińmy twe wyczyny w korytarzu...

— Ależ nie! Pomówmy o nich! Jakże możesz myśleć, że mógłbym, oczekiwany przez ciebie, przez brylant brylantów, bawić się i zbierać po drodze sztuczne perły?

— Mój Boże! Mężczyźni są tak kapryśni, a Lisette taka śliczna!

— Ależ, moja droga Jane, przecież ta dziewczyna, jako nasza zaufana, zna wszystkie tajemnice, nie mogłem jej więc traktować jak zwykłej służącej.

— Jak to ładnie brzmi: „Zdradzam hrabinę de Mont-Gobert i jestem rywalem pana Cramoisi”.

— Dobrze, nie zatrzymam się już więcej w korytarzach, nie będę więcej całować Lisette, zakładając, że w ogóle ją całowałem.

— To jeszcze nic!

— Czyżbym uczynił coś jeszcze gorszego?

— Skąd wracałeś o drugiej w nocy, gdy spotkano cię na drodze z Erneville do Villers-Cotterêts?

— Spotkano mnie na drodze?

— Na drodze z Erneville. Skąd wracałeś?

— Z połowu.

— Jak to z połowu?

— Tak, z połowu. Łowiliśmy ryby na stawach Berval.

— No tak, rzeczywiście, powszechnie wiadomo, że jesteś zapalonym wędkarzem. A cóż za węgorza wiozłeś w koszyku, drogi panie wracając z połowu, o drugiej nad ranem?

— Wieczerałem u naszego przyjaciela, barona de Vez.

— W zamku Vez? Sądzę raczej, że byłeś tam pocieszać piękną pustelniczkę, którą zazdrosny łowczy trzyma ponoć w zamknięciu. Lecz to mogę ci jeszcze wybaczyć.

— Jakże, czyżbym, jeszcze ciężiej zgrzeszył? — rzekł Thibault, który czuł się coraz pewniej, widząc jak blisko za oskarżeniem, niezależnie od jego wagi, podążało wybaczenie.

— Tak, na balu u jego wysokości księcia Orleanu.

— Jakim balu?

— Wczoraj! To przecież całkiem niedawno!

— Wczoraj wielbiłem ciebie.

— Tak, ale mnie tam nie było.

— Czyż musimy być w jednym miejscu, bym cię wielbił, Jane? Czyż nie wielbi się kobiety tak samo w myśli, jak na jawie? Nieobecna zwycięzasz bez porównania, a zwycięstwo jest tym świetniejsze.

— Posłużyłeś się więc porównaniem do granic przyzwoitości tańcząc cztery razy z panią de Bonneui! Czyż tak piękne są te bure policzki pokryte różem, brwi jak u Chińczyka na moim parawanie, wąsy jak u grenadiera.

— Czy wiesz, o czym rozmawialiśmy w czasie tych tańców?

— A więc to prawda, że tańczyliście razem cztery razy?

— Skoro tak mówisz, to prawda.

— Też mi odpowiedź!

— Bez wątplenia; któż by bowiem chciał zaprzeczać słowom spływającym z tak pięknych ust? Z pewnością nie ja, który będę je błogosławił, nawet gdy będą na mnie wydawały wyrok śmierci.

I jakby po to, by usłyszeć ów wyrok, Thibault ponownie padł przed hrabiną na

kolana.

W tej samej chwili do pokoju wbiegła przerażona Lisette.

— Panie baronie — rzekła — proszę uciekać! Nadchodzi pan hrabia!

— Pan hrabia? — spytała z przerażeniem hrabina.

— Tak, pan hrabia, ze swym oszczepnikiem.

— Niemożliwe!

— Pani hrabino, Cramoisi widział ich, tak jak ja teraz widzę państwa. Biedak cały zbladł.

— Ach! Więc to całe polowanie w Thury było pułapką!

— Kto wie? Mężczyźni są tak podstępni!

— Cóż czynić? — spytała hrabina.

— Poczekać na hrabiego i zabić go — odparł z brawurą Thibault, wściekły, że oto najcenniejsza z dotychczasowych okazji umyka mu sprzed nosa.

— Zabić hrabiego? Ależ Raul! To szaleństwo! Nie, musisz uciekać, ratować się... Lisette! Wyprowadź barona przez mój buduar.

I Lisette, popychając przed sobą Thibaulta, zniknęła wraz z nim w buduarze.

W samą porę! Rozległ się właśnie grzmot kroków na głównych schodach.

Hrabina rzuciła fałszywemu Raulowi ostatnie miłosne pożegnanie i w mgnieniu oka wślizgnęła się do swojej sypialni.

Thibault podążył za Lisette. Przemierzyli szybko korytarz, strzeżony od drugiej strony przez Cramoisiego. Weszli do pokoju, potem do następnego, aż wreszcie do małej komnatki.

Z tej komnatki było przejście do małej wieżyczki. Tu uciekinierzy odnaleźli takie same schodki, którymi wchodzili wcześniej na górę. Gdy jednak zeszli na dół, drzwi okazały się zamknięte.

Lisette, za którą podążał Thibault, cofnęła się o kilka schodków do góry, weszła do małej oficynki, której okno wychodziło na park, i otworzyła je. Okienko znajdowało się kilka stóp nad ziemią.

Thibault skoczył i bez szwanku wylądował na ziemi.

— Wie pan, gdzie jest pański wierzchowiec — krzyknęła Lisette. — Proszę go dosiąść i zatrzymać się dopiero w Vauparfond.

Thibault z chęcią podziękowałby Lisette za okazaną życzliwość. Znajdowała się jednak sześć stóp nad jego głową, a poza tym nie miał już ani chwili do stracenia.

W dwóch susach znalazł się w kępie drzew, wśród których ukryta była altana służąca jego rumakowi za stajnię.

Czy jednak jego wierzchowiec był tam jeszcze?

Upewniło go o tym rzenie dobiegające z altany. Rzenie to jednak zdawało się być jękiem cierpienia.

Thibault wszedł do środka, wyciągając dłonie, dotknął wierzchowca, chwycił wodze i wskoczył na siodło bez użycia strzemion. Koń ugiął się pod ciężarem, do którego powinien być przecież przyzwyczajony.

Thibault wbił mu ostrogi w brzuch, by go ruszyć. Rumak próbował wstać, lecz ledwo wyprostował przednie nogi, wydał z siebie bolesne rzenie, takie jakie już Thibault słyszał i padł na bok.

Jeździec szybko wyciągnął nogę spod końskiego ciała, tym łatwiej, że zwierzę samo usiłowało się podźwignąć, i stanął na ziemi,

Zrozumiał, że hrabia podciął albo kazał podciąć ścięgna koniowi, by uniemożliwić rywalowi ucieczkę.

— Do diabła! — przeklął. — Jeśli spotkam cię hrabio de Mont-Gobert, przysięgam, że przetnę ci ścięgna, tak jak ty przeciąłeś je temu biednemu zwierzęciu.

I wybiegł z altany.

Odnalazł drogę, którą przybył do zamku, a która wiodła do wylomu w murze. Szybkim krokiem dotarł do przejścia, wspiął się po kamieniach i znalazł się poza parkiem.

Tu ujrzał mężczyznę ze szpadą w dłoni, zagradzającego mu drogę.

Thibault rozpoznał hrabiego.

Ze swej strony hrabia de Mont-Gobert rozpoznał barona de Vauparfond, krzyknął więc do niego.

— Dobądź szpady i broń się!

Wszelkie tłumaczenia były niepotrzebne.

Zresztą Thibaulta, któremu hrabia wyrwał ze szponów pewną zdobycz, nie trzeba było zachęcać do walki. Szczęknęła stal.

Thibault, który sprawnie bił się kijem i maczugą, nie miał pojęcia o szermierce. Był więc niezmiernie zaskoczony, gdy odruchowo ująwszy broń w prawicę odparował ciosy hrabiego, tak mu się przynajmniej wydawało, zgodnie z wszelkimi regułami tej sztuki.

Hrabia dwa czy trzy razy usiłował go przebić, Thibault po mistrzowsku odparował jego ciosy.

— Rzeczywiście — syknął przez zęby hrabia. — Mówiono mi, że w ostatnim natarciu pokonałbyś świętego Jerzego.

Czuł tak wielką giętkość i siłę nadgarstka, dzięki którym mógłby przebić samego diabła. Do tej chwili ograniczał się do obrony, teraz jednak w wyniku kilku błędów, hrabia odsłonił prawe ramię, a Thibault uderzył i ciął. Hrabia upuścił szpadę, ugiął jedno kolano i opadając lewym kolaniem na ziemię, krzyknął:

— Do mnie, Lestocq!

Thibault już chciał schować broń do pochwy i uciec. Na nieszczęście jednak przypomniał sobie, że przysiągł podciąć hrabiemu ścięgna, tak jak hrabia uczynił to jego rumakowi. Wsunął ostrze pod zgięte kolano pokonanego rywala i gwałtownie pociągnął. Hrabia krzyknął.

Podnosząc się, Thibault poczuł straszliwy ból między łopatkami i uczucie lodu przeszywające jego ciało.

Potem wszystko zakryła fala krwi.

Lestocq, zawołany przez swego pana, przybiegł co sił w nogach i skorzystał z chwili, gdy Thibault wstawał przeciąwszy ścięgna hrabiego, by wbić mu w plecy

aż po rękojeść swój nóż myśliwski.

ŚMIERĆ I ZMARTWYCHWSTANIE

Chłód poranka przywrócił Thibaultowi przytomność.

Usiłował się podnieść, lecz do ziemi przybił go potworny ból.

Leżał na wznak, niczego nie pamiętał i widział nad sobą stalowe, mroczne niebo. Z wysiłkiem obrócił się na bok, oparł na łokciu i spojrzał wokół siebie. Widok znajomego miejsca przywrócił mu wspomnienie minionych wydarzeń.

Rozpoznał wyłom w murze. Przypomnił sobie miłosną przygodę z hrabiną i zacięty pojedynek z hrabią. Trzy kroki od niego ziemia czerwieniała od krwi. Hrabiego jednak nie było.

Z pewnością Lestocq, który wymierzył mu zdradziecki cios, co było powodem, że nasz bohater leżał teraz przybity do ziemi, pomógł swemu panu wrócić do domu.

Thibaulta zostawiono na pastwę losu, by zdechł jak pies. Szewc miał już na końcu języka najgorsze klątwy, które można rzucić tylko swemu najgorszemu wrogowi. Dopóki jednak Thibault nie był sobą lecz Raulem de Vauparfond, a przynajmniej ukrywał się w jego cielesnej powłoce nie mógł używać swej złowrogiej mocy.

Tak miało być do dziewiątej wieczorem, czy dożyje jednak do tej chwili?

Thibault drżał z niepewności. Jeśli umrze przed dziewiątą, który z nich naprawdę umrze — on czy baron Raul? Szanse były wyrównane.

Jednak tym co najbardziej gniewało Thibaulta, był fakt, że po raz kolejny sam był sobie wszystkiemu winien.

Przypomniało mu się, że zanim życzył sobie być przez jedną dobę baronem Raulem, wypowiedział mniej więcej te słowa:

„Setnie bym się ubawił, gdyby pan hrabia de Mont-Gobert zastał cię *in flagranti*! Nie przeszłoby to tak gładko jak z poczciwym Magloirem! Tu szczęka-

łaby stal!”

Pierwsze życzenie spełniło się równie dokładnie jak drugie; słychać było szcęk stali i rżenie koni.

Thibault po długich i bolesnych wysiłkach podniósł się z ziemi na kolana. Dzięki temu ujrzał chłopów idących wąską drogą na targ do Villers-Cotterêts.

Próbował krzyczeć, lecz dławił się krwią. Nałożył swój pieróg na koniec szpady i wymachiwał nim jak rozbitek, lecz opadł z sił i wkrótce runął na ziemię bez ducha.

Po pewnym czasie poczuł, że znów odzyskuje świadomość. Zdawało mu się, że jego ciało lekko się kołysze, tak jakby płynął łódką. Otworzył oczy.

Chłopi dostrzegli go i choć nie poznali kim jest, litując się nad pięknym młodzieńcem leżącym we krwi, zrobili z gałęzi nosze i nieśli go do Villers-Cotterêts

Gdy jednak dotarli do Puiseux, okazało się, że ranny nie może znieść dalszej drogi. Poprosił, by zostawiono go w pierwszym lepszym domu, gdzie poczeka, aż przybędzie lekarz.

Chłopi zostawili go u wiejskiego proboszcza.

Thibault wyciągnął z kiesy Raula dwie złote monety i wręczył je chłopom w podziękę za trud, który był ich udziałem.

Proboszcz kończył odprawiać mszę.

Wchodząc do swego domu krzyknął z przerażenia.

Gdyby Thibault był prawdziwym Raulem, nie wybrałby lepszego schronienia. Proboszcz z Puiseux był swego czasu wikariuszem w Vauparfond i zajmował się wtedy wstępną edukacją Raula.

Jak wszyscy wiejscy proboszczowie znał się lub sądził, że się zna na medycynie. Obejrzał ranę swego dawnego ucznia. Ostrze otarło się o łopatkę, przebiło płuco i wyszło między drugim a trzecim zębem. Widać było, że rana jest groźna.

Ksiądz nic jednak nie powiedział, dopóki nie przybył doktor i nie obejrzał rany.

Lekarz smutno zwiesił głowę.

— Nie puszcza pan krwi? — spytał ksiądz.

— A po co? — odparł lekarz. — Wtedy, gdy został zraniony, mogło to pomóc. Teraz jednak byłoby niebezpieczne ruszać cokolwiek.

— Co pan mu wróży? — spytał proboszcz, który uznał, że więcej jest tu do roboty dla księdza niż dla lekarza.

— Jeśli wszystko pójdzie zwyczajnie, chory nie dożyje dnia — rzekł lekarz zniżając głos.

— Więc skazuje go pan?

— Lekarz nie skazuje, a jeśli nawet to daje naturze możliwość korzystania z prawa łaski; może się utworzyć skrzep i zatamować wylew; kaszel może zerwać skrzep i wylew zabije chorego.

— Czy więc sądzi pan, że moim zadaniem jest przygotowanie tego biedaka na śmierć?

— Sądzę, — rzekł lekarz wzruszając ramionami — że lepiej zostawić go w spokoju, po pierwsze dlatego, że jest nieprzytomny i nie usłyszy księdza, po drugie później będzie majaczył i nie zrozumie.

Doktor się mylił. Ranny, jakkolwiek leżał bezwładnie, słyszał całą rozmowę, pocieszającą w kwestii dotyczącej zbawienia duszy lub przygnębiającą jeśli szło o sprawy ziemskie.

Ileż rzeczy mówi się przy chorym sądząc, że nic nie rozumie, gdy on tymczasem nie traci z tego ani słowa! A być może ostrość słuchu wynikała z faktu, iż w ciele Raoula żyła dusza Thibaulta. Gdyby była to dusza tego ciała, może by pokorniej zniosła skutki zadanej rany.

Lekarz opatrzył ranę od strony pleców, tę na piersi zostawił odkrytą, polecając tylko przykrywać chorego tkaniną zroszoną zimną wodą. Następnie wlał do szklanki napełnionej wodą kilka kropel uspokajającego płynu, zalecając duchownemu, by ile razy chory zechce pić, dawał mu łyżkę tego lekarstwa.

Przedsięwziawszy te środki doktor opuścił chorego mówiąc, że wróci jutro.

Wyraził przy tym obawę, że będzie to podróż zbędna.

Thibault chętnie włączyłby się do rozmowy, by rzec co sądzi o samym sobie, lecz jego dusza uwięziona była w umierającym ciele i mimo woli poddawała się wpływowi swego „mieszkania”.

Słyszał tymczasem, jak ksiądz mówił, potrząsał nim, usiłował wydobyć go ze swoistego odrętwienia, w jakie popadł. Męczyło go to.

Szcześnie stało się dla dzielnego proboszcza, że Thibault nie będąc sobą, utracił czarcią moc, gdyż w głębi duszy z tuzin razy ranny posłałby plebana do wszystkich diabłów.

Nasz bohater czuł jak gdyby pod jego nogi, plecy, głowę wsuwano płonące główne. Krew zaczęła żywiej płynąć, wreszcie wrzeć jak woda na ogniu. Czuł jak jego myśli ogarnia zamęt. Zaciśnięte dotąd szczęki rozluźniły się, zeszywniały język rozplątał, wymknęło mu się kilka słów bez ładu i składu.

— Ach! — rzekł w duchu. — Oto prawdopodobnie owo majaczenie, o którym mówił dzielny eskulap.

Była to w każdym razie ostatnia jego świadoma myśl.

Całe jego życie, a w rzeczywistości życie od spotkania z czarnym wilkiem, przebiegło mu przed oczami.

Widział jak ściga daniela i jak go traci. Jak przywiązany do dębu bierze cięgi. Jak zawiera z czarnym wilkiem przymierze. Jak próbuje włożyć Angelette na palec diabelską obrączkę. Jak wyrywa czerwone włosy, które obecnie przerastały dwie trzecie jego głowy. Jak idzie do pięknej młynarki, spotyka Landry'ego, pozbywa się rywala, ucieka ścigany przez parobków z młyna i jak jest śledzony przez wilki.

Widział jak poznaje panią Magloire, poluje dla niej, chowa się za kotarą i odkryty przez sędziego, a zdemaskowany przez barona, zostaje wypędzony przez całą trójkę.

Widział, jak śpi w dziupli, wilki leżą wokół drzewa, a puchacze i sowy siedzą na gałęziach.

Widział jak wsłuchuje się w dźwięki skrzypek, oboju, wychyla głowę z kryjówki i widzi Angelette z radosnym orszakiem weselnym.

Widział, jak padając ofiarą wściekłości i zazdrości, próbuje z nimi walczyć za pomocą wina; w swym zmaconym umyśle rozpoznawał Franciszka, Champagne'a, karczmarza; słyszał tętent kopyt konia barona Raula, czuł cios szpicrutą i chłód błota, w które runął.

Po czym przestał widzieć siebie. Widział pięknego rycerza, w którego się wcielił. Obejmował pokojówkę. Całował dłoń hrabiny.

Potem chciał uciec, lecz znalazł się na skrzyżowaniu, gdzie były tylko trzy drogi. Każdej z nich pilnowała jedna z ofiar. Pierwszej topielec; to był Marcotte. Drugiej, konający w szpitalu; to był Landry. Trzeciej klęczący na jednym kolanie człowiek, próbujący nadaremnie podnieść się na podciętej nodze; to był hrabia Mont-Gobert.

Zdawało mu się, że opowiada wszystko co widzi i że spowiednik, któremu czynił te dziwne wyznania wydaje się blebszy, bardziej drżący, jakby bliższy śmierci niż ten, którego spowiadał; zdawało się, że mimo to chce mu odpuścić grzechy, lecz on odpycha od siebie tę łaskę rzucając głową na boki i śmiejąc się potwornie. Krzyczał:

— Nie ma przebaczenia! Nie ma przebaczenia! Jestem przeklęty! Jestem przeklęty na wieki!

W *delirium*, pośród majaków i szaleństwa Thibaulta słyszał, jak bije zegar i liczył godziny.

Lecz zdawało mu się, że zegar jest ogromnych rozmiarów, że tarcza jego jest sferą niebieską, cyfry płomieniami, że zegar zwie się wiecznością, a ogromne wahadło, które wprawiało go w ruch dźwięczało za każdym wahnięciem:

— Nigdy!

— Zawsze!

Słyszał jak kolejno mijały wszystkie godziny dnia.

Zegar wybił dziewiątą wieczór.

O dziewiątej trzydzieści minie doba od chwili, gdy Thibault stał się Raulem a Raul Thibaultem.

Przy dziewiątym uderzeniu zegara, szewc poczuł jak wszystkie majaki od-
dalają się od niego; poczuł chłód, który przeszył go mroźnym dreszczem.

Trzęsąc się otworzył oczy, rozpoznał klęczącego i modlącego się nad nim
plebana i prawdziwy zegar wskazujący kwadrans po dziewiątej.

Jego zmysły stały się tak ostre i wyczulone, że widział niezauważalny w
rzeczywistości ruch dużej, a nawet małej wskazówki. Zmierzały one do owej
fatalnej godziny.

Chociaż żadna lampa nie oświetlała cyferblatu, wydawał się on rozjaśniony
własnym światłem.

W miarę jak duża wskazówka zbliżała się do cyfry „sześć” coraz silniejsze
wstrząsy targały ciałem umierającego.

Przejmujące zimno przebijało jego stopy, powoli i stopniowo obejmując ko-
lana, uda i wnętrzności.

Po czole spływał zimny, rześisty pot. Nie miał siły otrzeć go z czoła ani nawet
poprosić, by mu je otarto. Pocił się ze strachu, z minuty na minutę zbliżała się
agonia. Przed jego oczami przewijały się dziwne, nieludzkie kształty. Światło się
rozmywało.

Zdawało mu się, że skrzydła podobne do skrzydeł nietoperza podnoszą jego
ciało i unoszą je w zmierzch, który nie był ani życiem, ani śmiercią, ale miał w
sobie cząstkę obu tych stanów.

Zmierzch stawał się coraz mroczniejszy.

Oczy Thibaulta zamknęły się i on sam jak ślepiec potykał się w ciemnościach,
ciężkie błony jego skrzydeł uderzały o niewidoczne przeszkody.

Runął w niezmierzone głębie, bezdenne otchłanie, gdzie jednym dźwiękiem
jaki słyszał, był głos dzwonu.

Dzwon uderzył tylko jeden raz. Drzenie dźwięku było nieco zgaszone, gdy
ranny krzyknął. Ksiądz zbliżał się do łóżka.

Ten krzyk był ostatnim tchnieniem, ostatnim znakiem życia barona Raula.
Była dziewiąta trzydzieści i jedna sekunda.

KTO ŻYJE, A KTO UMARŁ

W chwili, gdy drżąca dusza młodego szlachcica uchodziła z ciała, Thibault, jakby budząc się ze snu pełnego straszliwych mar, zerwał się z łóżka.

Wszystko wokół niego płonęło. Ogień huczał we wszystkich czterech kątach izdebki.

W pierwszej chwili sądził, że to dalszy ciąg jego koszmaru.

Usłyszał jednak głośnie krzyki: „Śmierć czarownikowi! Śmierć wilkołakowi! Zabić go!” i pojął, że grozi mu straszne niebezpieczeństwo.

Płomienie zbliżały się do jego łóżka, tak, że czuł ich gorąco. Za kilka minut znalazłby się w samym środku ogromnego stosu. Chwila wahania i wszelkie drogi odwrotu zostaną odcięte.

Thibault sięgnął pod swoje posłanie, chwycił oszczep i rzucił się do ucieczki przez tylne drzwi swej chatki.

Gdy go ujrzano pędzącego przez płomień i dym, krzyki: „Na śmierć!” spotęgowały się.

Padło kilka strzałów. Usłyszał gwizd kul. Te strzały były przeznaczone dla niego.

Ludzie, którzy doń strzelali, byli na służbie u wielkiego łowczego. Thibault przypomniał sobie, czym groził mu dwa dni temu baron de Vez.

Był więc poza prawem. Można było go zaczadzić jak lisa w norze, strzelać do niego jak do dzikiego zwierza. Na szczęście dla Thibaulta żadna z wystrzelonych kul go nie dosięgła.

Płonący szałas oświetlał tylko wąski pas polany; Thibault w mgnieniu oka wy dostał się z kręgu światła.

Znalazł się w leśnym mroku i gdyby nie krzyki i hałasy tłuszczy palącej jego

chatkę, cisza byłaby teraz równie głęboka jak mrok. Siadł u stóp drzewa i spuścił głowę na piersi.

W ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin wydarzenia toczyły się wystarczająco szybko, by Thibaulta zmusić do rozmyślań.

Jednak ostatnie dwadzieścia cztery godziny, które przeżył cudzym życiem, zdawały mu się snem. Nie mógł uwierzyć, by cała przygoda barona Raula, hrabiny Jane i hrabiego de Mont-Gobert zdarzyła się naprawdę.

Podniósł głowę słysząc bicie zegara na wieży kościoła w Oigny.

Była dziesiąta!

Dziesiąta!

Pół godziny wcześniej leżał konając, jako baron Raul, na plebani w Puiseux.

— Do diaska! — rzekł głośno. — Muszę mieć pewność! Stąd do Puiseux nie ma nawet mili. Będę tam za pół godziny. Muszę mieć pewność, że Raul nie żyje.

Posępne wycie było odpowiedzią na jego pytanie.

Spojrzał wokół siebie. Jego wierni słudzy powrócili. Wilkołak odnalazł swą drużynę.

— Chodźcie wilki, jedyni moi przyjaciele! Chodźcie! — rzekł. — W drogę!

I wraz ze swą świtą pomknął przez lasy do Puiseux.

Ludzie barona Jana, burzący jeszcze płonące resztki chałupy, dostrzegli człowieka biegnącego na czele sfory wilków. Przeżegnali się. Ten widok przekonał ich ostatecznie, że Thibault jest czarownikiem.

— Przyjaciele wilki — rzekł zatrzymując się przy pierwszych domach wioski. — Tej nocy nie będę was potrzebował. Przeciwnie, muszę być sam. Zabawcie się przez ten czas po zagrodach i stajniach. Daję wam pełną swobodę. A jeśli spotkacie na swej drodze dwunogie zwierzęta, które zwa się ludźmi, zapomnijcie przyjaciele, że zostaliście stworzeni na obraz i podobieństwo Boże i nie odmawiajcie sobie przyjemności.

Wilki rozbiegły się na wszystkie strony wyjąc.

Thibault ruszył w dalszą drogę. Wszedł do wsi. Plebania przylegała do bu-

dynku kościoła.

Thibault poszedł okrężną drogą, by nie przechodzić pod krzyżem. Doszedł do prezbiterium. Przez szybę dostrzegł gromnicę płonąca przy łóżku.

Przykryto je prześcieradłem, pod którym rysowały się kontury ludzkiego, sztywnego ciała. Budynek był pusty. Z pewnością pleban poszedł do wójta sporządzić akt zgonu.

Thibault wszedł. Zawołał księdza. Nikt nie odpowiedział. Od razu podszedł do łóżka. Pod całunem rzeczywistości leżał trup. Thibault odsłonił materiał i ujrzał barona Raula. Twarz jego była pełna spokoju i surowości, jakie daje wieczność. Jego rysy, za życia nieco kobiece, nabrały teraz mrocznej godności śmierci.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że śpi. Lecz przyjrząwszy się bliżej, rozpoznać można było w jego nieruchomości coś głębszego niż sen. Poznawało się królową, która zamiast berła ma kosę, a zamiast płaszcza włosienicę. Poznawało się śmierć.

Thibault zostawił za sobą otwarte drzwi.

Zdawało mu się, że słyszy lekkie stąpanie.

Schował się za zasłoną z zielonej tkaniny zakrywającą tylną ścianę alkowy, tuż obok drzwi, które w razie potrzeby mogły być drogą ucieczki.

Przed drzwiami zatrzymała się z wahaniem kobieta w czerni. Jej twarz zasłaniała czarna woalka. Obok niej stanęła druga osoba i z uwagą rozejrzała się po pomieszczeniu.

— Chyba może pani wejść, nie ma nikogo, a zresztą ja będę czuwać.

Kobieta w czerni weszła do środka, powoli zbliżyła się do łóżka, stanęła na chwilę, by otrzeć pot perlący się na jej czole i nagłym ruchem podniosła całun, który Thibault w pośpiechu zarzucił na twarz zmarłego.

Thibault rozpoznał hrabinę.

— Niestety! — rzekła. — Nie okłamano mnie!

Padła na kolana i płacząc zaczęła się modlić.

Skończywszy modlitwę wstała, złożyła pocałunek na zimnym czole kochanka i sinych brzegach rany, przez którą uszła jego dusza.

— Najukochańszy! — rzekła cicho. — Któż zna imię twojego zabójcy? Któż dopomoże mi w zemście?

Ledwo hrabina skończyła, gdy nagle krzyknęła z przerażenia i odskoczyła od łóżka.

Zdawało jej się, że usłyszała odpowiedź:

— Ja!

Zielona zasłona poruszyła się.

Piękna pani nie miała bynajmniej płochliwego serca. Ujęła w dłoń płonąca przy łóżku gromnicę i oświetliła przestrzeń między zieloną kotarą a ścianą. Nie dostrzegła jednak nic prócz zamkniętych drzwi.

Odstawiwszy gromnicę na miejsce, wyjęła z małego portfelika parę srebrnych nożyczek, ucięła pukiel włosów zmarłego i schowała do woreczka z czarnego atlasu ukrytego na piersi. Ucałowała po raz ostatni czoło barona, zakryła jego twarz całunem i wyszła.

Na progu spotkała plebana i cofnęła się o krok zaciągając szczelniej woalkę.

— Kimże jesteś kobieto? — spytał duchowny.

— Jestem cierpieniem — odparła.

Ksiądz usunął się na stronę i pozwolił jej wyjść.

Hrabina i jej służąca przyszły do wsi pieszo, tak też wróciły do zamku.

Od Puiseux do Mont-Gobert było zresztą nie więcej, jak ćwierć mili.

Mniej więcej w połowie drogi zza przydrożnej wierzby wysunął się człowiek i zagroził kobietom przejście.

Lisette krzyknęła z przerażenia.

Hrabina jednak, nie okazując wcale strachu, podeszła do człowieka.

— Kim jesteś? — spytała.

— Tym, który odpowiedział „ja”, gdy pani pytała, kto zna imię zabójcy.

— Czy możesz mi pomóc dokonać zemsty?

— Kiedy tylko pani zechce.

— Zaraz?

— Tu nie jest odpowiednie miejsce.

— A więc gdzie jest?

— W pani pokoju, na przykład.

— Nie możemy wejść tam razem.

— Nie, ale mogę przejść przez wyłom w murze; Lisette poczeka na mnie w altanie, gdzie baron Raul chował swego konia, może zaprowadzić mnie przez kręcone schody i otworzyć pani pokój. Jeśli pani będzie w buduarze, poczekam, jak wczoraj baron.

Obie kobiety przeszły dreszcz.

— Kim jesteś, że znasz te wszystkie szczegóły? — spytała hrabina.

— Powiem, kiedy będzie po temu czas.

Hrabina zawahała się.

Lecz po chwili rzekła zdecydowanie:

— Dobrze, proszę przyjść, Lisette będzie czekać w altanie.

— Proszę pani! — zaoponowała pokojówka. — Nigdy nie pójde po tego człowieka.

— Więc pójde sama.

— Do zobaczenia! — rzekł Thibault. — Jest pani dzielną kobietą!

I wślizgnąwszy się do rowu biegnącego wzdłuż drogi, zniknął.

Lisette wyglądała tak, jakby miała zemdleć.

— Oprzyj się na moim ramieniu — rzekła hrabina — i chodźmy. Pilno mi wiedzieć, co ten człowiek ma mi do powiedzenia.

Obie kobiety weszły boczną furtką. Nikt nie widział ich wychodzących, nikt też nie spostrzegł ich powrotu.

Hrabina weszła do swojego pokoju, oczekując aż Lisette przyprowadzi nieznanego.

Po dziesięciu minutach Lisette weszła do pokoju blada jak płótno.

— Ach, pani. Nie warto było tam po niego chodzić.

— A to czemu?

— Bo on zna drogę równie dobrze jak ja! Gdyby pani wiedziała, co on mi opowiadał! Na wszystkich świętych, to diabeł wcielony!

— Wpuść go — rzekła hrabina.

— To ja — rzekł Thibault.

— W porządku — rzekła hrabina do Lisette. — Proszę nas zostawić.

Lisette wyszła.

Hrabina została sam na sam z Thibaultem.

Wygląd Thibaulta nie budził ani pewności, ani tym bardziej zaufania. Czulo się w nim człowieka zdecydowanego na zło: usta skrzywione w diabelskim uśmiechu, oczy błyszczące jak ogień piekielny.

Zamiast, jak zazwyczaj, skrywać swe ogniste włosy, Thibault tym razem pozwolił im swobodnie spływać po karku i czole, tak że tworzyły gąszcz przypominający kolorem płomień pochodni.

Tymczasem hrabina utkwiała swój wzrok w przybyszu nie błędąc przy tym wcale.

— Ta dziewczyna mówiła, że znałeś drogę do mego pokoju; byłeś tu już wcześniej?

— Tak proszę pani, raz.

— Kiedy?

— Przedwczoraj.

— O której?

— Od wpół do jedenastej do wpół do pierwszej.

Hrabina spojrzała szewcowi prosto w oczy.

— To nieprawda! — rzekła.

— Czy życzy sobie pani, bym na potwierdzenie mych słów opowiedział, co się tu stało?

— O tej godzinie, o której mówisz?

— Tak, o tej godzinie.

— Mów — rzekła krótko hrabina.

Thibault był równie oszczędny w słowach, jak jego rozmówczyni.

— Pan Raul wszedł tędy — rzekł wskazując na drzwi wychodzące na korytarz — i Lisette zostawiła go samego. Pani weszła tymi drzwiami — powiedział wskazując drzwi od buduaru — i zastała go na klęczkach. Miała pani rozpuszczone włosy, spięte jedynie trzema brylantowymi spinkami, różowy szlafrok z koronkami, różowe jedwabne pończochy, srebrne pantofelki i sznur pereł wokół szyi.

— Strój się zgadza — rzekła hrabina. — Mów dalej.

— Miała pani pretensje o trzy jego występki: po pierwsze o to, że zatrzymał się w korytarzu, by całować pani pokojówkę; po drugie o to, że widziano go o północy na drodze z Erneville do Villers-Cotterêts; po trzecie, że na balu, na którym pani nie było, cztery razy tańczył z panią de Bonneuil.

— Dalej.

— Na każdy z tych czynów pani kochanek znalazł lepsze czy gorsze wytłumaczenie; musiała je pani uznać za wystarczające, skoro wybaczyła mu pani, gdy wtem Lisette wbiegła przerażona, krzycząc, że pani amant musi uciekać, gdyż wrócił pani małżonek.

— Rzeczywiście, jesteś, jak mówiła Lisette, diabłem wcielonym — rzekła hrabina śmiejąc się złowrogo. — Widzę, że będziemy mogli zdziałać coś wspólnie... Kończ!

— Tak więc pani wraz ze swoją pokojówką wypchnęłyście opierającego się Raula do buduaru, Lisette powiodła go korytarzem, potem przez kilka pokoi, wreszcie przez kręte schodki znajdujące się na przeciwległym skrzydle zamku od tego, przez który wszedł. Jednak drzwi wejściowe były zamknięte; wymknęli się więc do jakiejś komnatki, Lisette otworzyła okno, będące sześć stóp nad ziemią; on skoczył, pobiegł do altany, odnalazł tam swego konia, który miał jednak podcięte ścięgna. Poprzysiągł więc w duchu, że jeśli spotka hrabiego, podetnie

mu sięgną pod kolanami, tak jak hrabia jego koniowi. Uważał bowiem za okrutne i niepotrzebne okaleczenie szlachetnego zwierzęcia. Następnie piechotą podążył ku wyłomowi. Gdy jednak wy dostał się za mur, drogę zagroził mu hrabia ze szpadą w dłoni. Rozpoczęła się walka.

— Hrabia był sam?

— Chwileczkę... wydawało się, że był sam. Po czwartym czy piątym starciu hrabia otrzymał pchnięcie w ramię. Padł na kolana krzycząc: „Do mnie Lestocq”. Wtedy baron przypomniał sobie swoje przyrzeczenie i podciął hrabiemu sięgną, tak jak hrabia podciął je rumakowi barona. W chwili gdy wstawał, Lestocq pchnął go w plecy; żelazo weszło pod łopatki i wyszło na piersi... nie muszę mówić, w którym miejscu, ucałowała pani ranę.

— A potem?

— Hrabia i jego oszczepnik wrócili do zamku, zostawiając barona na pastwę losu. Odzyskawszy przytomność baron zawołał idących drogą chłopów, którzy ułożywszy go na noszach, zamierzali zanieść go do Villers-Cotterêts. Jednak ranny tak cierpiał, że nie można go było nieść dalej. Ułożono go u plebana, gdzie o dziewiątej minut trzydzieści i jedna sekunda wydał ostatnie tchnienie.

Hrabina podniosła się.

Bez słowa podeszła do swej toaletki i wzięła sznur pereł, które miała przedwczoraj na szyi.

Podąła je Thibaultowi.

— Co to? — spytał szewc.

— Bierz — rzekła hrabina. — To jest warte pięćdziesiąt tysięcy ludwików.

— Chce się pani mścić?

— Tak.

— Zemsta kosztuje o wiele więcej.

— Ile?

— Proszę czekać na mnie następnego wieczora, a powiem pani.

— Gdzie?

— Tutaj — odparł Thibault z dzikim uśmiechem.

— Będę czekała — rzekła hrabina.

— A więc do jutra?

— Do jutra.

Thibault wyszedł.

Hrabina schowała z powrotem perły do szkatułki, otworzyła podwójne dno, wyjęła stamtąd mały flakonik z opalizującym płynem i damasceński sztylecik, o rękojeści i pochwie nabijanej szlachetnymi kamieniami o złożonym ostrzu.

Schowała flakon i sztylet, uklękła na klęczniku przed krucyfiksem i skończywszy modlitwę padła w ubraniu na łóżko...

DO KOŃCA WIERNA DANEMU SŁOWU

Thibault opuściwszy hrabinę bez żadnych przeszkód wyszedł z zamku, a następnie z parku.

Tu jednak, po raz pierwszy w życiu stwierdził, że nie ma dokąd iść. Jego dom został spalony; nie miał żadnego przyjaciela. Jak Kain nie miał gdzie złożyć głowy.

Dotarł do lasu. Potem ruszył aż do Chavigny i gdy dzień zaczynał wstawać, wszedł do samotnie stojącego domu, aby kupić chleb.

Kobieta, pod nieobecność męża, podała mu chleb nie żądając opłaty. Thibault ją przerażał.

Zdobywszy pożywienie na cały dzień, Thibault wrócił do lasu. Znał macecznik znajdujący się między Fleury i Longpont. Zdecydował się spędzić tam dzień. Szukając schronienia za sporym głazem, ujrzał na dnie wąwozu coś błyszczącego.

Wiedziony ciekawością ruszył w tę stronę.

Tym błyszczącym przedmiotem była srebrna odznaka strzelca. Wisiała na szyi trupa, a w zasadzie szkieletu, gdyż kości zostały tak starannie ogryzione, jakby szykowano eksponat do gabinetu anatomicznego.

Szkielet był całkiem świeży i znalazł się tu chyba ostatniej nocy.

— Ach! — mruknął z zadowoleniem Thibault. — Oto prawdopodobnie, dzieło mych przyjaciół wilków. Zdaje się, że chętnie korzystają z mojego zezwolenia.

Zszedł na samo dno parowu, gdyż ciekaw był z czym trupem miał do czynienia. Ciekawość tę łatwo było zaspokoić.

Płytki i łańcuszek, które zapewne nie wydawały się wilkom tak smaczne i lekkostrawne jak cała reszta, leżały na piersi szkieletu, niczym etykieta na pakunku.

J. B. — Lestocq.

Oszczepnik J. W. hrabiego de Mont-Gobert.

— Ha! — rzekł śmiejąc się Thibault — oto morderca, który nie długo miał ofiarę na sumieniu!

Następnie z powagą na twarzy i bez uśmiechu tym razem, rzekł cicho, jakby do siebie:

— Czy nie ma w tym ręki Opatrzności?

Śmierć Lastocq'a nie trudno było zrozumieć.

Szedł nocą z Mont-Gobert do Longpont, z pewnością wykonując jakiś rozkaz swego pana, został napadnięty przez wilki. Bronił się najpierw tym samym nożem myśliwskim, którym przebił barona Raula, gdyż Thibault znalazł broń kilka kroków dalej.

Ziemia była wzruszona, co wskazywało na to że toczyła się tu zacięta walka. Następnie Lestocq pozbawiony broni, został zaciągnięty przez drapieżniki do parowu i tu pożarty.

Thibault stał tak niewrażliwy na wszystko, że nie czuł w związku z tym wydarzeniem przyjemności, czy żalu, ani radości lub też wyrzutów sumienia. Pomyślał tylko, że cały wypadek upraszcza plany hrabiny, której zemsta ograniczała się teraz do osoby małżonka.

Następnie ułożył się przy głazie, najstaranniej ukrywszy się przed wiatrem, by spokojnie spędzić tam resztę dnia.

Około południa usłyszał dźwięk myśliwskiego rogu barona de Vez i ujadanie jego sfory. Wielki łowczy polował, lecz orszak przegalopował wystarczająco daleko od Thibaulta i nie zakłócił mu spokoju.

Nadeszła noc.

O dziesiątej Thibault ruszył w drogę.

Odnalazł wyłom, podążył znaną sobie drogą i znalazł się w altanie, gdzie oczekiwała go Lisette, tak jak wówczas, gdy przybył do zamku w ciele barona Raula.

Biedna dziewczyna była cała drżąca.

Thibault chciał uczynić zadość tradycji i ucałować ją. Ta jednak odskoczyła od niego.

— Proszę mnie nawet nie dotykać, bo będę krzyczeć.

— Do stu diabłów! Śliczna panienko! — rzekł Thibault. — Tamtego dnia z baronem Raulem nie byłaś taka zimna!

— Tak — odparła pokojówka. — Ale od tamtego dnia wiele się wydarzyło.

— Nie licząc tego, co się jeszcze wydarzy — rzekł lekko Thibault.

— Och! — odparła służąca ponuro. — Sądzę, że najgorsze już się stało — i idąc przodem dodała — Jeśli pan chce, może pan iść za mną.

Bez żadnych środków ostrożności, Lisette przemierzyła całą wolną przestrzeń dzielącą park i zamek.

— Odważna jesteś, ale gdyby ktoś nas zobaczył...

Lisette potrząsnęła głową i rzekła:

— Nie ma już żadnego ryzyka, bowiem wszystkie oczy, które mogły nas

zobaczyć już są zamknięte.

I choć Thibault nie rozumiał, co dziewczyna chciała przez to powiedzieć, ton, jakim wypowiedziała te słowa sprawił, że szewca przeszedł dreszcz.

W milczeniu podążył w ślad za służącą, najpierw po krętych schodach, a potem po korytarzach pierwszego piętra. Lecz w chwili, gdy Lisette dotknęła dłonią klucza od drzwi pokoju zatrzymał się. Pustka i cisza panującą wokół niepokoily go. Można by rzec, że błąka się po przeklętym zamku.

— Dokąd idziemy? — spytał Thibault nie wiedząc, co powiedzieć.

— Ależ dobrze pan wie.

— Do pokoju hrabiny?

— Do pokoju hrabiny.

— Oczekuje mnie?

— Tak, oczekuje pana.

I Lisette otworzyła drzwi.

— Proszę wejść.

Thibault wszedł, a Lisette zamknęła za nim drzwi.

Był to ten sam wesoły, tak samo oświetlony i tak samo pachnący pokój.

Thibault wzrokiem szukał hrabiny. Czekał, aż wyjdzie drzwiami z buduaru, lecz drzwi buduaru były zamknięte. W pokoju panowała całkowita cisza, jeśli nie liczyć tykania zegara z porcelany z Sèvres i bicia serca Thibaulta. Począł rozglądać się wokół siebie z przestachem, z którego nie zdawał sobie sprawy. Jego oczy zatrzymały się na łóżku. Leżała tam hrabina.

Miała wpięte we włosy te same brylantowe spinki, na szyi te same perły, na ciele ten sam różowy szlafrok z koronkami, na stopach te same pantofelki ze srebrnej tkaniny, które założyła na spotkanie z baronem Raulem.

Thibault podszedł do łóżka.

Hrabina nie drgnęła nawet, gdy się zbliżył.

— Pani śpi, piękna hrabino? — spytał pochylając się nad nią.

Wyprostował się jednak gwałtownie, z przerażeniem w oczach.

Zaczynał podejrzewać straszliwą prawdę.

Hrabina spała snem tego świata czy snem wiecznym?

Thibault podszedł do kominka, by wziąć świecznik i drżącą ręką zbliżył go do twarzy kobiety pogrążonej w dziwnym śnie.

Jej policzki były blade jak wosk, skronie sine, a wargi fioletowe.

Kropla roztopionego, gorącego różowego wosku padła na śmiertelną maskę. Hrabina nawet nie drgnęła.

— Boże! — krzyknął Thibault. — Co to ma znaczyć?

Odstawił lichtarz na nocny stolik.

Hrabina leżała na wznak, a w każdej z zaciśniętych dłoni zdawała się coś ukrywać. Thibault z wysiłkiem otworzył jej lewą dłoń. Znalazł flakonik, który hrabina opróżniła przed zgonem. Otworzył drugą dłoń. Znalazł tam bilecik, na którym widniały słowa:

Do końca wierna danemu słowu. Wierna nawet po śmierci.

Iluzje Thibaulta umykały mu jedna za drugą; tak jak sny umykają śpiącemu, gdy się zaczyna budzić. Z tym, że w snach innych ludzi, umarli wstają z grobu. Zmarli Thibaulta — zostają.

Otarł czoło, na którym perlił się zimny pot, podszedł do drzwi wiodących na korytarz, otworzył je i znalazł Lisette modlącą się na kolanach.

— A więc hrabina nie żyje?

— Hrabina nie żyje, hrabia także.

— Czy zmarł do ran zadanych przez barona Raula?

— Nie, od ciosu sztyletem, z ręki hrabiny.

— Ho, ho! — odparł Thibault usiłując się zaśmiać w tej przerażającej atmosferze. — Oto nowa historia, której nie znam wcale.

Pokojówka opowiedziała mu całą tę historię. Wydarzenia były proste, lecz straszliwe.

Hrabina leżała na łóżku przez część dnia, słuchając jak biły dzwony w kościele w Puiseux, ogłaszając żałobnym jękiem podróż zwłok barona Raoula do zamku Vauparfond, gdzie miały zostać złożone w ziemi, w której spoczywały prochy jego ojców.

Około czwartej po południu dzwony ucichły.

Wtedy hrabina wstała; wyjęła spod poduszki sztylet, ukryła go na piersi i ruszyła do pokoju swego męża.

U drzwi pokoju małżonka znalazła uradowanego lokaja.

W chwilę wcześniej wyszedł lekarz; zdjął opatrunek i ręczył za zdrowie rannego.

— Jaśnie pani przyzna, że to wielkie szczęście! — rzekł lokaj.

— Rzeczywiście, wielkie szczęście — odparła.

Hrabina weszła do pokoju męża. Wychodząc pięć minut później, rzekła:

— Pan hrabia śpi, proszę mu nie przeszkadzać i wchodzić tylko wtedy, gdy zawoła.

Lokaj skłonił nisko głowę na znak posłuszeństwa, usiadł w przedpokoju, gotów na każde skinienie pana.

Hrabina wróciła do siebie.

— Rozbierz mnie Lisette — rzekła swojej pokojówce — i podaj mi ubranie, które miałam na sobie ostatnim razem, gdy on przybył.

Służąca była posłuszna poleceniu swej pani. Widać było staranność, z jaką odtworzyła jej strój z najdrobniejszymi szczegółami.

Hrabina skreśliła kilka słów na karteczce, którą złożyła we dwoje i zamknęła w prawej dłoni. Następnie położyła się na łóżku.

— Może pani życzy sobie czegoś jeszcze?

Hrabina otworzyła dłoń, w której ścisnęła szklany flakonik.

— Lisette, wypiję tylko to, co jest w tym flakoniku.

— Jak to? — spytała pokojówka. — Nic więcej?

— To wystarczy. Gdy tylko to wypiję, nie będę już niczego więcej potrze-

bowała.

I uniósłszy buteleczkę do ust, wychyliła ją jednym haustem. Następnie rzekła:

— Pamiętasz człowieka, który wtedy zastąpił nam drogę? Jestem z nim umówiona dziś wieczór między dziewiątą a dziesiątą. Poczekasz na niego w altanie i przyprowadzisz go do mojego pokoju... Nie chcę, by ktokolwiek powiedział, że nie dotrzymałam danego słowa, nawet po śmierci.

Thibault nic nie rzekł, to co zostało obiecane, zostało dotrzymane.

Hrabina jednak sama dopełniła dzieła zemsty.

Wyszło to na jaw, gdy lokaj zaniepokojony losem swego pana uchyliwszy drzwi komnaty, wślizgnął się do pokoju i na palcach podszedł do hrabiego, którego znalazł leżącego na plecach ze sztyletem w sercu.

Pobiegł więc do pani, by ją powiadomić o nieszczęściu, ale ją też znalazł martwą.

Wieść o dwóch zgonach jak piorun przeleciała po domu i cała służba rozpierzchła się mówiąc, że w domu zagościł anioł śmierci. Jedna pokojówka została, by wypełnić ostatnią wolę swej pani.

Thibault nie miał już czego szukać w tym domu, zostawił więc hrabinę i klęczącą przy niej Lisette.

Jak powiedziała Lisette nie trzeba było już się obawiać ani służby, ani państwa. Jedni uciekli, drudzy zeszli z tego świata.

Thibault ruszył w kierunku wyłomu. Niebo było ciemne, można rzec burawę.

W parku ledwo było widać ślad ścieżki.

Dwa czy trzy razy Thibault zatrzymał się uważnie nasłuchując. Wydawało mu się, że po obu stronach drogi słyszy trzask gałązek pod czyimiś stopami, które zdawały się podążać w ślad za nim.

Dotarłszy do wyłomu, Thibault usłyszał wyraźnie głos:

— To on!

W tej samej chwili dwóch żandarmów rzuciło mu się do szyi, a dwóch innych natarło nań od tyłu.

Cramoisi, zazdrosny o Lisette, czuwał i kręcił się nocami po parku i zamku. Widział też poprzedniego dnia, jak jakiś obcy człowiek wchodził, a potem wychodził okreśną drogą i wydał go brygadierowi żandarmów.

Denuncjacja ta stała się o wiele bardziej znaczącą gdy rozeszły się wieści o straszliwej tragedii, jaka się wydarzyła na zamku Mont-Gobert.

Brygadier wysłał czterech ludzi, by zatrzymali wszystkich podejrzanych kręcących się w okolicy. Dwóch ludzi przyprowadzonych tu przez Cramoisiego, zasadziło się przy wyłomie w parkowym murze, dwóch innych śledziło Thibaulta chodzącego po parku.

Na znak dany przez Cramoisiego, cała czwórka rzuciła się na naszego bohatera. Walka była długa i zacięta.

Thibault nie był zresztą człowiekiem, którego czterech żandarmów mogłoby powalić bez trudu.

Nie miał jednak broni; jego opór został pokonany.

Żandarmi z tą większą gorliwością rzucili się na Thibaulta, że go rozpoznali. Szewc skutkiem nieszczęść, jakie za sobą ciągnął, miał w okolicy coraz gorszą reputację.

Tak więc poturbowany, spętany, ze sznurem na szyi, Thibault musiał iść między dwoma końmi. Dwaj pozostali żandarmi szli jeden przed, a drugi za więźniem.

Thibault stawiał opór raczej w obronie godności niż wolności. Jego moc czynienia zła była, jak wiemy, nieograniczona. Wystarczyło, by w duchu życzył śmierci czterem napastnikom, aby na miejscu padli trupem.

Lecz na to był zawsze czas. Był pewien, że umknie ludzkiej sprawiedliwości nawet u stóp szafotu.

Uwiązany za szyję, z pętami u rąk, szedł między czterema strażnikami z widoczną obojętnością.

Strażnicy śmiali się i żartowali, pytając, w jaki sposób taki wielki czarownik jak Thibault dał się pojmać.

Thibault odpowiedział na te żarty znanym przysłowiem: „Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni”.

Żandarmi byli jednak pewni, że to będą oni. Minęli Puiseux i weszli do lasu.

Robiło się coraz ciemniej, jak gdyby chmury, niczym ogromny, czarny całun, okrywały korony drzew. Było widać zaledwie na cztery kroki.

Ale Thibault widział. Widział ze wszystkich stron szybko migające w ciemnościach światełka, raz tu, raz tam. Przybliżały się wraz z szelestem stąpania po suchych liściach. Niespokojne konie cofały się, wciągając w chrapy nocne powietrze, drżąc pod jeźdźcami.

Żandarmi, którzy z początku się głośno śmiali, stopniowo milkli. Teraz Thibault zaczął się głośno śmiać.

— Z kogo się śmiejesz? — spytał go żandarm.

— Nie twoja sprawa — odparł.

Na dźwięk głosu Thibaulta światełka przybliżyły się, a szelest i stąpania stały się głośniejsze.

Dał się wreszcie słyszeć posepny szczęk, dźwięk paszcz kłapiących zębami.

— Tak, tak, przyjaciele wilki — rzekł Thibault — spróbowaliście ludzkiego mięsa i smakowało wam!

Odpowiedzią był pomruk pełen zadowolenia, podobny do szczekania psa i wycia hieny.

— Rozumiem — rzekł Thibault — spróbowaliście hrabiowskiego psiarczka, teraz chętnie skosztowałybyście żandarma!

— Hejże! — spytali jeźdźcy, których począł przechodzić dreszcz. — Komu to opowiadasz?

— Tym, którzy mi odpowiadają — rzekł Thibault i zawył jak wilki.

Odpowiedziało mu kilkadziesiąt wilczych głosów, jedne były oddalone o dziesięć kroków, inne znajdowały się bardzo daleko.

— Cóż za zwierzęta, które śledzą nas i których język ten łotr zdaje się znać?

— Ha! — wykrzyknął szewc. — Trzymajcie na postronku Thibault-

ta-wilkołaka, prowadzicie go lasem w ciemną noc i jeszcze pytacie cóż to za światelka wokół nas...! Słyszycie, przyjaciele? Odpowiedzcie mi wszyscy razem, tak żeby nie mieli już żadnych wątpliwości.

Wilki posłuszne rozkazowi swego pana, wydały długie, złowieszcze wycie. Oddech koni stał się głośny, były spłoszone.

Żandarmi robili co mogli, by uspokoić swoje wierzchowce, głaszcząc je dłonią lub przemawiając do nich łagodnie.

— To jeszcze nic — rzekł Thibault. — Dopiero za chwilę, gdy każdy koń będzie miał dwa wilki przy zadzie i jednego przy szyi, będzie na co patrzeć!

Wilki przechodziły między końmi łąsić się do Thibaulta.

Jeden z nich wspiął się na pierś szewca, jakby pytał o rozkazy.

— Spokojnie! — rzekł Thibault. — Mamy dużo czasu: nie bądźcie egoistami i dajcie kolegom czas, by mogli tu przybyć.

Żandarmi nie panowali już nad swymi wierzchowcami, które stawały dęba, narowiły się, okryły się potem i pianą.

— Czy nie zrobilibyście teraz małej zamiany? Zapewne chętnie zwrócilibyście mi wolność, byle każdy z was mógł spać dziś w nocy w swoim łóżku...

— Trzymajmy się razem — krzyknął jeden z eskortujących. — Póki trzymamy się razem, nie mamy się czego bać.

Drugi wyciągnął szablę. Chwilę później dało się słyszeć bolesne wycie. Jeden z wilków chwycił żandarma za but, na co tamten ciął go szablą przez łeb.

— Oto co nazywamy nieostrożnością — rzekł Thibault. — Wilki się pożerają, a kiedy poczują krew, nie wiem, czy będę w stanie je powstrzymać.

Wilki rzuciły się na rannego towarzysza i po kilku minutach zostały z niego tylko kości.

Żandarmi skorzystali z tych pięciu minut, by nadrobić drogi nie puszczając Thibaulta i zmuszając go do biegu. Stało się jednak tak, jak przewidywał Thibault.

Usłyszeli nagle ryk huraganu. To wilcza sfora dogoniła ich.

Konie, puszczone klusem nie dały się zmusić do spowolnienia kroku, przeżone tętentem wilczych łap, wyciem i zapachem drapieżców. Żandarm, który trzymał więźnia, nie mogąc jedną ręką okiełznać konia, puścił sznur, na którym był uwiązany Thibault.

Wilki rzuciły się, jedne do gardeł, inne do końskich zadów.

Gdy biedne zwierzęta poczuły ostre zęby prześladowców, wpadły w szal i zaczęły uciekać na wszystkie strony.

— Naprzód wilki! Naprzód! — krzyczał Thibault.

Lecz krwawe bestie nie potrzebowały, by je zagrzewać do pracy. Do dwóch lub trzech wilków, które z początku ścigały każdego konia, dołączyło teraz po sześć, siedem i więcej. Jeźdźcy rozproszyli się i niebawem rozległy się po lesie ludzkie krzyki rozpacz, bolesne rżenie koni i wściekłe wycie wilków.

Thibault był wolny.

Miał jednak ręce związane sznurem i spętane nogi.

Najpierw próbował przegryźć więzy zębami. Okazało się to niemożliwe. Następnie usiłował zerwać sznury siłą swych mięśni. I to nie dało skutku.

Jedynym efektem jego wysiłków było to, że sznur wbił mu się głęboko w ciało.

Ryczał z wściekłości, bólu i rozpacz.

Przestał wreszcie targać związanymi ramionami wznosząc zaciśnięte pięści ku niebu, krzyknął:

— Czarny wilku! Spraw, żeby więzy spadły z mych rąk i nóg. Wiesz przecież, że muszę mieć wolne ręce po to, by czynić tylko zło!

W tej samej chwili sznury opadły do stóp Thibaulta.

MISTRZ ZŁA

Nazajutrz, około dziewiątej wieczór, drogą z Puits-Sarrasin szedł w stronę zagajnika Osieres rosły mężczyzna.

Był to Thibault, który chciał ostatni raz spojrzeć na chatkę, a w zasadzie zobaczyć to, co z niej zostało.

Miejsce, gdzie jeszcze przedwczoraj znajdował się jego dom, zajmowała teraz kupa dymiących jeszcze tu i ówdzie zgliszczy.

Zupełnie jakby przybywając na wyznaczone spotkanie wilki utworzyły wokół przymy popiołu szeroki krąg, patrząc na resztki domostwa, tak jak Thibault, z gniewem i wściekłością. Zdawały się rozumieć, że niszcząc ten drewniano-ziemny domek, uczyniono zamach na tego, który na mocy przymierza z czarnym wilkiem stał się ich panem.

Gdy Thibault wszedł do kręgu, wszystkie wilki wydały z siebie przeciągłe, żałobne wycie, jak gdyby chciały dać swemu władcy do zrozumienia, że są gotowe sekundować mu w zemście.

Thibault usiadł w miejscu, gdzie było kiedyś palenisko.

Rozpoznał je po kilku okrytych sadzą, lecz nie naruszonych kamieniach i po popiołach, które tworzyły w tym miejscu wyższy stos.

Siedział tak przez dłuższą chwilę.

Nie uważał, że obraz zniszczenia, który miał przed oczami, był karą, skutkiem jego coraz to większej chciwości. Nie czuł żalu, nie miał też poczucia krzywdy. Radość jaką odczuwał płacąc ludziom złem za zło, pycha straszliwej mocy wyrastająca z możliwości niszczenia swych prześladowców, gasiła w nim wszelkie dobre uczucia.

Wilki wyły potępieńczo rzekł im więc:

— Tak, przyjaciele, wasz głos łączy się z głosem mego serca... ludzie zburzyli moją chatkę, rozrzucili na wietrze popioły narzędzi, którymi zarabiałem na chleb. Ich nienawiść ściga mnie tak samo jak was; nie sposób oczekiwać od nich łaski, ni litości. Jesteśmy ich wrogami, tak jak oni są naszymi: nie będzie dla nich ani litości, ani wdzięczności, ani współczucia. Chodźcie więc z chałupy do pałacu razem nieśmy im ból i gniew, który tutaj zasiali!

I niczym wódz kondotierów, władca wilków z całą zgrają, ruszył w drogę,

niosąc z sobą cierpienie i krew. Tym razem jednak ofiarą nie miały być daniele, jelenie czy mniejsza zwierzyna.

Pod osłoną nocy Thibault zbliżył się do zamku Vez, gdyż tu miał siedzibę jego główny wróg. Baron posiadał trzy folwarki leżące wokół zamku, stajnie pełne koni, obory pełne krów, zagrody pełne owiec.

Już pierwszej nocy rozpoczął się atak. Nazajutrz znaleziono w stajni dwa zagryzione konie, cztery poszarpane krowy w oborze i dziewięć martwych owiec w zagrodzie.

Pan de Vez nie mógł uwierzyć, że zniszczeniu winne są zwierzęta, którym wydał wojnę na śmierć i życie; nie wyglądało to na bezmyślny, okrutny napad, lecz na przemyślane nękanie przeciwnika. Po śladach łap na ziemi, po znamionach zębów na ranach, widać było jasno, że to wilki były sprawcami katastrofy.

Nazajutrz ustawiono strażę.

Lecz Thibault i jego banda rozpoczęli atak po drugiej stronie lasu. Tym razem uderzono na stajnie, obory i park w Soucy i Viviers. Następnej nocy krew połała się w Boursonnes i Yvors. Dzieło zniszczenia raz rozpoczęte, miało być kontynuowane z całą zaciętością.

Władca wilków nie opuszczał swych poddanych; spał w ich barłogach; żył pośród nich, pobudzając ich krwiożerczość.

Każdy drwal, każdy zbieracz chrustu, który spotykał w gęstwinie krwawy, wilczy pysk o białych ostrych zębach albo został porwany i pożarty przez drapieżniki, albo zawdzięczał życie własnej odwadze i ostremu sierpowi.

Wspomagane ludzkim rozumem, wilki stały się dzięki swej organizacji i dyscyplinie straszniejsze niż banda maruderów grasująca po podbitym kraju.

Trwoga i terror były powszechne; nikt nie ważył się wyjść poza miasto czy wieś bez broni. Bydło karmiono w oborach, a ludzie czekali jedni na drugich, by poruszać się tylko w gromadzie.

Biskup Soissons zarządził powszechne modły, by wyblagać roztopy, gdyż przyczynę krwiożerczości bestii upatrywano w obfitych opadach śniegu.

Mówiono, że wilkami dowodzi człowiek i że jest on bardziej wytrwały, okrutny, nieugięty niż zwierzęta, że na wzór swych towarzyszy żywi się mięsem i pije krew.

Lud wskazywał na Thibaulta.

Biskup obłożył dawnego szewca ekskomuniką. Baron de Vez sądził natomiast, że gromy ciskane na czarownika z wyżyn ambony nie zniszczą złego ducha, o ile nie będzie im towarzyszył atak.

Uznał za niepokojące, że tyle krwi zostało przelanej przez drapieżców, których on, wielki łowczy, miał szczególny obowiązek tępić; jednak w głębi serca kryła się radość na myśl o wspaniałych polowaniach, które staną się jego udziałem i sławie jaka przypadnie mu wśród znanych myśliwych. Jego namiętność do polowania, ucieleśniająca się najlepiej w wyzwaniu, które przeciwnik zdawał się podejmować, urosła do niezwykłych rozmiarów. Nie dał sobie chwili odpoczynku, nocami przemierzał pola i lasy w towarzystwie Eveille'a i Engouleventa, podniesionego po ślubie do godności oszczepnika; od świtu, cały czas w siodle, ścigał i polował na wilki aż do chwili, gdy zapadający zmrok nie pozwalał mu dostrzec swoich psów.

Lecz na próżno! Całe jego myśliwskie doświadczenie, cała odwaga, cała przemyślność szła na marne.

Dopał tu i tam jakiegoś młodego wilczka albo starego, wysuszonego na wiór basiora, albo rosomaka, który nieopatrznie tak się przeżarł, że tracił oddech po dwóch czy trzech godzinach pościgu.

Ale duże wilki o ciemnosiwym futrze, chudych brzuchach, mocnych nogach i ostrych pazurach nie traciły w tej wojnie ani jednego włoska.

Dzięki Thibaultowi szanse były mniej więcej wyrównane.

Tak jak baron był ciągle pośród swych psów, tak władca nie opuszczał podanych sobie wilków; po nocy łupiestwa, Thibault trzymał swe stada gotowe nieść pomoc temu, którego baron ścigał. Ścigany zaś zgodnie z instrukcjami szewca, najpierw sam próbował zmylić prześladowców; kluczył, biegał stru-

mieniem, wskakiwał na konary drzew, by dodać pracy psom i ludziom. Gdy jego siły poczynały słabnąć, wypuszczał się prosto przed siebie daleko przed ścigającą go sforę i wtedy do dzieła zabierała się zgraja; niewielkim wysiłkiem tak myliła ślady, że tylko tak wytrawny myśliwy jak baron mógł zrozumieć, że psy nie ścigają już zwierzyny całą sforą.

Lecz i on czasami się mylił.

Zresztą jak już wspomniałem wilki ścigały myśliwych; jedna sfora polowała na drugą. Gdy zmęczony pies zostawał w tyle lub zbyt daleko się wysforował, był natychmiast rozszarpany, a oszczepnik, który zastąpił biednego Marcotte'a, mistrz Engoulevent, z którym spotkaliśmy się już kilka razy, podążając na ratunek napadniętemu zwierzęciu, sam bywał atakowany, tak że zawdzięczał życie tylko zręczności swego rumaka.

W krótkim czasie sfora barona została przetrzebiona: najlepsze psy padły ze zmęczenia, średnie zginęły pod wilczym zębem. W stajni nie było wcale lepiej niż w psiarni: Bayard ochwacony, Tancredi ze złamaną nogą, Valeureux z powodu sforsowanej pęciny odesłany jako rezerwowy. Od reszty kompanii odpadł też Sułtan, który zginął na polu chwały wyczerpany szesnastogodzinną pogonią i ciężarem swego pana, którego zapał i odwaga nie ustępowały pod naporem mnożących się przeciwności, grzebiących jego najwierniejsze sługi.

Baron de Vez, niczym szlachetni Rzymianie, którzy wyzyskiwali przeciwko wciąż odradzającym swe szeregi Kartagińczykom cały arsenał sztuki wojennej, zdecydował się zmienić taktykę i spróbował nagonki. Zwołał pospolite ruszenie chłopstwa i przecesał las tak dokładnie, że w miejscach, gdzie przeszli naganiacze, nie uchował się nawet zając.

Lecz Thibault przewidział taki obrót rzeczy i domyślił się, gdzie uderzy następna obława. Gdy uderzenie szło od strony Viviers albo Soucy wilki i ich przewodnik urządzali wycieczkę na Boursonne lub Yvors. Gdy nagonka szła od strony Haramont lub Longpré, banda pojawiała się w Corcy i Vertefeuille.

I choć baron zapuszczał się na nocne obchody, odbywał je w zupełnej ciszy i

uderzał o świecie, nie wyłuskał nawet jednego wilka z legowiska.

Ani razu Thibault nie dał się zmylić.

Jeśli nawet źle zrozumiał zamiary swego przeciwnika lub po prostu nic o nich nie wiedział, wysławszy nocą gońców gromadził wszystkie wilki w jednym miejscu, następnie niezauważony, przemykał się przez zagajnik Lisart-l'Abbesse, który łączy a w zasadzie łączył w tamtych czasach las Compiègne z lasem Villers-Cotterêts.

Ta zabawa w chowanego trwała wiele miesięcy.

Podobnie jak baron, Thibault z pasją prowadził swoje działania; jako przeciwnik zdawał się posiadać nadzwyczajne siły, pozwalające mu nie ustępować pod naporem zmęczenia i wrażeń. Warto tu zauważyć, że w krótkich chwilach, kiedy pan na Vez dawał władcy wilków wytchnienie, dusza tego ostatniego daleka była od spokoju.

Czyny, których się dopuścił osobiście lub którymi kierował nie przerażały go. Wydawały mu się słuszną zapłatą dla tych, którzy go do tego popchnęli.

Czasami miał chwile zwątpienia, z których nie zdawał sobie wcale sprawy. Był wtedy smutny i obojętny pośród krwiożerczych kompanów.

Przed oczami stawał mu obraz Angelette, a wraz z nim cała przeszłość uczciwego i pracowitego rzemieślnika, spokojnego życia, uosobiona w tej słodkiej, niewinnej postaci. Nigdy nie przypuszczał, że można tak kochać, jak on ją kochał. Raz płakał jak dziecko nad utraconym szczęściem, raz ogarniała go wściekłość na tego, który posiadał szczęście jakie on, Thibault mógł mieć kiedyś bez trudu.

Pewnego dnia baron, chcąc przygotować nowy plan walki, musiał zostawić wilki w spokoju. Thibault właśnie w takim, żalonym stanie ducha opuścił uroczysko, gdzie żył wspólnie z wilkami.

Była piękna, letnia noc. Począł błąkać się po lesie. Księżyc srebrzył korony drzew, a on wspominał czasy, gdy stąpając po dywanach mchu miał duszę wolną od strachu.

Dostał jedynej łaski jakiej mógł oczekiwać — zapomnienia. Zatopiony w błogim śnie o swojej przeszłości usłyszał nagle jakiś sto kroków od siebie bolesny krzyk rozpacz.

Był już tak obyty z ludzkim nieszczęściem, że w każdej innej sytuacji nie zwróciłby nań najmniejszej uwagi. W tej chwili jednak wspomnienie Angelette topiło mu serce i budziło miłosierdzie do świata, ludzi i zwierząt. Było to tym bardziej zrozumiałe, że właśnie w tej okolicy po raz pierwszy ją spotkał.

Pobiegł więc do miejsca, skąd pochodził ów krzyk i przeskoczywszy krzaki zagajnika, ujrzał kobietę napadniętą przez ogromnego wilka. Nieświadomy sentymentu jaki nim powodował, Thibault poczuł, że jego serce bije mocniej niż zwykle.

Jedną ręką złapał zwierzę, ścisnął za gardło i oderwał od ofiary. Następnie wzięwszy ją na ręce, zaniósł nad brzeg rowu. Wtedy blask księżyca oświetlił twarz tej, którą wyrwał ze szponów śmierci.

Thibault rozpoznał Angelette.

Kilka kroków dalej znajdowało się źródło, w którym zobaczył odbicie pierwszego ognistego włosa. Pobiegł tam, nabrał wody w złączone dłonie i zrosił nią twarz młodej kobiety.

Angelette otworzyła oczy, krzyknęła przerażona usiłując podnieść się i uciec.

— Cóż to! — rzekł władca wilków, jakby ciągle jeszcze był szewcem Thibaultem. — Nie poznajesz mnie, Angelette?

— O tak, poznaję cię. Poznaję i właśnie dlatego się boję!

I padła na kolana, składając dłonie w błagalnym geście.

— Nie zabijaj mnie, Thibault! Nie zabijaj mnie! Babcia umarłaby z żalu! Nie zabijaj mnie!

Władcę wilków ogarnęło zmieszanie.

W tej chwili zrozumiał jak straszliwą miał reputację, skoro na sam jego widok, kobieta, która go kochała i którą on nadal kochał, mdlała z przerażenia.

Przez chwilę bał się samego siebie.

— Ja miałbym cię zabić, Angelette! Chcę cię wyrwać ze szponów śmierci! Jakże musisz mnie nienawidzić, by podobna myśl przyszła ci do głowy!

— Nie czuję do ciebie nienawiści — odparła młoda kobieta. — Ale ludzie mówią o tobie takie straszne rzeczy, że to mnie przeraża.

— A czy mówią również o zdradzie, która mnie popchnęła do tych zbrodni?

— Nie rozumiem — rzekła Angelette patrząc na Thibaulta swymi wielkimi, błękitnymi oczyma.

— Jak to! — wykrzyknął. — Czy nie rozumiesz, że kochałem cię Angelette i oszalałem, gdy cię utraciłem?

— Jeśli mnie kochałeś, któż ci bronił ożenić się ze mną?

— Duch zła — mruknął pod nosem Thibault.

— Ja cię kochałam — ciągnęła dziewczyna — i oczekując cię, bardzo cierpiałam.

Thibault cicho westchnął.

— Kochałaś mnie, Angelette? — spytał.

— Tak — odparła łagodnie.

— Lecz teraz — podjął Thibault — wszystko przepadło, już mnie nie kochasz...

— Nie kocham cię już, bo mi nie wolno. Lecz pierwsze uczucie pozostawia w sercu ślad do końca życia.

— Angelette! Uważaj co mówisz! — rzekł Thibault drżąc na całym ciele.

— A czemuż to — rzekła dziewczyna, chyląc głowę. — Czemuż mam uważać na słowa, skoro to czysta prawda. Gdy powiedziałeś, że chcesz mnie pojąć za żonę, uwierzyłam, gdyż po co miałbyś kłamać, skoro już wyświadczyłam ci przecież przysługę? A gdy znów się spotkaliśmy, nie szukałam cię wcale, lecz sam do mnie przyszedłeś, wyznając miłość i przyrzekając po raz wtóry, to co raz już wcześniej przyrzekłeś. To nie moja wina, że bałam się twojej obrączki, która dobra dla ciebie, okazała się zbyt mała na mój palec.

— Czy chcesz, żebym nie nosił już tej obrączki? Czy chcesz abym ją wyrzu-

cił?

Thibault próbował zdjąć z palca piekielny pierścień.

Lecz obrączka zbyt mała na palec Angelette, okazała się także zbyt mała, by zejść z palca Thibaulta. Na próżno pocił się, próbował ściągnąć ją zębami, obrączka była jakby wrośnięta na wieki w jego ciało. Pojął, że trzeba zrezygnować z prób pozbycia się obrączki, gdyż stanowiła ona symbol jego przymierza z czarnym wilkiem.

Z ciężkim westchnieniem opuścił ręce.

— Tego dnia — mówiła dalej Angelette — uciekłam. Wiem, że zrobiłam źle, lecz na widok twej obrączki nie mogłam opanować strachu, a poza tym...

I nieśmiało spojrzała na twarz Thibaulta.

Były szewc miał odkrytą głowę i w świetle księżyca Angelette dostrzegła, że to nie jeden włos miał piekielną barwę, lecz już niemal cała czupryna władcy wilków przybrała diabelski kolor.

— Och! — krzyknęła z przerażeniem, cofając się o krok. — Thibault! Cóż się się stało od czasu, gdy widziałam cię ostatnio?

— Angelette! — krzyknął padając na ziemię, chwytając dłońmi głowę i dotykając czołem ziemi. — Tego, co się przytrafiło, nie mogę opowiedzieć żadnemu ludzkiemu stworzeniu, nawet księdzu, nawet tobie. Powiem tylko tyle: zlituj się nade mną, bom nieszczęśliwy!

Angelette podeszła do Thibaulta i ujęła jego dłoń.

— Kochałaś mnie więc? Naprawdę mnie kochałaś? — spytał.

— Jakże by inaczej! — rzekła dziewczyna głosem łagodnym i niewinnym. — Wierzyłam twemu słowu i za każdym razem, gdy słyszałam stukanie do drzwi naszej chatki, myślałam, że przychodzisz by rzec mojej babci: „Kocham Angelette, Angelette kocha mnie, czy dasz mi ją za żonę?” A gdy drzwi się otwierały i widziałam, że to nie ty, szłam w najciemniejszy kąt izby i tam płakałam.

— A teraz Angelette, a teraz?

— Teraz — odparła młoda kobieta — mimo tych wszystkich rzeczy, które

opowiada się o tobie, nie boję się tak naprawdę; myślę, że nie chcesz mi zrobić krzywdy. Odważnie szłam przez las, gdy ta bestia rzuciła się na mnie.

— Lecz jak to się stało, że szłaś od strony swego dawnego domu? Czy nie mieszkasz u boku męża?

— Mieszkaliśmy przez pewien czas w Vez, lecz nie było tam miejsca dla starej, ślepej kobiety. Rzekłam więc mężowi: „Przede wszystkim babcia. Wracam do niej. Jeśli zechcesz mnie odwiedzić, to przyjdiesz”.

— I zgodził się na to?

— Początkowo nie chciał, lecz gdy zwróciłam mu uwagę, że babcia ma już siedemdziesiąt lat, a dając jej, obym się na Boga myliła, dwa czy trzy lata życia, będą to tylko dwa czy trzy lata rozłąki. Nam natomiast jeśli Bóg da, pozostało jeszcze wiele czasu. Zrozumiał, że trzeba dać temu, kto ma mniej.

Lecz ze słów Angelette Thibault zrozumiał tylko jedno: że miłość do niego, zrodzona wcześniej, żyła jeszcze w sercu dziewczyny.

— A więc Angelette, kochałaś mnie? Mogłabyś mnie pokochać jeszcze raz?

— Nie, to niemożliwe. Należę już do innego.

— Angelette, powiedz tylko, że mnie kochasz!

— O nie, gdybym cię kochała, zrobiłabym wszystko, by to ukryć przed tobą.

— Dlaczego? — sprzeciwił się Thibault. — Nie znasz mojej mocy! Wiem, że zostało mi jedno, może dwa życzenia, lecz układając je z twoją pomocą, mogę uczynić cię bogatą jak królowa... Możemy stąd wyjechać, opuścić Francję, Europę. Są ogromne kraje o których nawet nie słyszałaś, a które zwą się Ameryka, Indie. To raj z wiecznie błękitnym niebem, z wielkimi drzewami, z barwnymi ptakami wszelkich gatunków. Angelette, jeśli chcesz iść za mną, powiedz tylko, błagam powiedz słowo! Nikt się nie dowie, że ruszyliśmy razem, nikt się nie dowie o naszej miłości, nikt nie będzie nawet wiedział, że żyjemy!

— Uciec z tobą? — rzekła Angelette spozierając na władcę wilków z niedowierzaniem. — Czy nie rozumiesz, że nie należę już do ciebie? Czy nie wiesz, że jestem zamężna?

— Jeśli mnie kochasz, możemy żyć szczęśliwie.

— Thibault! Co mówisz!

— Słuchaj — ciągnął — powiem ci w imieniu tego i tamtego świata: jeśli chcesz uratować zarazem moje ciało i moją duszę, nie opieraj się! Zlituj się nade mną i chodźmy! Chodźmy tam, gdzie nie będzie słychać wilczego wycia, gdzie nie czuć zapachu krwi. A jeśli nie chcesz być bogatą damą, pójdziemy tam, gdzie odrodzi się Thibault — biedny rzemieślnik, lecz obdarzony miłością ukochanej kobiety i szczęśliwy wśród swych ciężkich prac, tam gdzie Angelette nie będzie miała prócz mnie innego oblubieńca. Musisz mnie wysłuchać.

— Byłam gotowa zostać twoją żoną, lecz mną wzgardziłeś!

— Angelette, błagam, nie przypominaj mi czynów, za które teraz cierpię tak surową karę.

— Inny uczynił to, przed czym się ty wzbraniałeś; wziął za żonę biedną, młodą dziewczynę, zaopiekował się starą, ślepą kobietą; jednej dał nazwisko, drugiej chleb. Nie żądał w zamian niczego prócz mej miłości; żadnych dóbr prócz mego przyrzeczenia. Czy myślisz, że mogłabym mu za dobro odpłacić złem? Czy śmiesz mi rzec, że winnam opuścić tego, który złożył wszystkie dowody swej miłości, dla mężczyzny, który przeciwnie, dowiódł tylko swej obojętności? To niemożliwe. Prędzej umrę!

— Lecz jeśli nie kochasz jego, tylko mnie, co cię to wszystko obchodzi?

— Thibault, nie szukaj w moich słowach tego, czego nie powiedziałam. Mówiłam o przyjaźni do ciebie, lecz nie powiedziałam, że nie kocham męża. Pragnę widzieć cię szczęśliwym przyjacielem, a w szczególności chciałabym, byś wyrzekł się swoich grzechów, naprawił krzywdy, byś wyrwał się ze szponów złego ducha, o którym mówiłeś. Oby Bóg zlitował się nad tobą. Poproszę Go o to wieczorem i rano w modlitwach. Lecz modląc się za ciebie, muszę mieć duszę czystą. Do tronu Pana dotrzeć może tylko głos niewinny; muszę dotrzymać przyrzeczenia, które złożyłam u stóp ołtarza.

Thibault słysząc spokojny i zdecydowany głos Angelette, spochmurniał na

nowo.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że mówiąc tak, popełniasz wielką nieostrożność.

— Czemu — spytała dziewczyna.

— Jesteśmy tu sami; jest noc, a o tej porze żywa dusza nie wejdzie do lasu.

Czy wiesz, że nawet cesarz nie jest panem ziemi, po której ja stąпам?

— Cóż to znaczy?

— To, że po błaganiach, prośbach i łzach mogę przejść do grózb!

— Grozisz mi?

— Chcę powiedzieć, — mówił dalej Thibault nie słuchając Angelette — że każdym słowem, które wymawiasz porzucasz jednocześnie mą miłość do ciebie i nienawiść do niego; chcę powiedzieć, że nieostrożnie jest, gdy owca, będąc w zasięgu wilczej łapy, drażni go.

— Jak już ci zresztą mówiłam Thibault, idąc tą ścieżką nie bałam się ujrzawszy ciebie. Gdy wróciłam do przytomności, myśląc mimowolnie o tym, co ludzie o tobie mówią, poczułam chwilę grozy. Lecz cokolwiek byś teraz zrobił, nawet nie zblednę.

Thibault chwycił się za głowę.

— Nie mów tak, kobieto, gdyż nie wiesz nawet, co diabeł szeptem mi do ucha i ile mnie kosztuje, by się temu oprzeć.

— Możesz mnie zabić — odparła Angelette, — lecz nie dopuszczę się podłości, do której mnie nakłaniasz. Możesz mnie zabić, lecz do końca pozostanę wierną temu, kogo wzięłam za męża. Możesz mnie zabić, lecz umierając będę się modlić, by wszechmogący miał go w swej opiece. Musisz zrozumieć, że między nami wszystko skończone. Nie ma już odwrotu.

— Nie wymawiaj jego imienia, Angelette, nie każ mi myśleć o tym człowieku.

— Możesz mi grozić czym chcesz, gdyż jestem w twoich rękach, lecz on na szczęście jest daleko od ciebie i nie masz nad nim żadnej władzy.

— A któż ci powiedział, że dzięki swej piekielnej mocy nie mogę uderzyć z

daleka? Czy wiesz, że sile tej ledwo się opieram? Nie wódź mnie na pokuszenie! Proszę!

— A gdy będę wdową nie myśl, że upadnę tak nisko, by przyjąć twą rękę, rękę okrytą krwią tego, którego poślubiłam!

— Angelette — rzekł Thibault padając na kolana — oszczędź mi następnej zbrodni!

— Zbrodnia będzie twoim, a nie moim dziełem. Mogę oddać moje życie, lecz nie oddam ci mej uczciwości!

— Tak? — odparł gniewnie Thibault. — Miłość opuszcza serce, gdy wchodzi doń nienawiść. Uważaj, Angelette! Uważaj na swego męża! Zły duch siedzi we mnie i pocznie mówić moimi ustami! Zamiast znaleźć pocieszenie w twojej miłości, której mi odmawiasz, znajdę je w zemście. Angelette, póki jeszcze możesz, zatrzymaj mą rękę, która przeklina i skazuje, bo w przeciwnym razie, nie ja, lecz ty uderzysz moją ręką! Angelette, dobrze wiesz... Milczysz? A więc bądźmy przeklęci: Ty, on i ja! Chcę, żeby Engoulevent umarł i dlatego umrze!

Angelette krzyknęła z przerażenia. Lecz, że rozum przeczył możliwości dokonania zbrodni na odległość, rzekła:

— Mówisz tak, by mnie przestraszyć, jestem pewna, że modlitwa zapobiegnie zniszczeniu się twoich klątw!

— Sprawdź więc, czy niebo wysłuchuje twych pacierzy; a jeśli chcesz zobaczyć swego męża żywego, śpiesz się Angelette, bo możesz się potknąć o trupa!

Przejęta pewnością, z jaką władca wilków wymawiał te słowa, Angelette bez słowa ruszyła biegiem w stronę Préciamont, czyli w kierunku, który wskazywała wyciągnięta ręka Thibaulta stojącego nad brzegiem rowu. Dziewczyna zniknęła z oczu naszego bohatera za najbliższym zakrętem.

Gdy władca wilków znalazł się już zupełnie sam, wydał z siebie potworny ryk, taki jak tuzin wściekle wyjących bestii.

Biegnąć na oślep przez zarośla krzyczał:

— Jestem przeklęty, teraz jestem naprawdę przeklęty!

OSTATNIE ŻYCZENIE

THIBAULTA

Ścigana głęboką obawą, wręcz lękiem o losy swego męża, Angelette spiesząc do wsi, zmuszona była zatrzymać się kilka razy, by złapać tchu.

Podczas tych krótkich chwil odpoczynku próbowała odzyskać równowagę ducha i przekonać samą siebie, że głupotą jest przywiązywać wagę do słów bez znaczenia, powodowanych zazdrością i nienawiścią, słów rzuconych na wiatr. Tymczasem za każdym razem, gdy tylko złapała kilka haustów powietrza i gdy wracały jej siły, rzucała się do szaleńczego biegu, mimo wszystko niespokojna o losy męża.

Chociaż musiała przebyć około pół mili przez najgroźniejsze i najdziksze partie lasu, nie myślała wcale o drapieżnikach, będących postrachem wszelkich żywych istot w promieniu dziesięciu mil. Bała się, że znajdzie już martwe ciało męża.

Gdy potykała się o kamień lub gałąź, serce podchodziło jej do gardła, oddech zamierał, jakby miała wydać z siebie ostatnie tchnienie, włosy stawały dęba, czoło zalewał zimny pot.

Na końcu ścieżki, którą biegła, za utworzonym przez pochylone ku sobie pnie dwu drzew portalem ujrzała, niczym oprószone srebrnym pyłem, oświetlone przez księżyc pola.

W chwili, gdy wynurzyła się z mroku panującego w lesie i stanęła wśród jasności pól, mężczyzna, którego przedtem nie zauważyła, wyskoczył z krzaków porastających rów dzielący las od pola i chwycił Angelette w ramiona.

— Ho, ho, ho! — rzekł ze śmiechem. — Gdzie biegiesz o tej porze, panienko?

Angelette rozpoznała męża.

— Etienne, drogi Etienne! — wyszeptała drżącym głosem obejmując go za szyję. — Jakże się cieszę, że widzę cię żywego! Boże, wielkie dzięki!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się. — Sądziłaś, że Thibault-wilkołak schrupał mnie na kolację?

— Nie wymawiaj tego imienia! Uciekajmy, mój kochany, uciekajmy do wsi!

— Hola! — odparł wesoło młody strzelec. — Później będą gadali w Préciamont i w Vez, że mąż nie potrafi nawet uspokoić własnej żony, skoro nie czuje się ona pewnie u jego boku!

— Masz rację, lecz przed chwilą odważnie przebyłam ten wielki, straszny las i nie wiem, czemu teraz, gdy nie mam już czego się obawiać, bo jesteś przy mnie, ciągle drzę ze strachu!

— Cóż ci się przytrafiło? Opowiedz mi wszystko — rzekł Engoulevent całując żonę w policzek.

Angelette opowiedziała mężowi, jak idąc z Vez do Préciamont została napadnięta przez wilka, a Thibault uratował ją od pewnej śmierci. Opowiedziała też przebieg rozmowy między nią a wilkołakiem.

Engoulevent słuchał żony z największą uwagą.

— Posłuchaj — rzekł do niej — odprowadzę cię do domu, zamknę cię bezpiecznie wraz z babcią, a sam dosiędę konia i uprzedzę barona, gdzie przebywa teraz Thibault.

— Nie, tylko nie to! — krzyknęła Angelette. — Musiałbyś jechać przez las, a tam może cię spotkać nieszczęście!

— Pojadę naokoło — stwierdził Etienne. — Zamiast jechać lasem, ruszę przez Coyolles i Vallue.

Angelette westchnęła i spuściła głowę, lecz nie nalegała dłużej. Wiedziała, że teraz nic już nie wskóra, a poza tym zamierzała ponowić namowy po powrocie do domu.

Prawdę powiedziawszy to, co zamierzał uczynić młody strzelec, było tylko wypełnieniem jego obowiązku. Na następny dzień bowiem szykowano ogromną

nagonkę w części lasu znajdującej się dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym dziewczyna spotkała czarownika. Nie było zbyt wiele czasu na zmianę planów.

Angelette w milczeniu zbliżała się do Préciamont. Gdy uznała, że zebrała wystarczająco dużo argumentów, by odciągnąć męża od powziętego zamiaru, na nowo zaczęła przekonywać go z większym zapalem niż poprzednio.

Mówiła mu, że Thibault jest może wilkołakiem, ale nie tylko nie wyrządził jej najmniejszej krzywdy, lecz wyrwał z pazurów bestii; zamiast użyć swej przewagi, gdy była w jego mocy, pozwolił jej w pokoju wrócić do męża. Donieść o kryjówce Thibaulta jego najsrońszemu wrogowi wcale nie było spełnieniem szczytnego obowiązku, lecz zdradą. Gdyby tak się stało, Thibault, który z pewnością dowie się kto go wydał, nie zlituje się już nad nikim.

Młoda kobieta broniła Thibaulta z zapalem i elokwencją. Należy pamiętać, że oddając rękę Engouleventowi, nie ukryła przed nim swych dawnych związków z szewcem.

Mimo, iż ufał żonie w najwyższym stopniu, Etienne łatwo jednak uległ zazdrości. Zresztą istniały między nim a szewcem rachunki do wyrównania, które wzięły swój początek w dniu, gdy Engoulevent znalazł Thibaulta ukrytego na drzewie, a jego oszczep schowany w krzakach.

Mąż Angelette utwierdził się więc ostatecznie w swoim zamiarze i szedł szybko w stronę Préciamont, słuchając próśb i nalegań żony.

Gdy tak rozmawiali, każde zostając przy swoim, dotarli na odległość stu kroków od pierwszych zagród.

Chłopi, by uchronić się przed napadami Thibaulta, zorganizowali coś w rodzaju nocnych patroli, działających na wzór ludowej milicji w czasie wojny.

Etienne i Angelette byli tak zajęci rozmową, że nie usłyszeli „kto idzie?” strażnika stojącego za płotem i zbliżali się do zabudowań.

Strażnik, widząc sunący ku niemu cień, przybierający w jego wyobrażeniach monstualną formę i nie odpowiadający na wezwanie, złożył się do strzału.

Engoulevent podnosząc wzrok dostrzegł w blasku księżyca strażnika i lśniąca

gładź lufy. Krzycząc:

— Stój! — rzucił się do przodu i rozciągnął ramiona zasłaniając Angelette własnym ciałem.

W tej samej chwili padł strzał i nieszczęsny Etienne bez słowa skargi z ciężkim westchnieniem osunął się na tę, którą ochraniał.

Kula trafiła go prosto w serce.

Gdy ludzie zaniepokojeni hukem wystrzału wybiegli na ścieżkę prowadzącą ze wsi do lasu, znaleźli martwego Engouleventa i Angelette leżącą obok niego bez przytomności.

Przyniesiono nieszczęsną dziewczynę do chatki jej babci.

Po pewnym czasie odzyskała przytomność, lecz tylko po to, by popaść w rozpacz. Gdy minęło otępienie pierwszych dni, rozpacz urosła do rozmiarów szaleństwa. Oskarżała się o spowodowanie śmierci męża, wołała go, prosiła niewidzialne duchy o łaskę dla niego. Koszmary nawiedzały ją w krótkich chwilach snu.

Wymawiała imię Thibaulta, zwracając się do tego banity z błaganiem, które wyciskało łzy z oczu słuchaczy. A że we wszystkim co mówiła w swym obłędzie, mimo chaosu słów i myśli znajdowały się przecież także suche fakty, rozumiano, że potworny władca wilków zamieszany był w sprawę śmierci Engouleventa.

Oskarżono więc publicznego wroga o rzucenie uroku na młode małżeństwo i nienawiść do dawnego szewca rosła jeszcze bardziej w ludzkich sercach.

Choć sprowadzono jednego lekarza z Villers-Cotterêts i drugiego z Ferté-Milon, stan Angelette pogarszał się z dnia na dzień; opadała z sił, jej głos po kilku dniach osłabł i przeszedł w szept, miała gorączkę i majaczyła. Wszystko to, a także milczenie lekarzy, kazało sądzić, że niezadługo Angelette dołączy do męża.

Jedynie głos ślepej staruszki chwilami poprawiał stan dziewczyny. Słyszając głos babki Angelette uspokajała się, spojrzenie jej błyszczących oczu zwilżonych łzami łagodniało. Dotykała dłonią czoła, jakby chciała odsunąć jakieś przykre

myśli. Smutny blady uśmiech rysował się na jej ustach.

Pewnego wieczora Angelette spała snem jeszcze mniej spokojnym niż zazwyczaj.

Izba, słabo oświetlona miedzianym kagankiem, pogrążona była w półmroku: babka siedziała przed kominkiem nieruchomo, z niemal martwym wyrazem twarzy, pod jakim dzicy i chłopci ukrywają najwyższe uczucia.

Z dwóch kobiet, które baron de Vez najał, by opiekowały się wdową po jego słudze, jedna modliła się klęcząc u stóp łóżka, na którym leżała Angelette blada jak płótno. Tylko nieregularny ciężki oddech był jedynym znakiem życia, jaki dawała; druga w milczeniu przedła wełnę.

Nagle chora, którą od pewnego już czasu trzęsły dreszcze, zaczęła się rzucać w pościeli, jakby chcąc się od czegoś wyswobodzić i rozpaczliwie krzyknęła.

W tej chwili do chatki wkroczył mężczyzna, którego głowa zdawała się być otoczona ognistą koroną. Podbiegł do łóżka Angelette, objął leżącą, przycisnął do piersi z jękiem bóleści, ucałował jej rozpalone czoło i rzuciwszy się do drzwi zniknął w ciemnościach, wśród pól.

Pojawienie się i zniknięcie naszego bohatera było tak nieoczekiwane i szybkie, iż można było sądzić, że młoda kobieta znów zaczyna majaczyć.

— Zabierzcie go stąd! Zabierzcie! — krzyczała.

Obie kobiety także widziały intruza i rozpoznały Thibaulta. Słysząc było już krzyki, wśród których przewijało się imię czarownika. Hałasy te zbliżały się do chałupki Angelette i wkrótce ci, którzy byli ich źródłem, stanęli na progu.

Ścigali władcę wilków.

Widziano Thibaulta, jak kręcił się wokół chatki dziewczyny i mieszkańcy Préciamont. ostrzeżeni przez strażę, uzbroili się w kije i widły, by zgładzić wroga.

Thibault, który znał beznadziejny stan Angelette, nie mógł się powstrzymać, by nie ujrzeć jej przed śmiercią. Rzykując życiem przemknął przez wieś i otworzył drzwi chaty, by spojrzeć na chorą.

Obie kobiety wskazały chłopom kierunek w którym uciekł Thibault i tłum

rzucił się w dalszy pościg, jak sfora, która odnalazła zgubiony trop. Oczywiście Thibault umknął bez trudu prześladowcom, kryjąc się w lesie.

Po wstrząsie, jaki uczyniło na chorej to spotkanie, jej stan pogorszył się na tyle, że trzeba było nocą posyłać po księdza. Przyszedł około północy, a z nim kościelny z krzyżem oraz dzieci z chóru niosące wodę święconą.

Angelette zdała się być wzmocniona jakąś tajemną siłą. Szeptem rozmawiała z duchownym. Wiedziano, że spowiedź dziewczyny, mogła być długa, zrozumiano, że modliła się za kogoś drugiego.

Któż nim był?

Bóg, ksiądz i ona jedni wiedzieli.

ROCZNICA

Thibault nie słysząc już okrzyków wznoszonych przez rozsierdzonych prześladowców, zwolnił nieco kroku.

Skoro las na nowo ogarnęła grobowa cisza, Thibault zatrzymał się i usiadł na stosie kamieni.

Był tak wstrząśnięty, że rozpoznał miejsce dopiero wówczas, gdy ujrzał na kamieniach duże, czarne plamy sadzy, jak gdyby pozostałość po płonącym tu niegdyś ogniu. Z kamieni tych składało się kiedyś jego palenisko. Przypadek zaprowadził go tam, gdzie stała chatka, w której zamieszkiwał jeszcze kilka miesięcy temu.

Z goryczą i żalem porównywał spokojną przeszłość i straszliwą teraźniejszość; po jego policzkach toczyły się łzy padając na zbity popiół, który miał pod stopami. Usłyszał jak z dzwonnicy kościoła w Oigny, a potem w innych okolicznych kościołach zegary biły północ.

O tej godzinie ksiądz słuchał ostatnich słów wyznań i prośb konającej Angelette.

— Niech będzie przeklęty dzień, w którym zechciałem posiąść więcej, niż

dobry Bóg zostawił w zasięgu ręki skromnego rzemieślnika! Niechaj przeklęty będzie dzień, w którym czarny wilk udzielił mi mocy czynienia zła, gdyż zło, które uczyniłem miast umocnić szczęście, zniszczyło je na wieki!

Jakby w odpowiedzi na te słowa prawdy za plecami Thibaulta rozległ się głośny, diabelski chichot.

Spojrzał za siebie i ujrzał czarnego wilka we własnej osobie. Bestia wynurzając się z mroków nocy, zbliżała się do niego jak pies do swego pana.

Byłby w tych ciemnościach prawie niewidoczny, gdyby nie jego płonące oczy.

Obszedł palenisko i usiadł naprzeciw szewca.

— Cóż to? Mistrz Thibault jest nadąsany? Na rogi Belzebuba! Mistrz Thibault jest bardzo kapryśny!

— Jakże mam być zadowolony — odparł z gniewem Thibault — skoro od chwili, kiedy cię spotkałem, zastałem tylko daremnych trudów i bezsilnych żalów? Chciałem bogactwa, a płaczę teraz nad stratą nędznego szalasu, w którym zasypiałem nie lękając się jutra, nie martwiąc się ani zawieruchą, ani deszczem czy smagającym wiatrem. Chciałem godności i zaszczytów, a najnędzniejszy chłopiec, którym niegdyś gardziłem, pędzi mnie z drogi kamieniami. Chciałem miłości, a jedyna kobieta, którą kochałem i która kochała mnie, odeszła do innego. A teraz, kiedy umiera przeklinając mnie, nie mogę mocą którą mi dałeś, zrobić nic, by ją uratować!

— Kochaj więc siebie samego, Thibault!

— O tak! Drwij ze mnie!

— Wcale nie drwię z ciebie. Lecz czy zanim mnie ujrzałeś nie spojrzełeś nigdy z pożądaniem na cudze?

— Może na nędznego daniela, których setki są w tym lesie.

— Sądzisz, że pożądałeś tylko zwierzęcia? Życzenia zazębiają się jedno o drugie, tak jak dni i noce. Chcąc daniela, chciałeś też mieć srebrny półmisek, na którym winien być podany, za srebrnym półmiskiem szedł lokaj, za lokajem

kuchmistrz, który przyrządził to cudowne danie. Ambicja przypomina sklepienie niebieskie, zdaje się kończyć na horyzoncie, lecz w rzeczywistości obejmuje cały glob. Pogardziłeś niewinnością Angelette dla młyna wdówki Polet; nie zdobyłeś młyna — zachciało ci się domu sędziego Magloire'a i to zdawało ci się nic nie warte, gdy wstąpiłeś w progi zamku Mont-Gobert. Przez zazdrość i chciwość zawsze byłeś sługą Lucyfera, twojego i mojego pana. Zabrakło ci jednak rozumu, by wyciągnąć z cudzego nieszczęścia korzyść dla siebie. Być może wtedy twoje sprawy poszłyby innym torem.

— Tak! — westchnął szewc — Dopiero teraz rozumiem w pełni przysłowie: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada!” Lecz czy nie mogę znów stać się człowiekiem uczciwym?

Wilk zaśmiał się szyderczo.

— Mój chłopcze! Za jeden włos diabeł może zawieść człowieka do piekła. Czy liczyłeś, ile już chwycił twoich kudłów?

— Nie!

— Ja ci tego też nie powiem, bo nie wiem. Lecz mogę wyjawić, ile ich zostawił. Jeden! Został ci tylko jeden, ostatni włos. Czas na skruchę już minął!

— Lecz jeśli za jeden włos diabeł może wpędzić człowieka do piekła, dlaczego Pan Bóg nie miałby go stamtąd za ten jeden włos ocalić?

— Spróbuj!

— Zresztą, gdy zawierałem z tobą umowę, nie zamierzałem zawierać z tobą przymierza!

— O! Potworna naturo ludzka! Nie zawierałeś przymierza, durniu, dając mi swoje włosy? Od chwili, gdy ludzie wymyślili chrzest, nie wiemy już za co ich łapać i trzeba, by w zamian za jakieś obietnice, odstąpili nam część swego ciała. Ty oddałeś nam swą czuprynę; trzyma się świetnie, dobrze to wiesz... Nie, Thibault! Jesteś nasz od chwili, gdy na progu drzwi, które były właśnie tu gdzie siedzę, w twojej duszy powstała myśl o rabunku.

— Tak więc! — ryknął wściekle Thibault, wstając i tupiąc nogą — Więc

stracony jestem dla tamtego świata, nie doznawszy żadnej przyjemności na tym padole?

— Przeciwnie, jeszcze możesz ich zaznać!

— Jak?

— Krocząc odważnie tą drogą, na którą wszedłeś chytrym sposobem, odważnie żądając tego, co teraz nieśmiało przyjmujesz: innymi słowy musisz stać się jednym z nas.

— Co muszę zrobić?

— Zająć moje miejsce.

— Co dalej?

— Otrzymasz moją moc; nie będziesz pragnął niczego więcej.

— Jeśli twoja moc jest tak rozległa, jeśli daje ci wszystkie bogactwa świata, czemu się jej pozbywasz?

— Nie martw się o to. Pan, któremu służę, wynagrodzi mnie sowicie za zdobycie nowego sługi.

— A czy zajmując twoje miejsce przybiorę twoją postać?

— W nocy tak. Lecz w ciągu dnia będziesz człowiekiem.

— Noce są długie, ciemne, pełne niebezpieczeństw; mogę dostać kulą od jednego strażnika lub wsadzić łapę w potrzask. A wtedy żegnaj sławo, żegnajcie bogactwa...

— Nic z tych rzeczy. Gdyż skóra, która mnie okrywa, nie przebije ani stal, ani ołów, ani żelazo... Kiedy będzie okrywała twoje ciało, będziesz nie tylko niewrażliwy na rany, lecz również nieśmiertelny; tylko jeden raz do roku przez dwadzieścia cztery godziny — tak jak wszystkie wilkołaki — będziesz zwykłym wilkiem. W ciągu tej doby, będziesz tak samo narażony na śmierć, jak każde inne żywe stworzenie. Gdyśmy się ostatnio widzieli, dokładnie rok temu, był to właśnie taki fatalny dzień.

— Ach! Rozumiem teraz, czemu tak bardzo obawiałeś się psów barona de Vez.

— Gdy pertraktujemy z ludźmi, zakazane jest nam cokolwiek zatajać, czy w inny sposób oszukiwać, musimy im wszystko powiedzieć; do nich należy decyzyja, czy przyjąć czy odrzucić ofertę.

— Mówiłeś mi o mocy, którą bym otrzymał? Cóż to będzie za moc?

— Moc, której nie zwalczy król ani cesarz. Moc królewska ograniczona jest możliwościami człowieka i prawami natury.

— Czy będę bogaty?

— Tak bogaty, że będziesz gardzić bogactwem, gdyż jedynie mocą swej woli będziesz miał nie tylko to, co mają ludzie za srebro i złoto, lecz także to co duchy wyższe otrzymują dzięki swym zaklęciom.

— Czy będę mógł się mścić na wrogach?

— We wszystkim, co się tyczy zła, twoja władza będzie bez granic.

— Czy kobieta, którą pokocham, będzie mogła mi umknąć?

— W odróżnieniu od innych mężczyzn, będziesz je miał na zawołanie.

— Nic nie będzie mogło przeciwstawić się mojej woli?

— Nic, z wyjątkiem śmierci, gdyż ona jest silniejsza niż wszystko.

— A czy ja przez te dwadzieścia cztery godziny będę mógł umrzeć?

— Tak. W pozostałe dni będziesz nietykalny ani ogień, ani żelazo, ani woda, ani ołów nie będą mogły ci zaszkodzić.

— A czy przypadkiem w twych słowach nie kryje się podstęp?

— Słowo wilka, żaden!

— A więc — rzekł Thibault — niech tak się stanie. Będę wilkiem przez jedną dobę, a przez resztę roku — królem wszelkich stworzeń. Co mam uczynić? Jestem gotów.

— Weź listek ostrokrzewu, przegryź go na trzy kawałki i rzuć daleko za siebie.

Thibault zrobił to, co mu kazał czarny wilk.

Urwawszy listek ostrokrzewu rozdarł go zębami i w tej właśnie chwili, chociaż noc była aż dotąd bezwietrzna, ciszę rozdarł grzmot pioruna, a podmuch wiru

powietrznego zmałił ją porywając opadające strzępy listka.

— A teraz, bracie Thibault — powiedział wilk — zajmuj moje miejsce i życzę ci szczęścia! Tak jak ja rok temu, będziesz teraz przez dobę zwykłym wilkiem, postaraj się wyjść z tego równie szczęśliwie jak ja, dzięki tobie, a zobaczysz, jak spełnia się moje przyrzeczenie. Ja w tym czasie będę błagał pana z widlastym berłem, by strzegł cię od psów barona de Vez, gdyż do diabła! Polubiłem cię.

Thibaultowi wydawało się, że czarny wilk olbrzymieje, staje na dwie nogi i wydłuża się przybierając ludzkie kształty.

Piszę „wydawało się” gdyż przez chwilę jego umysł ogarnął zamęt. Czuł dziwny skurcz, krępujący bieg jego myśli.

Skoro tylko się uspokoił, był w lesie sam.

Jego członki zdawały się być uwięzione w dziwnych kształtach.

Był kropka w kropkę podobny do wielkiego, czarnego wilka, z którym przed chwilą rozmawiał.

Jego czarne futro ozdabiał w okolicy ciemienia jeden biały włos. Był to ostatni włos człowieka.

Zanim zdążył się oswoić ze swą nową cielesną powłoką, usłyszał ruch w pobliskich krzakach i głucho szczekanie psów...

Z drżeniem serca pomyślał o baronie.

Thibault, wcielony w czarnego wilka, uznał, że nie popełni błędu swego poprzednika czekając, aż sfera wielkiego łowczego wpadnie na jego trop.

Sądził, że szczekanie, które usłyszał, mogło pochodzić od wyżła i zdecydował się umknąć, zanim psy wbiegną na polanę.

Ruszył szybko przed siebie, jak zwykle czynią wilki, i z głębokim zadowoleniem stwierdził, że po swoistym przeistoczeniu jego siła i zręczność znacznie wzrosły.

— Do stu piorunów! — syknął wściekle baron de Vez do swego nowego oszczepnika. — Kilka kroków dalej przyspiesz nieco kroku! Znów wstrzymałeś wyżła i nigdy nie dogonimy wilka!

— Błąd jest oczywisty, jaśnie panie — odparł szczerwacz — Lecz, że widziałem go wczoraj wieczorem sto kroków stąd, sądzę, iż jest niemożliwe, by spędził noc w tym samym miejscu i byśmy go mieli dwadzieścia kroków stąd.

— Czy jesteś pewny, że to ten sam, który umknął nam już wiele razy?

— Niechaj chleb, który jem na służbie jaśnie pana zmienił się w kamień, jeśli to nie ten sam wilk, którego ścigaliśmy rok temu, gdy utopił się biedny Marcotte.

— Chętnie bym za nim pogonił — rzekł baron z westchnieniem.

— Niech jaśnie pan rozkaże, a ruszamy, lecz proszę mi pozwolić przypomnieć jaśnie panu, że mamy przed sobą jeszcze dwie godziny zupełnych ciemności, a to wystarczy, by wszystkie nasze konie połamały nogi.

— Nie przeczę; lecz jeśli będziemy czekać dnia, Eveillé, ten drań oddali się o dziesięć mil.

— Co najmniej, jaśnie panie, co najmniej! — rzekł Eveillé potrząsając głową.

— Ten diabelski czarny wilk, męczy mnie dniami i nocami, — dodał baron — a mam tak wielką ochotę zedrzeć z niego skórę, że jeśli znów się nie uda, popadnę w obłąd.

— A więc ruszajmy, panie baronie nie tracąc ani chwili!

— Masz rację, Eveillé, zabierz psy.

Eveillé wskoczył na konia, którego przedtem uwiązał do drzewa i ruszył galopem.

Po dziesięciu minutach, które zdały się baronowi długie jak wiek cały, Eveillé powrócił z gromadą psów. Natychmiast puszczono sfore z smyczy.

— Spokojnie, dzieci, spokojnie! — napominał baron. — Pamiętajcie, że nie są to doświadczone psy! To jeszcze młode sztuki i jeśli ich nie powstrzymacie, narobią piekielnego hałasu, a nie złapią nic! Niech się rozgrzewają powoli.

I rzeczywiście pośród psów uwolnionych z krępujących je smyczy dwa czy

trzy od razu chwyciły trop wilkołaka i zaczęły dawać głos.

Na ich szczekanie natychmiast przyszły gończe.

Wszystkie ruszyły śladami Thibaulta, najpierw szukając raczej niż ścigając, z rzadka poszczekując, z czasem jednak coraz częściej i składniej. Gdy wszystkie już chwyciły coraz świeższy ślad wilka, wściekle ujadając ruszyły w stronę zagajnika.

— Ogar dobrze spuszczone, będzie mniej zmęczony! — krzyknął baron. — Eveillé, zapasową sfore! Chcę, żeby były wszędzie... sam będę je szukał! Hej, wy! — rzekł zwracając się do pozostałych psiarczyków. — Mamy niejedną klęskę do pomszczenia! A jeśli przez błąd, któregoś z was nie dopadniemy wilka, to każę go zamiast wilka rzucić psom na pożarcie!

W ten sposób zachęcając służbę baron Jan puścił konia galopem i choć noc była jeszcze ciemna, teren nierówny, gnał go batem i ostrogami, by dołączyć do nagonki, która szła od strony Bourg-Fontaine.

ZACIEKŁE ŁOWY

Thibault odsadził się daleko dzięki temu, że zaczął uciekać, gdy tylko usłyszał szczekanie. Biegł dość długo nie słysząc sfory.

Nagle jak ryk burzy spływający ze wzgórz doszło do niego ujadanie wyłów. Poczul niepokój. Ruszył pędem przez siebie i zwolnił dopiero, gdy się oddalił od sfory na kilka mil.

Rozejrzał się wokół siebie; był na wysokości Montaigu. Nadstawił uszu. Od psów dzieliła go więc spora odległość, słysząc je było w okolicach Tellet.

Thibault zbiegł ze wzniesienia, jakby wychodząc naprzeciw swym prześladowcom. Zostawił Erneville po lewej stronie, wskoczył do strumyka, który tu miał swe źródło, pobiegł nim aż do Grimaucourt, wpadł do lasu Lisart-l'Abbesse i dotarł do lasów Compiègne. Widząc, że mimo trzygodzinnego forsownego biegu w stalowych mięśniach i wilczych łapach nie czuł nawet śladu zmęczenia, doznał

ulgi.

Wahał się, czy wchodzić do lasu, który był mu mniej znany niż jego ojczysty Villers-Cotterêts.

Po jakichś dwóch milach zdecydował się nagle skrócić w las biegnąc prosto przed siebie, co wydawało mu się najlepszym sposobem zgubienia psów.

Przemknął pędem przez pastwiska ciągnące się od Piette-fond do Mont-Gobert, wbiegł do lasu przy polach Meutard, wyszedł przy Vauvaudrand, ruszył rzeczką Sancères w górę jej biegu i wrócił do lasu przez zagajnik Longpont.

Na nieszczęście na drodze z Pendu trafił na następną sforę, którą szczwacz pana de Montesson prowadził w odsiecz na wezwania pana barona de Vez. Sforę spuszczone ze smyczy, gdy szczwacz dostrzegł, że wilk trzyma psy w bezpiecznej dla siebie odległości. Obawiał się, że zwierz odsadzi psy i zgubi je.

Rozpoczęła się więc szalona walka między wilkołakiem a psami.

Szalona pogoń, w której konie, mimo niezwyklej zręczności jeźdźców, z trudem dorównywały kroku drapieżnikowi. Pościg mknął jak strzała przez pola, lasy, wrzosowiska, zagajniki, strumienie. Pojawił się błyskawicznie na wolnej przestrzeni, by zniknąć w ścianie lasu, zostawiając za sobą tylko tumany kurzu i echo, które ledwo zdążyło przebrzmieć.

Pędzili przez wzgórza, doliny, parowy, uskoki, kotliny, jak gdyby psy i konie miały skrzydła, jedno niczym chimery, drugie jak pegazy.

Baron de Vez niebawem dołączył. Na czele swego orszaku, depcząc psom po ogonach, z błyskiem w oku, rozdętymi nozdrzami, zagrzewając psy straszliwymi okrzykami, dźgając wierzchowca ostrogami, gdy tylko zawahał się przed jakąś przeszkodą.

Czarny wilk, ze swej strony narzucał całemu polowaniu szaleńcze tempo. Mimo iż przeżył chwile grozy, słysząc wściekłe ujadanie nowej sfory sto kroków za sobą, nie pozwolił im się zbliżyć ani o łokieć.

Ciągle biegnąc, zachowywał w całej pełni trzeźwość umysłu. Uważał, że nie

może przegrać i nie może umrzeć, nie wzięwszy pierwiej odwetu za wszystkie cierpienia i krzywdy, jakie go spotkały, zanim nie zazna przyrzeczonych mu rozkoszy, a w szczególności, w chwilach krytycznych ta myśl świdrowała jego umysł, zanim nie odzyska serca Angelette.

Strach na przemian ze wściekłością dręczyły jego duszę.

Chciał się odwrócić i zapominając o swym nowym wcieleniu stawić czoła ścigającej go bandzie, rozgromić ją za pomocą pałki i kamieni.

Chwilę później, niemal oszalały z wściekłości, ogłuszony zapowiedzią śmierci dzwoniącą w ujadaniu sfory, uciekał, leciał prawie, jakby miał nogi jelenia a skrzydła orła.

Lecz jego wysiłki były daremne. Mógł gnać, sadzić susami, lecieć prawie, lecz wściekły hałas nie oddalał się ani na krok, a raczej na chwilę odsadzony zbliżał się jeszcze groźniejszy i potężniejszy. Mimo tych niesłychanych wysiłków siły Thibault nie słabły.

Czuł jednak, że gdyby na swoje nieszczęście natknął się na jeszcze jedną sforę, jego opór mógłby się wyczerpać. Zdecydował się więc zboczyć w las, by odsadzić psy i wrócić w swe strony, gdzie miał szansę zgubić prześladowców.

Znów skręcił w las.

Dotarł do Puiseux, pomknął wzdłuż Viviers, wpadł na nowo do Compiègne, zawrócił w lesie Lague, poprzez Aisne dotarł do Attichy i wbiegł do lasu Villers-Cotterêts przez dolinę Argent.

Zamierzał w ten sposób zniweczyć strategię, według której baron prowadził sforę.

Powróciwszy w znajome strony, Thibault odetchnął nieco.

Znalazł się nad brzegiem Ourg, między Norby a Tourelles, w miejscu, gdzie rzeka wije się spienionym nurtem między skalnymi ścianami, skoczył na stromy głaz zwisający nad kipiącym żywiołem i odważnie rzucił się w wodę. Dotarł wpław do kamiennej wnęki znajdującej się naprzeciw skały, z której skoczył i ukrył się na dnie niewielkiej pieczary.

Odsadził swych prześladowców prawie na milę.

Tymczasem nie minęło dziesięć minut, a ujadająca i szczekająca gromada, jak burza nadciągnęła nad brzeg wąwozu.

Psy biegnące na czele sfory, oszalałe z wściekłości, albo nie dostrzegły przepaści, albo zamierzały ją pokonać w taki sam sposób jak ten, którego ścigały. Thibault zalany został wodą, która bryzgała na wszystkie strony pod ciężarem spadających psich ciał.

Lecz były mniej zręczne od niego, nie mogły więc pokonać wartkiego prądu. Po rozpaczliwych wysiłkach, zniknęły uniesione przez płynące wody nie zwietrzywszy kryjówki wilkołaka.

Thibault słyszał nad swoją głową stukot końskich kopyt, szczekanie resztek sfory, krzyki ludzi, przekleństwa ciskane przez barona, którego głos górował nad zgiełkiem.

Gdy ostatni z psów, który wskoczył do wody, zniknął za zakrętem, Thibault zobaczył, że myśliwi kierują się w dół rzeki.

Przekonany, że baron de Vez, którego rozpoznał jadącego na koniu na czele orszaku myśliwych, czynił tak po to, by odnaleźć bród, przejść na drugą stronę i dalej prowadzić pościg, nie czekał już ani chwili.

Wyszedł z kryjówki.

Płynąc, przeskakując zwinnie z kamienia na kamień, brodząc w wodzie, idąc w górę biegu rzeki Ourg dotarł do zagajnika Créne.

Tu, pewny, że na czas dłuższy zmylił wroga, postanowił pobiec do wsi i ukryć się wśród ludzkich domostw, sądząc, że wszędzie będą go szukać, ale na pewno nie tutaj.

Pomyślał o Préciamont. Jeśli znał dobrze jakąś wioskę, to właśnie tę. Poza tym w Préciamont będzie blisko Angelette. Wydawało mu się, że to sąsiedztwo doda mu otuchy, przyniesie szczęście, że pani jego serca może mieć wpływ na jego losy.

Thibault ruszył w stronę wioski. Dotarł tam około szóstej po południu.

Wściekła pogoń i ucieczka trwały już prawie piętnaście godzin. Wilk, psy i myśliwi przebyli w sumie ponad pięćdziesiąt mil.

Gdy idąc okrężną drogą przez Manecreux i Oigny, czarny wilk pojawił się na skraju zagajnika Ham, słońce chylące się ku zachodowi oświetlało purpurą wrzosowisko; białe-różowe kwiatki pachniały zachwycająco, ich woń unosiła wieczorna bryza; w kwietnym pałacu śpiewał świerszcz, jaskółka to wznosząc, to znów obniżając lot witała nadejście nocy, tak jak dwanaście godzin temu pozdrawiała wschodzące słońce.

Spokój przyrody wywarł na Thibaultcie szczególne wrażenie. Zdawało mu się dziwne, że może być tak piękna i tak radosna, podczas gdy jego duszę gnębiły straszliwe uczucia.

Widząc kwiecie, słysząc śpiew ptaków i brzęczenie owadów porównywał pełne spokoju i harmonii istnienie tego świata z targającą nim potworną burzą uczuć. Zastanawiał się, czy mimo nowych obietnic, które poczynił wysłannik szatana, zrobił rozsądnie zawierając drugą umowę. Teraz bowiem dostrzegł tak w jednej jak i w drugiej, same złe strony.

Idąc zarośniętą paprociami ścieżyną, rozpoznał w niej dróżkę, którą odprowadził Angelette do domu w dniu, gdy ją poznał i zaproponował jej małżeństwo.

Myśl, że dzięki zawarciu nowego przymierza mógłby odzyskać miłość dziewczyny, podniosła na duchu Thibaulta, którego przygnębił pejzaż pełen spokoju.

Z dzwonnicy w Préciamont, leżącej tak jak cała wieś w dolinie, dobiegł dźwięk dzwonu. Jego jednostajne uderzenia przypomniały czarnemu wilkowi o ludziach i o tym, czego mógł od nich oczekiwać. Ruszył więc odważnie na przełaj przez pola w kierunku wsi, gdzie miał nadzieję znaleźć schronienie w opuszczonej chatce.

Podążając wzdłuż niskiego, kamiennego muru otaczającego cmentarz w Préciamont, usłyszał głosy dobiegające z naprzeciwka. Idąc dalej tą drogą, natknąłby się z pewnością na właścicieli tychże głosów: cofając się musiałby wyjść

na przecinkę i mógłby zostać zauważony. Uznał więc, że najlepiej przeskoczyć niski murek cmentarza. Jednym susem znalazł się po drugiej stronie.

Cmentarz, jak to zazwyczaj bywa na wsi, zaczynał się tuż przy świątyni. Był zaniedbany, porośnięty trawami, ostami i tarniną. Wilk zbliżył się do najgęstszej kępy, gdzie znalazł stary zawalający się grobowiec, skąd mógł obserwować, co się dzieje, sam nie będąc widziany.

Wślizgnął się w zarośla i usadowił na dnie grobowca.

Kilka kroków od jego ukrycia wykopano świeży dół.

W kościele rozlegał się śpiew chóru i głos kapłana. Głosy słyhać było tym wyraźniej, że grobowiec, który służył uciekinierowi za kryjówkę, miał kiedyś podziemne połączenie z kościołem. Po kilku minutach śpiewy ustały.

Czarny wilk z natury rzeczy źle się czujący w sąsiedztwie kościoła, uznał, że ludzie idący drogą już się oddalili i należy czym prędzej ruszyć na poszukiwanie pewniejszej, bardziej odpowiedniej kryjówki.

Lecz w chwili gdy wystawił już nos z kępy, wrota cmentarne otwarły się nagle. Cofnął się natychmiast, z niepokojem oczekując, co się wydarzy.

Pierwszy szedł ministrant niosąc wodę święconą. Następnie kościelny niosący srebrny krucyfiks. Za nim kleryk śpiewający modlitwę za zmarłych. W końcu czterech chłopów niosących trumnę okrytą białym płótnem, kwieciem i wieńcem. Pod białym całunem odcinały się kontury trumny. Za trumną kroczyło kilku mieszkańców Préciamont.

Choć scena wydawała się w tym miejscu całkiem normalna, tym bardziej, że Thibault widział przed chwilą świeżo wykopany grób, wywarła na naszym bohaterze wrażenie. I chociaż najmniejszy ruch mógł pociągnąć za sobą jego zgubę, z ciekawością i niepokojem śledził przebieg obrzędu.

Gdy kapłan poświęcił dół, który już wcześniej zwrócił uwagę Thibaulta, chłopci odłożyli swój ciężar na sąsiedni grób.

U nas na wsi zwyczajem jest, że gdy chowa się kobietę zmarłą w kwiecie wieku, odprowadza się ją na wieczny odpoczynek w otwartej trumnie przykrytej

całunem. Tu przyjaciele mogą ostatni raz pożegnać się ze zmarłą, a rodzice złożyć na jej czole ostatni pocałunek.

Staruszka, prowadzona jakąś miłosierną ręką, gdyż zdawała się być ślepa, zbliżyła się do trumny, by ucałować zmarłą. Uniesiono całun okrywający jej twarz.

Thibault rozpoznał Angelette. Z jego piersi wyrwał się tłumiony jęk, mieszając się z płaczem i łzami żałobników. Twarz Angelette, choć blada jak okrywające ją płótno, była w swym śmiertelnym spokoju jeszcze piękniejsza niż za życia. Zmarła miała na głowie wianek z kwiatów.

Na widok ukochanej Thibault poczuł, że topnieje jego lodowate serce. Uzmysłowił sobie, że to on właśnie zabił dziewczynę i poczuł straszliwą, bo prawdziwą boleść; ból przeszywający, gdyż po raz pierwszy myślał o zmarłej, a nie o sobie.

Gdy usłyszał jak wbijano gwoździe do trumny, jak ziemia i kamienie sypią się z głuchym łoskotem z łopaty grabarza na drewnianą skrzynię, w której zamknięto ciało jedynej kobiety, że twarde kamienie rozcinają delikatną skórę, wczoraj jeszcze tak piękną i świeżą, drgnął, chcąc wyrwać oprawcom jej ciało, które już pozbawiono ducha powinno należeć do niego, za życia bowiem należało do innego.

Pod wpływem ludzkiej rozpaczki dzikie zwierzę zawył; wilczą skórą przebiegł dreszcz, z krwiożerczych oczu trysnęły łzy, a nieszczęśnik krzyknął:

— Dobry Boże! Weź moje życie, oddaję ci je z całego serca, jeśli może przywrócić życie tej, którą zabiłem!

Jego słowa zakończył tak potworny ryk, że wszyscy umknęli z przerażeniem. Cmentarz opustoszał.

W tej samej niemal chwili sfora, odnalazłszy ślad czarnego wilka, podjęła go, pokonując mur w tym samym miejscu, gdzie przesadził go Thibault.

Po sekundzie pojawił się baron ociekający potem na spienionym i okrwawionym koniu.

Psy runęły prosto w krzaki i zaatakowały.

— Hej la! Hej la! — krzyknął grzmiącym głosem pan de Vez zeskakując ze swego wierzchowca i nie dbając o to, czy ma go kto pilnować, wyszarpnął z pochwy kordelas, rzucił się w stronę grobowca i wskoczył w środek rozszalałej sfory.

Psy szarpały świeżą, ociekającą krwią skórę wilka, lecz ciało zniknęło.

Była to z pewnością skóra wilkołaka, na którego polowano, gdyż z wyjątkiem jednego białego włoska, była czarna jak smoła.

Co się stało z ciałem? Nikt tego nie wie.

Ale że od tego czasu nie spotkano już nigdy Thibaulta, panowała powszechnie opinia, że wilkołakiem był dawny szewc.

Znaleziono skórę bez ciała, ponadto ktoś zeznał, że słyszał ze starego grobowca słowa: „Dobry Boże! Weź moje życie, oddaję je z całego serca, jeśli może przywrócić życie tej, którą zabiłem!”

Ksiądz stwierdził, że z uwagi na swą ofiarę i skrucę Thibault został ocalony!

Słuszność tego twierdzenia poświadczył fakt, że do czasu, kiedy Rewolucja zniosła klasztory, każdego roku w rocznicę śmierci Angelette, z klasztoru w Bourg-Fontaine, leżącego o pół mili od Préciamont, przychodził mnich modlić się na jej grobie.

Oto cała historia o czarnym wilku, którą opowiedział mi Mocquet, strzelec mojego ojca.

Spis treści

Mocquet	
Wielki łowczy	
Wielki pan i szewc.....	
Angelette.....	
Czarny wilk.....	
Pakt	
Diabelski włos	
Młynarczyk	
Życzenie Thibaulta	
Wilkołak.....	
Sędzia Magloire	
Dawid i Goliat.....	
Dwa wilki w owczarni	
Nocne rozmowy.....	
Wiejskie wesele	
Baron Raul de Vauparfond	
Pokojówka wielkiej damy	
Hrabina de Mont-Gobert	
Śmierć i zmartwychwstanie.....	
Kto żyje, kto umarł	
Do końca wierna danemu słowu.....	
Mistrz zła	
Ostatnie życzenia Thibaulta.....	
Rocznica.....	
Zaciekle łowy.....	